

**BARBARA DELINSKY
PRZECIWIENSTWA
SIĘ PRZYCIĄGAJĄ...**



Toronto • Nowy Jork • Londyn
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg
Istanbul • Madryt • Mediolan • Paryż • Praga • Sofia
Sydney • Sztokholm • Tajpej • Tokio • Warszawa

ROZDZIAŁ

1

Corey Haraden związał w supełek łąpki małej małpki i okręcił tułów ogonem, robiąc z niej coś w rodzaju piłki. Podrzucił ją do góry i sprawdził, jak zniosła tę próbę. Zadowolony z wyniku, pochylił się, rozstawiwszy szeroko stopy i ugiął kolana, po czym ułożył małpkę na ziemi. Oglądając się na swoich wyimaginowanych kolegów z drużyny, wydał bojowy okrzyk, wyprostował się i wykopał „piłkę” wysoko w powietrze. Śledził przez chwilę jej lot, następnie podskoczył i schwycił ją zręcznie, umieścił pod pachą. Był teraz graczem drużyny przeciwników. Puścił się pędem w przeciwną stronę, robiąc uniki i kiwając atakujących graczy. Wreszcie umieścił piłkę w bramce i podniósł ją do góry wśród wiwatów niewidzialnego tłumu.

- Dobry Boże, Corey! Czyś ty oszalał?

Przez trawnik biegł Alan Drooker. Dopadłszy przyjaciela, wyrwał mu z rąk małpkę.

- To nie piłka! To Jocko! - Gorączkowo szarpał się ze związanymi łąpkami zabawki. - Gdyby Scott zobaczył, że ją kopiesz, dostałby szału!

- Przepraszam, Alanie - rzekł Corey ze skruchą. Jego głos brzmiał szczerze, zdradzał go jednak potny błysk w oczach.

Alan, który oglądał troskliwie małpkę, by się upewnić, że wyszła z całej przygody bez szwanku, obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

- Mówię absolutnie poważnie. Ta małpka to skarb dla Scotta. Wracaliśmy kawał drogi do restauracji, gdy zostawił ją w toalecie. Innym razem rozpętało się istne piekło, ponieważ wypadło jej oko. To jest już drugi Jocko. Pierwszy stracił życie w suszarce. Zrozpaczona Julie zadzwoniła do mnie do pracy i obleciałem cztery sklepy, zanim znalazłem prawie identycznego.

Corey poczuł wyrzuty sumienia.

- Przepraszam, ale ona leżała sobie po prostu pod drzewem, nie miałem pojęcia, jaka jest cenna.

- Nie znasz pięcioletnich dzieci - powiedział uspokojony Alan, krzywiąc się lekko. - To wyjątkowy uparciuch. Wszystko musi być tak, jak on chce.

- Coś mi to przypomina - zauważył Corey, idąc obok Alana w stronę domu. - Z nami były chyba podobne kłopoty.

- Tak, ale jeden z nas z tego wyrósł.

- Nie całkiem. Jeśli idzie o pracę, wciąż taki jesteś. Natomiast w domu grasz drugie skrzypce. Pewnie dlatego, że masz żonę i dwójkę dzieci.

- Trafiłeś w dziesiątkę.

- Tęsknisz za starymi, dobrymi czasami?

Corey i Alan poznali się na studiach i przez cały ich okres dzielili ze sobą pokój. Obaj przystojni, wysocy, dobrze zbudowani, lubili zabawę i „dawne dobre czasy” z pewnością oznaczały właśnie ją.

- Czasami - przyznał Alan. - Ale ty interesowałeś się wciąż czymś innym, a ja pragnąłem mieć żonę i dzieci.

Podbiegł do nich potargany blondasek w podkoszulku i krótkich spodenkach.

- Jocko!

Alan podał małą synowi, który zdążył ją pochwytać, w chwili gdy frunął w powietrze i wylądował na ramionach Coreya.

- Mam cię! - ryknął groźnie Corey, zadowolony z radosnych okrzyków dziecka.

- Alan! - zawołała Julie, stając w przeszklonych drzwiach salonu. - Przyjechała Corinne!

- Kto to jest Corinne? - spytał Corey.

- Moja pracownica. To nam zajmie chwilę. - Alan przyspieszył kroku. - Popilnujesz Scotta?

Corey przekrzywił głowę, by zajrzeć chłopczykowi w twarz.

- On się nigdzie nie wybiera.

- A właśnie, że tak. Chcę herbatnika - zaprotestował mały. - Mama mi obiecała.

Corey postawił dziecko na ziemi, nie puszczając jednak jego rączki.

- Mamusia zajmuje się teraz Jennifer.

- Jenny śpi - pokręcił głową Scott. - Ona ciągle śpi.

- Ma zaledwie dwa latka. Ty też dużo spałeś, gdy byłeś w jej wieku.

- Wcale nie - odrzekł Scott, przebierając nogami.

- Na pewno tak. Wszystkie małe dzieci potrzebują dużo snu.

- Nie ja. - Chłopczyk wił się jak piskorz, aż wreszcie wyrwał rękę i zanim Corey zdołał się zorientować, popędził w stronę domu. Obserwując go, Corey pomyślał, że to rzeczywiście żywe srebro.

Niemal rozumiał, czemu Alan założył rodzinę. Może i on ją założy pewnego dnia, w bliżej nieokreślonej przyszłości.

- Masz tutaj wszystko - powiedziała Corinne Fremont, kładąc dużą kopertę na biurku w gabinecie Alana. - Sprawdziłam ostatnie tabele dziś rano.

Alan przysiadł na biurku, krzyżując ręce na piersi. Usta zacisnęły mu się w wąską kreskę.

- Dziś jest niedziela. Czy chcesz przez to powiedzieć, że spędziłaś całą sobotę na analizowaniu tych dokumentów?

- Tak, to właśnie chcę powiedzieć. - Wzruszyła z zakłopotaniem ramionami.

Podejrzewał, że zarwała również noc. Nie było to niczym wyjątkowym w ich pracy, zwłaszcza gdy klient chciał mieć raport „na wczoraj”.

- Nie musiałaś tego robić, Cori. Masz prawo do *wolnego czasu*.

- Wiem, ale to moja wina, że cały pakiet nie był gotów na piątek, a jutro mamy prezentację.

- To nie była twoja wina, lecz Jonathana Altera.

- Ja za niego odpowiadam. Po prostu założyłam, że on wie... Cóż, jest przecież specem od komputerów i przyszedł do nas ze świetnymi rekomendacjami.

- Miał rekomendacje od mojego szwagra, którego jest dalekim kuzynem. Jeśli ktoś ponosi winę za Zatrudnienie tego faceta, to ja.

- Należał do Phi Beta Kappa w Amherst.

- Widać, co to warte - prychnął Alan. - Liczy się nie teoria, lecz umiejętność zastosowania wiedzy. Komputer jest tylko tak dobry jak programista.

- Nie zwalnij go - poprosiła cicho Corinne. - To jego pierwszy błąd.

- Jego pierwszym błędem było zachowanie, jak gdyby czuł się właścicielem firmy. Drugim - zbytnia

pewność siebie. Trzecim - wręczenie ci bezwartościowych wydruków i wyjazd na weekend.

- Może wystarczy, że z nim poważnie porozmawiasz. Jest bystry. Musi tylko się nauczyć, w jaki sposób stosować twoje dane...

- Musi się nauczyć znacznie więcej.

- Ale ma duże możliwości - nie ustępowała Corinne, nieświadoma, że w drzwiach pojawiła się czyjaś postać.

Corey, oparty o futrynę, przyglądał się rozmawiającym. Alan, w koszuli w kratę, szortach khaki i klapkach był typowym okazem dobrze prosperującego mieszkańca przedmieścia. Z modnie ostrzyżonymi ciemnymi włosami, opalony na brąz po ostatniej podróży do Cape Codę, prezentował się nawet atrakcyjniej niż w latach wczesnej młodości, choć wówczas nie miał wyglądu biznesmena.

Drugą osobą była zapewne Corinne. Niewysoka, na oko metr sześćdziesiąt, smukła jak chłopiec. Corey pomyślał, że nie jest to jednak główna przyczyna, dla której przypomina raczej wyrostka niż młodą kobietę. Miała krótko ostrzyżone gęste włosy, uczesane z przedziałkiem na boku, białą bluzkę wpuszczoną w nieskazitelnie białe lniane spodnie i czółenka na płaskim obcasie. Jedynym ustępstwem na rzecz kobiecości, które mógł dostrzec ze swego miejsca, były duże białe klipsy w uszach.

- ...i pracuje u nas zaledwie od miesiąca - mówiła.

- To nie byłoby fair zwolnić go tak szybko. - Miała przyjemny i dziwnie intrygujący głos.

- Mógł zaważyć ogromne sprawozdanie.

- Ale zorientowaliśmy się w porę. Będę odtąd wiedziała, że należy go szczegółowo o wszystkim poinstruować, zanim siądzie przy komputerze.

- Masz zbyt miękkie serce, Cori. Jeśli jednak chcesz pracować w weekendy, to twoja sprawa. - Podniósłszy wzrok, Alan zauważył w drzwiach Coreya.

- Wejź, Corey - powiedział, odchrząknąwszy.

- Pozwól, Corinne, to Corey Haraden. Właściwie prawie już skończyliśmy. Resztę omówimy jutro po spotkaniu. - Otoczył ją ramieniem i wyprowadził z gabinetu.

- Możesz jeszcze uratować resztki swego weekendu.

Corey wyczuł, że Alan ponagla kobietę i zastanawiał się, co jest tego przyczyną. Najwyraźniej niepotrzebne jej było opiekuńcze ramię. I bez tego miała wygląd „bez-kija-nie-przystap”. Z pewnością potrafiła sobie radzić sama.

- Chwileczkę - zawołał za odchodzącą parą.

- Cóż to ma być? „Pozwól Corinne, to Corey. Przywitaj się grzecznie i cześć!” A uścisk dłoni?

- Corinne ma mnóstwo pracy - odparł Alan, nie zwalniając kroku, ale Corey deptał im po piętach, aż wreszcie zrównał się z nimi w holu.

- Gdzie się podziały twoje dobre maniery, Alan?

- Stał na wprost nich, po czym wyciągnął rękę, uśmiechając się promiennie. - Miło mi cię poznać, Corinne.

- Mnie również, panie Haraden.

- Corey, proszę... Cori?

Skinęła lekko głową. Był to najbardziej szlachetny gest przyzwolenia, jaki Corey kiedykolwiek widział.

- Cori, Corey.

- Łatwo się może pomieszać...

- Nic się nie pomiesza - przerwał mu Alan - ponieważ Corinne się spieszy. - Ujął Coreya za łokieć i usunął z drogi. - Jutro o dziewiątej trzydzieści.

Cori podniosła zdziwiony wzrok na Coreya, który zagroził jej drogę do drzwi.

- Chwileczkę. Dokąd się wybierasz?
- Do domu - odpowiedział za nią Alan. - Prawda,

Cori?

Zdażyła zaledwie skinąć głową, ponieważ Corey znów przystąpił do ataku.

- Może zostałyaby trochę? Będziemy piec na ruszcie hamburgery...

- Cori bywała tu nieraz i wie, że jest zawsze mile widziana, ale ma inne plany. Prawda, Cori?

- Mój Boże, Alan, to ty bez przerwy jej coś wmawiasz. Jest takie piękne niedzielne popołudnie...

- ...że powinna je spędzić z mężem i dziećmi. Czy nie mam racji, Cori?

- Och - westchnął Corey i wyciągnął po raz drugi rękę. - Cóż, cieszę się, że cię poznałem, Cori. Życzę miłego dnia z rodziną.

Corinne jeszcze raz podała mu rękę. Była poważna i Corey zdał sobie sprawę, że ani razu nie widział uśmiechu na jej twarzy. Jednakże w spojrzeniu, które posłała Alanowi, zauważył błysk rozbawienia.

- Do zobaczenia jutro - powiedziała do swego szefa i zbiegła po schodach w dół.

- Dziękuję ci za materiały - dodał Alan. - Przejrzę wszystko wieczorem.

- Nie pozwól, żeby zepsuły ci *barbecue* - zawołała, nie odwracając się. Tym razem dało się wyczuć nutę rozbawienia w jej głosie.

Ledwie wsiadła do samochodu, Alan odwrócił się od drzwi, zacierając dłonie.

- Zaczynam się robić głodny. Chodźmy rozpalić pod rusztem.

Corey przyglądał się ze zmarszczonymi brwiami, jak mały biały volkswagen rabbit rusza podjazdem.

- Interesująca kobieta. Taka inna.

- Mięso na hamburgery już się chyba rozmroziło.
Potrafisz je doprawić?

- Jak długo z tobą pracuje? - spytał Corey, rzucając ostatnie spojrzenie na samochód i podążając za przyjacielem przez kuchnię do patio.

- Lepiej ja to zrobię. Ty możesz przygotować hot dogi.

- Czym się konkretnie zajmuje?

- Potrzebujesz pomocy, Julie?

Julie wyjmowała z czeluści lodówki naręcze jarzyn na sałatkę.

- Gdzie Corinne?

- Właśnie wyszła.

- Nie poprosiłeś, żeby została, Alanie? Dlaczego? Przecież jedzenia mamy aż za dużo.

- Miała inne plany.

- Jakie plany? - Julie zmrużyła oczy. - Ona nigdy nie ma żadnych planów, a przynajmniej żadnych, które można by uważać za interesujące.

- Idę rozpalić pod rusztem - rzekł mistrz uników. - Wrócę za chwilę doprawić hamburgery. -1 wyszedł.

Corey oparł się o bufet, przyglądając się Julie myjącej sałatę.

- Chyba jest pracoholiczką, skoro nie odpoczywa nawet w niedzielę - zauważył.

- Corinne? Owszem. Ale jest też przemiła.

- Może, ale wygląda na trochę sztywną.

- To prawda. Ale czy nie jest śliczna? Zawsze wygląda tak schludnie. - Obrzuciła zrozpaczonym spojrzeniem zaschnięte resztki dzieciennego pokarmu na przodzie sukienki plażowej i spróbowała je zeskrobać paznokciem. - Zazdroszczę jej, ale za to ona nie ma dwóch małych skrzatów.

- Nie?

- Mieszka z babcią.

Corey przełknął tę informację, po czym wyczarował w myśli obraz własnej babki.

- Babcie potrafią dać się we znaki nie gorzej od dzieci.

- Nie ta. Ma z sześćdziesiąt pięć lat.

- A Corinne?

- Skończyła trzydzieści w zeszłym miesiącu.

- Sześćdziesiąt pięć. Trzydzieści. Jej rodzice musieli być dziećmi, gdy się urodziła.

- Corinne nigdy o nich nie wspomina - wzruszyła ramionami Julie. - Ma zamężną siostrę młodszą o niespełna rok. Nie wiem, czemu Corinne dotąd nie wyszła za mąż. Byłaby wspaniałą żoną i matką.

- Alan jest bardzo opiekuńczy wobec niej.

- Nic dziwnego. Jest zbyt dobra, by mógł ją stracić.

- Nie chodzi mi o pracę.

Julie podniosła oczy znad sałaty i przyjrzała mu się, zaciekawiona.

- A o co?

- Nie zaufałam mi.

- Masz mu to za złe? - roześmiała się, wracając do swego zajęcia. - Jesteś motylem, Coreyu Haradnie. Fruwasz tu i tam, szybki i swobodny. Możesz być pewny, że gdy moja Jennifer dorośnie, nie pozwolę się do niej zbliżyć mężczyźnie twego pokroju.

- Nie jestem taki zły.

Zmierzyła go od stóp do głów spojrzeniem, które mówiło samo za siebie.

Corey popatrzył na swą zniszczoną bluzę sportową, obcięte wystrzępione džinsy i adidas, które pamiętały lepsze czasy.

- Dobra, wyglądam trochę nieporządnie.

- Nie o to mi chodzi - powiedziała sucho. Tym razem zatrzymała wzrok na jego szerokich ramionach, muskularnej klatce piersiowej, potem przesunęła go na wąskie biodra i długie, opalone nogi.

- Och.

Roześmiała się.

- Gdy się czerwienisz, wyglądasz jeszcze lepiej. Gdybym nie miała fioła na punkcie mego męża, próbowałabym cię poderwać.

Corey zdawał sobie sprawę ze swego męskiego uroku. Kiedyś nawet puszył się z tego powodu, ale te czasy dawno minęły. Był znudzony. Nie miał ochoty zaspokajać wyłącznie seksualnych fantazji kobiet.

- Opowiedz mi o niej więcej.

- O kim?

- O Corinne.

- To dziewczyna nie w twoim typie.

Corey pomyślał, że Julie też nie jest w jego typie, co nie przeszkadzało mu ją lubić, a Alanowi - któremu podobały się kiedyś takie same dziewczyny jak jemu - wprost uwielbiać.

- Czy Corinne ma kogoś?

- Powtarzam, że to nie jest dziewczyna w twoim typie. Widząc, że w ten sposób nic nie uzyska, zaczął z innej beczki.

- Jak długo pracuje dla Alana?

- Od pięciu lat.

- A co robi?

- Jest analitykiem.

- Ambitna?

- Zdolna i oddana.

- Myśli o tym, żeby się przenieść i awansować?

- Nigdy jej o to nie pytałam, ale nie umiem sobie wyobrazić, żeby zostawiła Alana. Lubi Baltimore.

Może powinna otworzyć własną firmę. Miałaby pewnie więcej czasu dla siebie. Teraz haruje jak wół.

- Prawie nie ma życia osobistego?
- Przypuszczam, że ma go tyle, ile zechce.
- A więc nie chce zbyt wiele?

Julie wbiła nóż w środek pomidora, podparła się pod jeden bok i odrzekła wspaniałomyślnie:

- No dobrze, powiem ci. Wprawdzie to nie twoja sprawa, ale Corinne nie jest zaręczona ani nie spotyka się z nikim na stałe. Jeśli się z kimś umawia, są to stateczni, spokojni mężczyźni. - Skrzywiła się bezradnie. - Ona naprawdę nie jest dla ciebie, Corey. Czemu o to wszystko pytasz?

Corey zamyślił się. Julie miała słuszość. Lubił kobiety o pełnych kształtach, Corinne była bardzo szczupła. Podobały mu się długie włosy, ona miała krótkie. Wolał zdecydowanie typ kobiecy, którego była przeciwieństwem.

- Podrapał się w tył głowy i wzruszył ramionami.
- Z czystej ciekawości.

Nazajutrz rano przyłapał się, że wciąż myśli o Corinne. Załatwiwszy interesy, które go przywiodły do Baltimore, podświadomie skierował się w stronę Inner Harbor, na którego peryferiach mieściła się firma Alana, zajmująca się badaniem rynku. Nigdy nie odwiedził go w pracy i usiłował sobie wmówić, że tylko dlatego tu się znalazł. Była to jednak kiepska wymówka. Naprawdę chciał jeszcze raz spotkać Corinne.

Zobaczył ją tylko w przelocie, gdy siedział w sali recepcyjnej, czekając, aż wróci z Alanem z narady. Przeszła obok niego szybkim krokiem i skinąwszy lekko dłonią, zniknęła za ogromnymi drzwiami.

- Corey! - wykrzyknął Alan. - Co za niespodzianka! Myślałem, że masz spotkanie.

- Skończyło się godzinę temu, pomyślałem więc, że muszę jakoś zabić czas. Zostało mi go jeszcze sporo do odlotu.

- Chodźmy na lunch.

- Może najpierw oprowadziłbyś mnie po biurze? Z tego, co widzę, nieźle się tu urządziłeś.

Musiałoby to zabrzmieć dość niewinnie, a może po prostu dobrze znał słabostki swego przyjaciela, bo Alan uśmiechnął się.

- Jasne. - Wskazał gestem głowy drzwi, za którymi zniknęła Corinne, i powiedział: - Chodźmy.

Corey wysłuchał po raz setny długiej historii o wszystkich perypetiach przy zakładaniu firmy, o jej rozwoju i perspektywach. Obejrzał gabinet Alana, równie elegancki, jak sala recepcyjna, pokoje trojga konsultantów oraz biura pracowników zatrudnionych w przedstawicielstwach firmy i ich kierownika, a także salę komputerową.

Nigdzie jednak nie było Corinne.

- Dobra. Gdzie ona jest? - spytał, gdy wrócili do gabinetu Alana.

- Kto? - Alan miał minę mniej więcej tak niewinną, jak kot oblizujący śmietankę z wąsów.

- Dobrze wiesz.

Alan wahał się przez chwilę, ale wyraz twarzy Coreya zapowiadał trudną i nieustępliwą walkę.

- Corinne? - Wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia. Może w toalecie. A może wyszła na lunch.

- Co ty powiesz?

- To pora lunchu. Kobiety mają pewne prawa.

- Łącznie z prawem decydowania, z kim chcą się widywać, a z kim nie. Daj spokój, Alanie. Wiem, że nie

jest mężatką ani też nie ma nikogo szczególnego. Co masz przeciwko temu, żebym z nią porozmawiał?

- Corinne jest zupełnie inna od dziewczyn, z którymi się zadajesz.

- To samo powtarza mi Julie. Może gdybyś mnie do niej dopuścił, sam przekonałbym się o tym.

- Widzisz? Nawet twoje słowa stanowią groźbę. Dopuścić cię do niej... Byłbym szalony, gdybym na to pozwolił.

- Nie gryzę.

- Wiem. Ty pożerasz.

- Może kiedyś, w dawnych czasach. Dojrzałem.

- Gadaj zdrów - skrzywił się Alan.

- Pociąga mnie jej tajemniczość. Gdy już uchylę rąbka tajemnicy, z pewnością zanudzę się na śmierć.

- Nie z Corinne. To bardzo inteligentna dziewczyna.

- Od kiedy to interesują mnie inteligentne dziewczyny? - wycedził, chcąc przekonać Alana, że Corinne nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

- Rzeczywiście. Czego więc chcesz od niej?

- Jestem ciekaw. To wszystko.

- Ciekaw czego?

- Nie wiem - odpowiedział cicho Corey. - Wi-działem ją zaledwie przez kilka minut i uderzyła mnie jej przeciętność. Przeciętna uroda, przeciętna figura, wszystko. Zbyt przeciętne. Coś się musi pod tym kryć.

- Coś w wyrazie ciemnych oczu, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. Nie mógł. Różnie go w życiu nazywano: czarusem, diabłem, kochankiem, draniem, nigdy jednak nie zasłużył na miano romantyka. Alan pomyślałby, że spotulniał. I miałby chyba rację.

- Oboje z Julie lubicie ją. Czemu?

- Ja ją lubię, ponieważ to otwarta głowa i ma ogromną intuicję. Julie widzi w niej swoje alter ego,

kobietę, która zrobiła karierę, poza tym jest bezpośrednia i miła dla dzieci.

- Czemu więc ja nie powinienem jej lubić?

- Powinieneś. I z pewnością polubiłbyś. Nie jestem po prostu pewny, czy byłoby to w interesie Corinne. - Alan przeczesał palcami gęste włosy i obszedłszy biurko, usiadł w skórzanym dyrektorskim fotelu. Było to posunięcie taktyczne, mające na celu podkreślenie wagi jego słów. - Ona jest szczególną kobietą, Corey. Bardzo zamkniętą, przyzwoitą i uczciwą. Nigdy nie miała kogoś bliskiego. Prowadzi spokojne życie, jest ogromnie oddana pracy, często zarywa dla niej noce, na randki umawia się rzadko i starannie dobiera partnerów, wakacje spędza w skromnych zajazdach w mało znanych miasteczkach, nie sprawia żadnych kłopotów. Ale przy całej swej sile jest bezbronna. Nie chcę, by ją zraniono.

- Nie zranię jej. Chcę tylko z nią porozmawiać.

- I co potem?

- Potem... pewnie sobie pójdę, jeśli żadne z nas nie będzie zainteresowane niczym innym.

- Prawdopodobnie jest dziewicą.

- Czy nie wybiegasz zbyt szybko myślą naprzód?

Alan przyjrzał mu się w zamyśleniu.

- Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć. Skoro mając trzydziestkę, nie spała jeszcze z mężem czyzną, muszą być jakieś tego przyczyny. - Pokręcił głową. - Myślę, że powinieneś omijać ją z daleka, przyjacielu.

Słowa Alana tylko podsyciły ciekawość Coreya. Sam nie wiedział, czemu. Nie interesowały go dziewice, a tym bardziej pruderyjne pracoholiczki. Ale zdawał sobie sprawę, że dalsza rozmowa z Alanem o Corinne Fremont jest bezcelowa.

- Ostrzeżenie przyjęte - powiedział, wstając. Rozejrzał się po gabinecie i dodał z westchnieniem:

- Jestem pod wrażeniem. Nieźle ci to wyszło.

Alan przyjął zmianę tematu z wyraźną ulgą.

- W twoich ustach to prawdziwy komplement

- rzekł z szerokim uśmiechem. - Czy teraz możemy iść na lunch?

- Jasne.

Kilka godzin później Corey odprowadził Alana do biura. Uścisnął mu dłoń, po czym obaj się roześmieli i objęli serdecznie.

- Dziękuję za wszystko, Alanie. Strasznie lubię odwiedziny w waszym domu.

- Przyjedziesz wkrótce?

- Mowa!

Alan poklepał Coreya po ramieniu i zniknął za drzwiami. Corey nie ruszył się z miejsca. Posłał uśmiech przyglądającej mu się recepcjonistce, zmarszczył brwi i zaczął czegoś szukać w kieszeni. Brzeknęły monety. Wciąż zafrasowany, sięgnął do wewnętrznej kieszeni blazera.

- Zapomniałem o czymś - rzekł do recepcjonistki i pchnął drzwi. Zamiast jednak skierować się w lewo, w stronę gabinetu Alana, poszedł w prawo. Minawszy kilkoro drzwi, znalazł te, których szukał.

Pokój Corinne był nieskazitelny. Chociaż Alan, oprowadzając go, ani słowem nie wspomniał, że to właśnie ten, Corey domyślił się bez trudu. Obrazy wisiały na ścianach równiutko jak pod sznurek, książki na półkach były ustawione według wielkości, żółte ołówki w puszcze na podręcznym stoliku idealnie zatemperowane, dokumenty ułożone w równe pliki.

Corinne siedziała przy biurku nad wydrukiem komputerowym z głową wspartą na jednej dłoni. W drugiej

trzymała ołówek, którym robiła jakieś uwagi na marginesie. Wydawała się całkowicie pochłonięta pracą.

- Cześć, Cori - powiedział szeptem Corey. - To ja.

Podniosła głowę i spojrzała nań nieprzytomnie. Po chwili jej wzrok odzyskał ostrość, opuściła drugą rękę na biurko.

- Dzień dobry, Corey - odpowiedziała łagodnie.

- Wciąż zwiedzasz biuro?

- Właśnie wróciliśmy z lunchu. - No tak, byłoby niemądrą rzeczą spodziewać się po niej uśmiechu.

- Gdzie jedliście?

- W „Phillip's Harborside”.

- Bardzo sympatyczne miejsce.

- Zbyt sympatyczne. - Poklepał się po brzuchu.

- Najadłem się zbyt dużo zbyt dobrych rzeczy.

- Zbyt nierozsądnie - zawtórowała mu cicho i choć nie udało mu się sprowokować uśmiechu, oczy jej się zaiskrzyły.

- Przydałoby mi się trochę kofeiny, żebym się obudził. Nie zrobiłabyś sobie przerwy na kawę?

- Nie mogę - powiedziała. - Jestem spóźniona.

- Trudno mi w to uwierzyć. - Założyły się o każdą sumę, że Corinne Fremont zawsze robi wszystko na czas. - A co powiedziałabyś na mrożony jogurt?

- Podobno strasznie się objadłeś?

- Owszem. Myślałem o tobie.

- Uważasz, że jestem za chuda?

- Nic takiego nie powiedziałem - odparł trochę zbyt pospiesznie, czerwieniąc się jak burak. Ale i to jej nie dotknęło.

- Faktycznie, jestem. Taka już moja uroda.

- Daj spokój, Cori. Tylko na małą kawę.

Odmowny gest głowy.

- Na pewno?

Lekkie skinienie.

- A lody z owocami i bitą śmietaną? Zmarszczyła leciutko nos, trwało to jednak tak krótko, że Corey nie był pewien, czy mu się nie wydało.

- Naprawdę jesteś pewna? - spróbował po raz ostatni.

Tym razem nie pofatygowwała się nawet, by skinąć głową. Pochyliła się z powrotem nad papierami. Była to najbardziej wymowna odprawa, jaką mu kiedykolwiek dano.

Gdy w kilka godzin później znalazł się na lotnisku, przekonywał sam siebie, że być może nie zmarnował tak zupełnie czasu. Czy to była kwestia jego uporu, czy uroku, ale kobiety mu nie odmawiały.

Podszedł do najbliższego automatu telefonicznego, podniósł słuchawkę, popatrzył na przyciski i odwiesił ją z powrotem. Nie, to nie jest dobry pomysł. Jeszcze raz powie „nie”. Musi zrobić coś, co zmusi ją do myślenia, a nie pozwoli od razu odmówić.

Zaczaj szperać po kieszeniach w poszukiwaniu kawałka papieru i oczywiście go nie znalazł. Wyjął więc z portfela zmięty banknot dolarowy i teraz zaczął szukać czegoś do pisania. Podszedł szybko do stanowiska rezerwacji biletów i czarując hostesę najbardziej olśniewającym ze swych uśmiechów, poprosił ją o długopis.

- Może ma pani z czerwonym wkładem? A koper tę? Dziękuję bardzo. Uratowała mi pani życie.

Szybko naskrobał kilka słów, włożył banknot do koperty i zaadresował ją. Pobiegnął do kiosku z pamiątkami i kupił znaczek, po czym wrzucił list do skrzynki. Ciągle biegiem przemierzył halę odlotów, w samą porę, by zdążyć do samolotu, zanim zamknięto drzwi.

Nazajutrz Corinne otrzymała list z Linii Lotniczych Delta. Przynajmniej tak myślała, dopóki nie otworzyła starannie koperty i nie wyjęła banknotu, na którym było napisane dużymi czerwonymi literami: „*To jest talon, za który można otrzymać wielką bombonierkę czekoladowych całusków Hersheya. Możesz je odebrać, gdy będziesz gotowa, ale tylko za moim pośrednictwem. Corey Haraden*”

Popatrzyła na banknot, westchnęła, a następnie przedarła go na połowę, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Pochyliła się z wdziękiem, by wrzucić strzępki papieru do kosza, w ostatniej chwili jednak zatrzymała się. Sama nie wiedząc czemu, zmieniła zamiar i schowała je do kieszeni spódnicy.

Corey Haraden to kawał szelmy. Kasztanowłosy, o zielonych oczach, muskularnym ciele, był typowym przedstawicielem mężczyzn, jakich unikała. Nie mogła zrozumieć, czemu się nią zainteresował.

Zdarzało się często, że Corinne nie jadła kolacji i ten wieczór nie stanowił wyjątku. Babcia wiedziała, że nie ma się jej co spodziewać, dopóki nie zadzwoni, na szczęście była w świetnej formie i potrafiła troszczyć się o siebie. Mimo to Cori zachowywała się bardzo cicho, wchodząc do starego wiktoriańskiego domu. Elizabeth Strand kładła się spać punktualnie o dziesiątej, nigdy wcześniej, nigdy później. Cori nie chciała jej obudzić.

Oparła teczkę o balustradę i podeszła do wiekowego stolika z klonowego drewna, który stał pod lustrem w takich samych ramach. Leżała na nim dzisiejsza poczta.

Wzięła plik kopert i przejrzała je pobieżnie w drodze do kuchni, wyciągając jedną, która ją zainteresowała. Nalała sobie dużą szklane soku pomarańczowego,

odstawiła butelkę dokładnie na to samo miejsce w lodówce, wyjęła nóż z szuflady i rozcięła kopertę, po czym usiadła przy stole i zaczęła czytać.

„Droga Cori,

Wiem, że rozmawialiśmy niecały tydzień temu, ale odczuwam przemożną potrzebę wygadania się przed tobą, musisz więc uzbroić się w cierpliwość. Obudziłam się dziś rano z potwornym bólem głowy. Jeffrey nie spał przez pół nocy z powodu krup. Nie musiałam do niego wstawać, ponieważ Frank twierdzi, że od tego mamy nianię, ale hałas był taki, że kręciłam się, wierciłam, aż wreszcie mój mąż rozzłościł się, że nie daję mu spać. Wydawałoby się, że mężczyzna powinien troszczyć się o własnego syna, on jednak potrafi rozdzielić zadania, po czym odwrócić się tyłem do całego świata i skoncentrować wyłącznie na sobie.

To daje świetne efekty w jego pracy. Powodzi mu się świetnie i pewnie powinnam Bogu dziękować. Nie muszę się o nic martwić, ale w tym właśnie cały problem. Czuję się bezużyteczna. Kiedy Frank nie jest w pracy, siedzi w gabinecie nad papierami, a gdy już gdzieś wychodzimy, to nigdy dlatego, że chcemy. Albo podejmujemy jakiegoś potencjalnego klienta, albo składamy rewizytę, albo jedno i drugie. Nie pamiętam, kiedy robiliśmy coś po prostu dla zabawy”.

Dla zabawy. Mimowolny dreszcz przebiegł Cori, gdy powoli, ze smutkiem, odwróciła stronę i czytała dalej:

„Wiem, co sobie myślisz. Tak, powinnam dziękować mojej szczęśliwej gwiazdzie, że mam odpowiedzialnego męża. Nie powinnam tęsknić za zabawą, bo prowadzi do

tego, co zgotowali sobie, a raczej nam nasi rodzice. Oni jednak byli strasznie młodzi, gdy się urodziłyśmy i bez troski zostawili nas babci, tymczasem ja nie pragnęłabym niczego bardziej, niż móc się zająć własnym synem, domem, zakupami, garderobą. Co z tego, skoro Frank mi nie pozwala.

Może to kwestia wieku. Czterdzieści pięć lat to nie podeszły wiek, ale Frank jest wyjątkowo poważny. Poza tym cechują go upór i piekielna duma. Nie ma mowy, żeby jego żona skalala się pracami domowymi. Nie daj Boże, mleczarz podpatrzyłby, jak ładuje brudne naczynia do zmywarki i wybuchłby skandal. Żona Franka Shiltona sama zmywa!

Nudzę się. Czasami zazdroszczę ci twojej pracy - czy kiedykolwiek przysłoby ci do głowy, że mogę powiedzieć coś takiego? Zdarza się nawet, że zazdroszczę mamie i ojcu ich nieodpowiedzialności. Słyszałaś milion razy, jak to mówiłam i tyleż razy besztalaś mnie za to, ale trzeba coś robić, żeby stać się wolnym. Ja nie jestem wolna. Czuję się jak w klatce. Jasne, to złota klatka, ale co z tego, skoro ptak w środku po prostu się dusi".

Drżącą ręką Cori odłożyła drugą kartkę. Spojrzała na telefon, potem na zegar i krzywiąc się, zaczęła czytać kolejną stronę listu.

„Nie, nie dzwoń do mnie. O ile cię znam, wróciłaś do domu bardzo późno. Siedzisz teraz w kuchni ze szklanką soku pomarańczowego, a babcia śpi na górze. Zresztą Frank również. Poza tym jestem pewna, że zanim dostaniesz list, kryzys minie i będę czuła się lepiej. Takie stany ducha zdarzają mi się tylko od czasu do czasu. Mam nadzieję, że to zrozumiesz, choć wątpię, by zdarzył

ci się kiedykolwiek taki zły dzień. Jesteś taka zrównoważona. Tego też ci zazdroszczę.

Możesz już iść spać. Będę o tobie myślała: jak wieszasz ubrania w szafie, po kąpieli sięgasz po ręcznik, potem kładziesz się do łóżka i nastawiasz budzik. To naprawdę miłe wspomnienia. Zawsze byłaś dla mnie oparciem. Chyba przygotowywałaś mnie na to, co teraz mam, prawda?

Dziękuję, że mnie wysłuchałaś, Cori. Czasami bywasz zrzęda, ale jesteś dobrą siostrą. Ucałowania, Roxanne".

Było jeszcze postricptum.

„Całe szczęście, że babcia nie ma zwyczaju otwierania cudzych listów. Gdyby przeczytała mój, pomyślałaby, że jej starania poszły na marne.”

Cori siedziała jeszcze przez długi czas, trzymając list w rękach. Właściwie czyje starania? Choć Roxanne była od niej niewiele młodsza, Corinne zawsze jej matkowała. I nikt inny, tylko ona zachęcała ją do małżeństwa z Frankiem.

Zbliża się do trzydziestki i stąd się to wszystko bierze, pomyślała. Mnie trzydziestka stuknęła bezboleśnie i to, prawdę mówiąc, gdy miałam osiemnaście lat. Tylko że Roxanne jest zupełnie inna. Zawsze miała w sobie awanturniczą żyłkę. Wydawało mi się, że wzięłam ją w karby. Trudno, Roxanne jest dorosła i od niej zależy, jak potoczy się dalej jej życie.

Cori złożyła pieczołowicie list i wsunęła go z powrotem do koperty. Wypiła resztę soku, opłukała szklanekę i umieściła ją w automatycznej zmywarce, po czym wytarła zlewozmywak, aż zaczął lśnić jak zwykle.

Następnie pogasiła światła i weszła na palcach na górę, wiedząc dokładnie, które stopnie skrzypią i starając się je ominąć.

Choć była zmęczona, powiesiła porządnie ubranie w szafie. Wzięła długą odprężającą kąpiel, po czym sięgnęła po ręcznik wiszący na wieszaku po prawej stronie. Powędrowała cichutko do sypialni, nastawiła budzik i wyciągnęła się z westchnieniem na łóżku.

Po raz pierwszy w życiu pomyślała, że prześcieradło jest zbyt mocno wykrochmalone.

ROZDZIAŁ

2

Corey zdawał sobie sprawę, że jest rozkojarzony. Jego sekretarka mówiła mu to przynajmniej dwa razy dziennie, wyciągając ważne dokumenty ze sterty papierów na jego biurku. W domu sekretarkę zastępowała gospodyni, która groziła, że odejdzie, za każdym razem gdy znajdowała w zamrażarce keczup obok zamrożonej pizzy lub rozpuszczone lody w sąsiedztwie chrupek ryżowych w szafce. Corey dowodził, że życie jest zbyt krótkie, by się przejmować błahostkami. Fakt jednak pozostawał faktem - nim dokończył jakąkolwiek czynność, jego myśli wybiegały gdzieś daleko naprzód. Od podróży do Baltimore krążyły wciąż wokół Corinne Fremont. Wyobrażał sobie kolejną podróż, podczas której zaprosi ją na kolację i wywoła uśmiech na jej twarzy. Następnym etapem będzie piknik, podczas którego pobudzi ją do śmiechu. Na trzeciej randce zaróżowią się jej policzki, na czwartej trochę pogniecie się jej nieskazitelne ubranie. A na piątej - zdejmie z niej delikatnie to ubranie i okaże się, że kryje się pod nim pełna namiętności kobieta.

Będąc dzieckiem, wyobrażał sobie, że jest właścicielem dużego budynku, toteż po uzyskaniu dyplomu w dziedzinie nauk ekonomicznych rzeczywiście go kupił. Budynek nie był położony w żadnym świetnym punkcie Filadelfii, nie miało to jednak znaczenia, ponieważ odbudował go całkowicie i sprzedał za cenę pięciokrotnie wyższą od ceny kupna.

Jeszcze nie wysechł atrament na podpisie pod aktem sprzedaży, a już zainwestował te pieniądze w kupno ziemi na terenach podmiejskich, gdzie rozpoczął budowę kompleksu biurowego.

Zanim skończył budowę kompleksu, wyobraził sobie w sąsiedztwie centrum handlowe. Zebrał więc zespół inwestorów i zrealizował również ten pomysł. Następnie przyszła kolej na *hotel* i bynajmniej nie poprzestał na jednym.

Nigdy dotąd jednak nie wypróbował siły swej wyobraźni na kobietach. Nie musiał, ponieważ Igneły do niego jak pszczoły do miodu. Ale Corinne Fremont wydawała się ślepa na jego wdzięk i może dlatego właśnie jej pragnął, nie w fizycznym znaczeniu tego słowa... Choć jeśli jego fantazje staną się rzeczywistością... Tym bardziej korciło go, by ją poznać.

Od razu się zorientował, że Corinne jest inna i dlatego wymaga innego podejścia. To ostrożna kobieta. Czuł, że musi dostosować się na początku do jej reguł.

Dlatego też odczekał trzy tygodnie, zanim uczynił następny krok, by się z nią skontaktować. Dał jej czas, nie ponaglał. Pozwolił jej przeczytać list na banknocie raz, drugi, i miał nadzieję, że ślinka zaczyna napływać jej do ust.

Było wtorkowe popołudnie. Corinne jak zwykle pracowała. Gdy zabrzączał telefon na jej biurku, z nieobecną miną podniosła słuchawkę.

- Słucham?

- Cori? Tu Corey Haraden. Zdezorientowana, skrzywiła się do telefonu. Była

tak zajęta pracą, że nie zwróciła uwagi, iż nie jest to linia wewnętrzna. Odłożyła ołówek i rozprostowała ramiona.

- Dzień dobry. Jak się miewasz?

- Świetnie, dziękuję. A ty?

- Bardzo dobrze. - Pomyślała o czekoladkach Hersheya. - Jeśli szukasz Alana, to nie ma go u mnie. Może jest w swoim gabinecie?

- Nie szukam Alana, lecz ciebie. Posłuchaj, wiem, że siedzisz po uszy w pracy, ale jestem właśnie w Rochester, a mój samolot ma międzylądowanie w Baltimore na trasie do Atlanty. Może spotkalibyśmy się na kolacji?

- Przykro mi, Corey, ale nie mogę - odparła bez chwili namysłu.

- Wciąż jesteś spóźniona?

- To zależy, co masz na myśli, ale nie ma sensu przerabiać tego wszystkiego jeszcze raz.

- Dlaczego? Nie mam nic przeciwko temu.

Jak na ironię, jego głos brzmiał tak sympatycznie i szczerze, że gdyby Corinne nigdy go nie widziała, zastanowiłaby się, czy nie przyjąć zaproszenia.

- Aleja mam. To byłoby nudne.

- Nudne? Nigdy w życiu! Impulsywne, nieodparte, nawet nierozważne, ale nie nudne!

I to właśnie było jedną z przyczyn, dla których nie chciała się z nim spotkać.

- Jestem pewna - powiedziała oschłym tonem.

- Nie możesz pracować na okrągło. Powinnaś też jadać kolację.

- Nie w tym rzecz, Corey. Mam inne plany.

- Och - westchnął. - Jeszcze jeden wieczór z rodziną. Mąż i dzieci.

- Tak, czasami tracą do mnie cierpliwość - wpadła mu w ton.

- Mogę to zrozumieć. - Instynkt podpowiadał mu, że powinien nalegać, ale do tej pory miał przecież do czynienia z zupełnie innymi kobietami. - No cóż, może innym razem?

- Może.

- Dobrze, wobec tego pospaceruję sobie przez dwie godziny.

Serce Corinne bynajmniej nie krwawiło, nie czuła się też ani trochę winna.

- Znajdziesz sobie towarzystwo. Stewardesy również będą miały dwugodzinną przerwę.

- Nie podrywam stewardes - rzekł z rezygnacją. - Poza tym teraz lata dużo mężczyzn. Och, zapowiadają właśnie mój lot. Muszę bieć, bo tym razem nie zechcą zatrzymać dla mnie samolotu.

- Tym razem?

- Mam zwyczaj się spóźniać. Linie lotnicze znają mnie z tego.

- Często latasz?

- Bardzo często.

, - A czym się właściwie zajmujesz?

- Do licha, wywołują lot po raz ostatni. Naprawdę muszę pędzić, Cori. Porozmawiamy później, dobrze?

Cori wołała nie poruszać tego tematu. A jednak czuła się dziwnie zawiedziona i zupełnie nie rozumiała dlaczego.

- Miłej podróży.

- Dziękuję. - Odłożył słuchawkę i ruszył pędem w stronę samolotu. Na ustach błąkał mu się uśmiech zadowolenia. Nie mógł wybrać lepszej chwili na koniec rozmowy. Niech się zastanawia. Niech myśli. Zacieka-
wił ją. Na początek.

Corinne wcale nie była ciekawa, a przynajmniej tak sobie wmawiała. Ale twarz Coreya Haradena wciąż pojawiała jej się przed oczami w najbardziej nieoczeki-
wanych chwilach, na przykład gdy Tom O'Neill od-
wiozł ją do domu po miłym wieczorze w teatrze, gdy
wylizowała siostrze w niedzielę zalety Franka Shiltona,
gdy wraz z Alanem siedzieli we wtorek sześć godzin na
naradzie z wyjątkowo opornym klientem.

Pomyślała, że mogłaby się dowiedzieć czegoś więcej
o Coreyu od Alana, ale wołała nie pytać. Po pierwsze,
nie wiedziała, w jak bliskich stosunkach są obaj
mężczyźni; po drugie, czuła, że Alan nie chce, żeby
Corey kręcił się koło niej. Ona zaś nie chciała, by się
dowiedział o telefonie Coreya czy pomyślał, że ona się
nim interesuje. Ponieważ to nieprawda.

Stanowił antytezę mężczyzn, z jakimi się spotykała.
Tom O'Neill, księgowy, średniego wzrostu i budowy,
miał sympatyczny wygląd i obejście. Uprzejmy i po-
wściągliwy, podzielał jej fascynac"ę cyframi. Podobnie
jak ona nie chciał się głębiej angażować, od czasu do
czasu chodzili więc razem na kolację, do teatru czy do
kina, bez żadnych zobowiązań. Widywali się nie
częściej niż dwa razy w miesiącu i byli po prostu parą
dobrych przyjaciół.

Od czasu do czasu spotykała się z Richardem
Batesem. Dwukrotnie żonaty i dwukrotnie rozwie-
dziony, przysiągł sobie, że się z nikim więcej nie zwiąże.
Spotykał się z Cori, ponieważ lubił z nią rozmawiać.

Byli też w jej życiu inni mężczyźni, z którymi widywała się raz na kilka miesięcy. Cori traktowała ich niemal jak dodatki, które dobiera się do sukni, a potem odkłada.

Nie trzeba wielkiej intuicji, by wiedzieć, że Corey Haraden nie pozwoliłby się traktować w ten sposób.

Dni mijały i myśl o Coreyu wracała coraz rzadziej. Miała tyle spraw, które zaprzętały jej uwagę: praca, troska o Roxanne, plany weekendowe i wakacyjne, wypad z babcią. Nie mogła przewidzieć, że zjawi się nagle w drzwiach jej pokoju biurowego w piątkowe popołudnie na początku maja. Minął prawie miesiąc od ich ostatniej rozmowy i prawie udało się jej wymazać go z pamięci.

Wiedziała, że jest atrakcyjnym mężczyzną, ale u Alana widziała go w stroju raczej niedbałym, a następnego dnia w biurze również był ubrany swobodnie. Tym razem był biznesmenem w każdym calu. Miał na sobie szyte na miarę ubranie, składające się z granatowej marynarki i szarych spodni, białą koszulę i krawat w paski - idealnie zawiązany - oraz włoskie skórzane buty. Kasztanowate włosy były starannie wymodelowane, a opalenizna głębsza niż miesiąc temu.

Jedna rzecz pozostała niezmienną. Oczy. Zielone i fascynujące. Przenikliwe i badawcze. Łagodne i zapraszające.

Corinne nie chciała być ani zafascynowana, ani zapraszana. Szczerze mówiąc, życzyłaby sobie, by się rozplynął jak obłoczek dymu, żeby nie musiała go słyszeć ani oglądać. Zamknęła na chwilę oczy, ale nic takiego się nie stało. Gdy je otworzyła, wciąż stał przed nią. Najgorsze, że serce zaczęło jej walić jak szalone. Nie podobało jej się to ani trochę.

- Widzę, że wciąż pracujesz - rzekł zaczepnym tonem. Oparł się o framugę drzwi, odsłaniając przy tym ruchu wąski złoty zegarek, dodający mu jeszcze elegancji.

- Tak - powiedziała. Zebrała szybko papiery, nad którymi siedziała i układając je starannie, dodała:

- Właściwie już wychodziłam.

- Dokąd?

- Na zebranie.

- Tutaj?

- Uhm. Moi programiści czekają na instrukcje.

- Naprawdę spotkanie z nimi miała zaplanowane dużo później. Trudno. Jeśli są gotowi, to dobrze. Jeśli nie - drugie dobrze. Corey Haraden nie musi o niczym wiedzieć.

- Mogę pójść z tobą?

Przycisnęła plik papierów do piersi i wzięła kilka zaostrzonych ołówków z puszki.

- Obawiam się, że nie. To sprawy poufne. Nasi klienci mają na tym punkcie takiego samego fioła jak na punkcie terminowości.

- Nie pisnę nikomu słówka.

Cori zacisnęła zęby, próbując zachować spokój. Był taki wysoki, barczysty, po prostu imponujący. Poza tym drobniutkie zmarszczki mimiczne w kącikach oczu, kosmyk włosów opadający zawadiacko na brew i lekki cień podkreślający gładkość wygolonych policzków - czuła od tego łaskotanie w żołądku.

- Czemu tak cię interesuje to zebranie?

- Chciałbym zobaczyć, co robisz.

- Po co?

- Ponieważ wydaje mi się, że pracujesz bardzo efektywnie. Może się czegoś od ciebie nauczę.

- Mianowicie czego?

- Techniki zarządzania są uniwersalne. Chętnie się przyjrzę, jak sobie radzisz ze swoimi programistami.
- A czym ty się zajmujesz?
- Moją domeną są nieruchomości. Przede wszystkim hotele. Obawiam się, że nie jestem najlepszym z menedżerów. Zwykle zostawiam tę czarną robotę innym. No więc? Pozwolisz mi pójść z sobą?
- Hotele. Imponujące.
- Mogę iść?
- Ile jest tych hoteli?
- Trzy. A co do zebrania...
- Czy masz też w Baltimore?
- Zebranie? Nie, nie tym razem.
- Hotel.
- Pracuję nad tym. - Westchnął. - Czemu wciąż się wykręcasz od odpowiedzi?
- Ponieważ dałam ci już dwa razy odmowną. - Corinne spojrzała na niego z wyrzutem. Wyszła z pokoju i ruszyła korytarzem. Corey szedł za nią jak cień.
- Czy ja cię drażnię?
- Tak.
- Dlaczego?
- Przypominasz mi konia wężącego za kostką cukru, a ja nią nie jestem.
- Konia. To coś nowego. - Corey podrapał się w tył głowy. - Ale mnie wcale nie chodzi o cukier, tylko o odrobinę twojego czasu.
- Po co?
- Chciałbym porozmawiać. Tylko porozmawiać.
- Cśś. - Spojrzała w stronę pokoju, który właśnie mijali, i powiedziała szeptem: - Mów ciszej, jeśli nie chcesz, by do rozdrażnienia doszło zakłopotanie.

Impulsywność była nieodłączna od Coreya, podobnie jak jego ciemnorude włosy. Starał się trzymać w ryzach przy Corinne, tym razem jednak emocje go poniosły. Zacisnąwszy długie palce na jej ramionach, popchnął ją plecami na ścianę, po czym oparł ręce po obu stronach jej głowy. Pochylone ciało zagradzało jej drogę odwrotu.

- Dojdzie zakłopotanie, i to nie tylko - wyszeptał wprost do jej ucha - jeśli nie dasz mi choć odrobiny satysfakcji, Corinne. Nie pytaj mnie, dlaczego jest to dla mnie ważne, ponieważ sam nie mam pojęcia, ale wiem, że muszę z tobą porozmawiać.

Westchnęła głęboko, otworzyła usta, by coś powiedzieć, zamknęła je, on zaś mówił dalej tym samym przyciszonym, niemal intymnym tonem:

- Chciałaś spytać: „O czym?” Widzisz, że już cię znam. Ostrzegam cię, że się nie poddam. Co wybierasz: scenę na biurowym korytarzu czy miłą, spokojną pogawędkę, gdy skończysz zebranie?

- Podobno chciałaś iść ze mną na to zebranie? - spytała, rozdrażniona słabością swego głosu. Bliskość Coreya Haradena, ciepło jego ciała, naturalny świeży zapach oddziaływały na nią, choć tego nie chciała.

- Skłamałem - powiedział gładko.

- No to jesteśmy kwita, ponieważ ja nie mam zebrania. - Spróbowała prześlizgnąć się pod jego ramieniem, ale po prostu je opuścił, jeszcze bardziej przypierając ją do ściany. Dzieliła ich tylko jej ręka z plikiem dokumentów i ołówkami.

- Wobec tego porozmawiajmy teraz.

- Muszę wrócić do pracy - pokręciła gwałtownie głową. - Zebranie z programistami zaplanowane jest po prostu później. Jeśli nie przebrnę przez te papiery, będzie stratą czasu zarówno dla nich, jak i dla mnie.

- No to po zebraniu.
 - Nie mogę. Skończy się bardzo późno, a potem jestem umówiona na kolację.
 - Stary żart o mężu i dzieciach?
 - Dobrze. Umówiłam się z babcią.
- Corey pochylił się nad nią jeszcze niżej, muskając policzkiem jej policzek, dotykając wargami jej ucha. Dziś miała w nich czarne klipsy, które pasowały do spódnicy. Poczul na ustach chłód emalii.
- Wymyśl coś innego.
 - Naprawdę - odpowiedziała drżącym szeptem. Choć stała oparta o ścianę, czuła, że nogi się pod nią uginają. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zamknęła oczy i jeszcze bardziej zbliżyła policzek do jego policzka. Skutek był elektryzujący. Otworzyła szeroko oczy i przełknęła z trudem ślinę. - Obiecałam babci, że wyjdziemy gdzieś razem.
 - Chodź ze mną na drinka, a potem wyjdź z nią.
 - Nie mogę. Babcia jada punktualnie o szóstej.
- Corey, odsuń się, proszę. Ktoś może tędy przechodzić.
- Czemu musi jadać o szóstej? Czy jest chora?
 - Lubi jadać o szóstej. Corey, proszę...
 - Zabierz mnie z sobą.
 - Nie mogę. Przestraszyłaby się.
 - Oczaruję ją.
 - Raczej przerazisz.
 - Tak jak ciebie?
 - Ja się nie boję. Corey... - powiedziała ostrzegawczym tonem, ale on nie zamierzał ustąpić.
 - Chciałbym poznać twoją babcię.
 - Na pewno nie. Jest sztywna.
 - Ty również. Ale przy odrobinie wysiłku da się pognieść nawet najbardziej wykrochmalony materiał.

- I jestem dla ciebie takim właśnie wyzwaniem?
 - Tak.
 - I dlatego nie dajesz mi spokoju?
 - Tak.
 - Jeśli się zgodzę z tobą porozmawiać, skończysz z tym?
 - Zdecyduję po rozmowie.
 - Corey...
 - Cori?
 - To nie fair. - Wsunęła wolną dłoń pomiędzy ich ciała i spróbowała go odepchnąć. Na próżno. Jego pierś była równie nieustępliwa, jak ściana. - Puść mnie.
 - Lubię, gdy mnie dotykasz - powiedział jeszcze ciszej.
 - Proszę. - Ręka opadła jej bezwładnie.
 - Porozmawiasz ze mną?
 - Tak.
 - Kiedy?
 - Nie... nie wiem.
 - Kiedy?
 - Jutro.
 - Kiedy jutro?
 - Ee... o dziesiątej mam aerobik. Możemy spotkać się na kawie o jedenastej, ale o dwunastej muszę być w domu.
 - Dlaczego akurat o dwunastej?
 - Żeby posprzątać. O pierwszej muszę się zająć dzieckiem.
 - Dzieckiem?
 - Corey, proszę...
- Ściszył ponownie głos, nie zamierzał jednak jej puścić, dopóki nie umówi się z nią dokładnie.
- Dobrze, opowiesz mi o tym jutro. Gdzie mam być o jedenastej?

Wymieniła nazwę małej kawiarenki w pobliżu budynku, w którym odbywały się zajęcia aerobiku.

- Lepiej powiedz mi, gdzie masz zajęcia. Nie ufam ci. Jeszcze wystawisz mnie do wiatru.

- I będziesz mnie tropił niczym pies gończy? - zaśmiała się nerwowo. - Bez obawy. Chcę z tym skończyć.

- Gdzie masz zajęcia?

Zagryzła wargi i nie odpowiadała, dopóki nie przycisnęła jej biodrami. Szybko podała mu adres.

- Dziękuję - powiedział, odsuwając się powoli. Odstąpił o krok i uśmiechnął się do niej. - Świetnie. Do zobaczenia jutro o jedenastej. Ciao.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, Corinne zaś, odetchnąwszy wreszcie z ulgą, przestała ścisnąć kurczowo dokumenty i ołówki, obciągnęła spódnice, uniosła brodę do góry i wróciła do swego pokoju, jak gdyby nic się nie zdarzyło.

Nic się nie zdarzyło, idiotko!

Nic? Nazywasz to niczym?

Wiesz, że miał rację. Nie dałaś mu wyboru.

Mogło mu wystarczyć zwykłe „nie”.

Nie. Jest uparty, i co z tego?

Jest arogancki jak diabli i nie lubię go.

To dlaczego cała drzysz jak osika?

Ponieważ sytuacja wymknęła mi się spod kontroli.

Gdy nazajutrz rano Corinne skończyła aerobik, wyglądała jak rekrut wracający z placu ćwiczeń. Przynajmniej ona sama tak uważała. Była nie umalowana, wilgotne włosy przylgnęły jej do karku. Miała na sobie dres, niegdyś koloru musztardy, teraz sprany i powyciągany. Nie mówiąc już o tym, że była spocona

i wyglądała niezbyt pociągająco. Dokładnie tak to sobie zaplanowała.

Niestety, jej plan spalił na panewce. Corey zagapił się na nią, po czym rzekł z szerokim uśmiechem:

- Nie wierzę własnym oczom! Wyglądasz cudownie!

Przez chwilę patrzyła na niego z niedowierzaniem. Serce w niej zamarło. Jasne, powinna się domyślić. Gdy go zobaczyła po raz pierwszy, sam nie wyglądał zbyt schludnie.

Nie wzięła pod uwagę, że on widział co innego. Dla niego stała się bardziej ludzka. Wyglądała młodo. I zdrowo. Policzki pałały naturalnym rumieńcem, gęste włosy były w nieładzie. Wprawdzie niezgrabny dres maskował figurę, ale Corey bez trudu wyobraził sobie, co kryje. Żałował, że drzwi do sali, w której odbywały się ćwiczenia, nie miały szyby. Chętnie zobaczyłby ją w akcji, w samym trykocie, poruszającą się w rytm rockowej muzyki.

- Jak ci poszło? - spytał, obejmując ją ramieniem.

- Nie dotykaj mnie! Jestem spocona! - wyrwała mu się z głośnym okrzykiem.

- Nic podobnego. - Tym razem uwięził jej dłoń, by nie poszło jej tak łatwo. - Dobrze było?

- Jak zwykle.

- Przychodzisz tu w każdą sobotę?

- Tak.

- Jesteś na mnie zła?

- Tak. - Właściwie była zła na siebie. Miała nowy dres i adidasy, poza tym mogła wziąć prysznic, jak zwykła robić, gdy musiała załatwić jakieś sprawy bezpośrednio po zajęciach. Miała nadzieję odstraszyć Coreya swoim wyglądem, ale jej się to nie udało.

Pozbawiona tej satysfakcji, czuła się po prostu brzydka. Owszem, była też zła na Coreya, ponieważ wcale nie był zbity z tropu, a poza tym nawet w zwykłych dzinsach i koszulce polo prezentował się świetnie.

- Chyba powinnam wrócić na kolejne ćwiczenia
- mruknęła. - Nie mogę powiedzieć, żebym czuła się rozluźniona.

- Po to tutaj chodzisz? Żeby się zrelaksować?

- Uhm.

- Dobrze - powiedział - wobec tego pospacerujmy chwilę, zanim pójdziemy na kawę.

Ku zdziwieniu Cori, rzeczywiście po prostu spacerowali. Nie odzywając się do siebie, szli najpierw szybkim krokiem, potem, gdy jej napięcie opadło, wolniej. Corey zdawał się dostosowywać do jej nastroju.

Zanim dotarli do kawiarenki, Corinne pogodziła się z myślą, że nic w tej chwili nie poradzi na swój wygląd, toteż postanowiła zachowywać się jak gdyby nigdy nic.

- Czujesz się lepiej? - spytał Corey, siadając przy stoliku naprzeciwko niej.

- Tak - przyznała niechętnie.

- Cieszę się. - Podał jej kartę, zaglądając jednocześnie do własnej. - Co byś mi poleciła?

- Mają tu naprawdę wspaniałą kawę.

- A coś bardziej konkretnego?

- Nadziewane bułeczki maślane własnego wypieku.

- A może trochę białka?

- Masz hopla na punkcie zdrowej diety?

- Nie. Jestem zwyczajnie głodny.

- W takim razie - pomachała na kelnerkę - zamówię coś dla nas obojga. Proszę dwa duże soki pomarań-

czowe z lodem, dwa omlety z serem na bekonie, dwa obarzanki z serkiem kremowym. Do tego dwie filiżanki kawy.

Corey słuchał w osłupieniu, jak Corinne recytuje całe zamówienie, po czym spytał kelnerkę:

- Czy są nadziewane bułeczki?
- Prosto z piekarnika.
- Wobec tego poprosimy również dwie. Dziękuję - rzekł z uśmiechem.

- Zamierzasz zjeść to wszystko? - spytała Cori, gdy kelnerka się oddaliła.

- Co znaczy jedna mała bułeczka przy tym, co zamówiłaś?

- „Jedna mała bułeczka” tutaj równa się trzem gdzie indziej, a zamówiłam swoją zwykłą porcję. Przez ostatnią godzinę spaliłam co najmniej pięćset kalorii. A jakie ty masz wytłumaczenie?

- Jogging na dachu hotelu?
- Daj spokój, przecież nie biegasz.
- Nie, ale byłem na długim spacerze, a teraz spacerowałam z tobą. Poza tym jestem od ciebie dużo większy i potrzebuję więcej kalorii.

Nic na to nie powiedziała. Usiadła wygodniej i cierpliwie czekała. Usta miała lekko rozchylone. Oczy mówiły: „W porządku, chciałeś porozmawiać. Pytaj.”

- Sympatyczne miejsce. Często tutaj przychodzisz?
- Czasami, z koleżankami z aerobiku. One też zamawiają bułeczki. - Nie uśmiechnęła się, nawet gdy Corey zachichotał.

- Zauważyłem. To znaczy niektóre z nich wyglądają trochę...

Skinęła głową.

- Rzeczywiście zajmujesz się dzieckiem?

- Tak.

- To regularna praca?
- Nie, przysługa.
- Zawiodła czyjaś opiekunka?
- To właściwie przyjemność dla mnie. Lubię dzieci.
Przypomniał sobie słowa Alana o jej miłym stosunku do Scotta i Jennifer.
- Zajmujesz się dziećmi Alana i Julie?
- Nie, mojej przyjaciółki. Ma trójkę maluchów, wiecznie nieobecnego męża i ani chwili dla siebie, jeśli za to nie zapłaci.
- A ty nie bierzesz od niej ani grosza?
- Nie.
- Kiepski interes, Cori.
- Ale za to dobra przyjaźń i wspaniałe dzieciaki.
- Skoro tak lubisz dzieci, czemu nie masz własnych?
- Ponieważ jestem niezamężna.
- Dlaczego?
- Bo nie chcę.
- Rozumiem. Praca wypełnia ci życie.
- Częściowo. Mam wiele innych ulubionych zajęć.
- Na przykład, pieczenie ciasta.
- Spojrzała na niego zdziwiona.
- Ciasteczka czekoladowe. Bardzo mi smakowały.
- Przyniosłam je dla Scotta - powiedziała, unosząc brew.
- Nie miał pojęcia, że sam wziąłem jedno, drugim poczęstował mnie z własnej woli, a trzecie podkradłem, gdy położył się spać.
- Bardzo nieładnie!
- Byłem głodny - usprawiedliwił się Corey. - No dobra, pieczesz. Co jeszcze lubisz?
- Przyjaciół. Aerobik. - Spojrzała na zbliżającą się kelnerkę. - Omlety z serem.

Jeśli miał nadzieję, że zrelaksowana Corinne zmięknie i otworzy się, był nadmiernym optymistą. Wciąż otaczał ją mur i Corey nie wiedział, jak go sforsować. Musi spróbować ją przekonać, że wcale nie jest taki zły, za jakiego go uważa.

- Po prostu pycha - rzekł, odkładając widelec. Omlet zniknął z talerza, podobnie jak obarzanek, została tylko gorąca bułeczka. Corinne miała rację, była rzeczywiście ogromna. Podzielił ją na trzy części, nim jednak odgryzł kęs, powiedział: - Rzadko mi się zdarza siedzieć tak spokojnie i jeść śniadanie. Zwykle się gdzieś spieszę.

Corinne jadła wolniej od niego, toteż nie skończyła jeszcze omletu, widział jednak, że go słucha.

- Mieszkam w Południowej Karolinie. Na Hilton Head. Byłaś tam kiedyś?

Pokręciła przecząco głową.

- Naprawdę piękna wyspa. Krajobraz plantacji jest wręcz niewiarygodny. Kwitnące trawy, karłowate palmy, potężne dęby z festonami oplątwy zwisającymi z konarów. - Corey zapalał się coraz bardziej, ponieważ kochał to miejsce i miał nadzieję ją do niego przekonać. - Mam dom na jednej z plantacji... Właściwie teraz to nie są plantacje jak sprzed wojny secesyjnej, lecz spore osiedla, wybudowane w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Ja mieszkam w Sea Pines, do którego prowadzi przepiękna droga. Jedzie się nią jak żywym zielonym tunelem, który o każdej porze dnia i zależnie od pogody zmienia wygląd. Ja najbardziej lubię jechać tamtędy o zachodzie - rzekł z uśmiechem - gdy słońce jest już wystarczająco nisko, by przeświecać przez gąszcz zieleni, złocąc wszystko na swej drodze.

- I przy okazji oślepiając - zauważyła Corinne.

- Ale gdy słońce świeci z tyłu, masz wrażenie, że jego promienie są energią, która pcha cię do przodu. Siedzisz w samochodzie i wyobrażasz sobie, że znajdujesz się na innej planecie, hen w przyszłości. Słońce napędza samochód, drzewa wytyczają drogę, a na horyzoncie majaczy błękitne niebo.

- Musisz przeżywać uczucie zawodu, wynurzając się z tunelu.

- Mmm. - Odgryzł spory kawałek bułeczki, nie mógł więc odpowiedzieć jej od razu. - Mój dom mi to wynagradza. Jest spokojny, chłodny i zacieniony. Stoi na samym końcu prywatnej drogi, tak że nie widzę obcych ludzi ani samochodów. Gdy wychodzę na taras, zamykam oczy i słucham szelestu liści, mogę udawać, że jestem w raju.

- Nie podoba ci się świat, w którym żyjemy? - spytała trochę cierpko.

- Ależ nie. Lubię go, naprawdę. Ale lubię też wyobrażać sobie inne światy. Może naczytałem się zbyt dużo fantastyki naukowej.

Corinne nigdy nie czytała fantastyki naukowej. Bardziej odpowiadał jej inny rodzaj literatury, była zafascynowana historią, a zwłaszcza jej cyklicznością. Zawsze ją zdumiewało, że kolejne cywilizacje popełniają wciąż te same błędy i przysięgła sobie, że jeśli chodzi o nią, będzie się tego wystrzeżała.

- W każdym razie - rzekł Corey z westchnieniem - mój własny świat przypomina zwariowane podwórko, toteż takie kradzione godziny są prawdziwą rozkoszą.

- Czemu jesteś taki zabiegany, skoro masz tylu menedżerów?

- Menedżerów mam do zarządzania. A każdego dnia muszę podejmować dziesiątki decyzji.

- Skoro już kupisz hotel i zaczniesz normalnie funkcjonować, co pozostanie do zrobienia? - Specjalnie zadała pytanie w taki sposób, by mogło pozostać bez odpowiedzi. Nie chciała, żeby Corey pomyślał, że ją to interesuje, ale była zadowolona, gdy odpowiedział.

- Trzeba ustalić pewną strategię, podjąć decyzje co do renowacji i rozbudowy. Pokojówki są instruowane przez kierowników, którzy z kolei otrzymują instrukcje z dyrekcji, dyrekcja zaś ode mnie. To ja decyduję o tym, że każdy gość hotelowy powinien być traktowany z szacunkiem.

- Taka zasada obowiązuje w twoich hotelach?

- Tak. Skoro ludzie dobrze płacą za pobyt w moim hotelu, powinni być dobrze obsłużeni.

- W przeciwnym razie więcej do niego nie wrócą. Mądre posunięcie handlowe. - Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że takie posunięcie może wynikać z jego uczciwości i życzliwości.

Corey przywołał gestem kelnerkę i poprosił o jeszcze jedną kawę.

- A ty, Cori? Napijesz się?

Spojrzała na zegarek. Zostało jej około piętnastu minut.

- Czemu nie? - odrzekła, wzruszając ramionami.

- Nie martw się, zdążysz. Sam może nie jestem zbyt punktualny, ale gdy w grę wchodzi czas innych ludzi, można na mnie liczyć. Może zresztą spóźnię się właśnie z powodu innych. Lubię przebywać z ludźmi, zapominam wtedy, że czas biegnie nieubłaganie.

- Twoja praca polega chyba na kontaktach z ludźmi?

- I dlatego tak ją lubię. Nie sądzę, bym mógł być programistą, artystą czy pisarzem. Własne to-

warzystwo przez dwadzieścia cztery godziny na dobę byłoby nie do zniesienia.

- Bardzo w to wierzę.
- Przekręcasz moje słowa - skrzywił się.
- Nic podobnego. Tylko je skomentowałam.
- Ale bierzesz wszystko bardzo dosłownie. Chodziło mi o to, że znudziłbym się, gdybym nie miał zewnętrznej stymulacji.
- Psychiatra powiedziałaby, że nie potrafisz dojść do ładu z sobą samym.
- Czy naprawdę na to wyglądam?
- Nie jestem psychiatrą - powiedziała.
- A co sądzisz o tym jako laik?
- Ty z pewnością uważasz, że potrafisz. Masz silnie rozwiniętą miłość własną, która kryje wiele grzeszków.
- Mylisz się... dobra, możemy mówić o miłości własnej, ale nie przesadnej, poza tym zapracowałem na to. Nie jestem w czepku urodzony, ale moje dzieci będą miały wszystko.
- Chcesz mieć dzieci?
- A nie powinienem?
- Miałeś na to już sporo czasu, a jakoś nic się nie zdarzyło.
- Jestem ostrożny. Dbam o moje kobiety. - Błąd! Nie powinien tego mówić. Skoro jednak już mu się wysnęło, prawda wydała mu się rzeczą najrozsądniejszą. Rzekł więc bez cienia uśmiechu: - W ciągu minionych czternastu lat ciężko pracowałem na mój sukces. I bawiłem się. W moim życiu było wiele kobiet, Corinne. Nigdy jednak nie powiedziałem żadnej z nich, że ją kocham. Mogę mieć mnóstwo wad, ale nie składał obietnic bez pokrycia. Pewnego dnia... - za-

milkł, marszcząc brwi. - Pewnego dnia trafię na właściwą kobietę. Wówczas pomyślę o dzieciach.

Corinne nie chciała go słuchać. Mówił z takim uczuciem, z taką... szczerością.

- To bardzo szlachetne podejście - powiedziała lekceważąco. - Jestem pewna, że „właściwa kobieta” będzie zachwycona.

Corey przesunął ze znużeniem dłonią po twarzy.

- Co we mnie tak bardzo cię drażni? Nie możesz mi zaufać choć w jednej sprawie? Miałem nadzieję udowodnić ci, że nie jestem wilkołakiem, za jakiego mnie uważasz, ale cokolwiek powiem, obracasz to przeciwko mnie. Co cię tak we mnie odpycha?

- Nic - skłamała. - Jesteś świetny.

- „Świetny” - pokręcił głową. - Po prostu bomba! Skoro tak uważasz, czemu nie chcesz się ze mną spotkać wieczorem?

- Nie mogę.

- Masz inne plany. Jak mogłem o tym nie pomyśleć - rzekł z przekąsem.

Corinne zachowała absolutny spokój, co rozdrażniło go jeszcze bardziej.

- Myślisz, co chcesz i postępujesz tak, jak uważasz. Nie przyjdzie ci do głowy, że ja mogę myśleć i działać inaczej. Nie przyjmujesz odpowiedzi odmownej.

- Tak jak w przypadku randki z tobą?

- Właśnie.

- Nigdy?

- Nigdy.

- Psychiatra miałby tu coś do powiedzenia - przedrzeźnił ją.

- Wiem, co powiedziałby psychiatra, i szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi. Chyba mamy jedną

cechę wspólną. Ja również myślę, co chcę i postępuję tak, jak uważam za stosowne. Niestety, myślimy o zupełnie różnych rzeczach.

- Patowa sytuacja.
- Na to wygląda.

Corey popatrzył z niesmakiem na resztę swojej bułeczki i sięgnął do kieszeni.

- Najadłaś się?
- Tak.

- No to chodźmy stąd. - Zostawił na stole należność z sutym napiwkiem i wyszedł za Corinne na ulicę.

- Gdzie jest twój samochód?

Ruszyli w milczeniu we wskazanym przez nią kierunku. Gdy dotarli do samochodu, Corinne otworzyła drzwi i odwróciła się do Coreya.

- Przepraszam, Corey - powiedziała. - To nie twoja wina. Zaprogramowałam sobie taki rodzaj życia, ponieważ tego właśnie potrzebuję. Muszę być zorganizowana, muszę stąpać po twardym gruncie. Są pewne rzeczy, z którymi nie umiem sobie poradzic, toteż unikam ich za wszelką cenę. Ty do nich należysz.

Mówiła tak łagodnym tonem, że miał ochotę krzyknąć. Opanował się jednak i wycofał na pozycję obronną.

- Nie jestem groźny - rzekł - i nie zamierzam rozszarpać cię na kawałki.

- Wiem.

- O co więc chodzi? Dlaczego nie chcesz dać mi szansy?

- A dlaczego miałabym ci ją dać?! - wykrzyknęła.

- Po co tracisz na mnie czas? Nie jestem dynamiczna, pełna życia ani czarująca. Czemu się mną bawisz?

- Nie bawię się tobą - odparł bardzo cicho.

- A jak to nazwiesz?

- Ja... do licha, nie ma znaczenia, jak to nazwę. Proszę. - Wskazał gestem na fotel kierowcy i zamknął za nią drzwi, gdy wsiadła.

Ku jego zdziwieniu, opuściła szybę.

- Dziękuję za śniadanie.

- Chętnie służę na przyszłość. Jedź ostrożnie.

- Może cię gdzieś podrzucić? - spytała po chwili wahania.

- Dziękuję, wynająłem samochód.

Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, niezdecydowana, po czym uruchomiła samochód i odjechała.

Gdy Corey otrząsnął się z przygnębienia, pomyślał, że jego plany wcale nie skończyły się całkowitym fiaskiem. Chciał porozmawiać z Cori, by czegoś się o niej dowiedzieć, i w pewnym stopniu mu się to udało, choć wiele szczegółów z jej życia pozostało tajemnicą. Dowiedział się jednak, że wcale nie jest jej obojętny. „Czemu się mną bawisz?” - spytała, sugerując w ten sposób, że kusi ją czymś, czego ona nie może mieć. Żeby być kuszoną, trzeba czegoś pragnąć. Pytanie tylko, dlaczego uważała, że nie może mieć tego, czego pragnie.

Następne pytanie, które się nasuwało, to dlaczego Corey jej pragnie. Wiedział, że tak jest. Namysł o niej czuł ścisnięcie w dołku, bynajmniej nie z powodu niestrawności.

Wyglądała po prostu uroczo. Podczas śniadania wciąż miała zaróżowione policzki. Włosy jej wyschły i Corey przypuszczał, że z trudem hamowała chęć, by je uczesać. Nie miała klipsów, dzięki czemu mógł podziwiać delikatne płatki jej uszu. Mały garbek na nosie dodawał jej charakteru, a ciemnobrązowe oczy z pewnością wyrażałyby całą gamę uczuć, gdyby im tylko na to pozwoliła.

Przypomniął sobie również te kilka chwil na korytarzu. Pochylony nad nią, czuł gładkość policzka, miękkość włosów. Czuł subtelny zapach, cytrynowy, lecz słodki. Z pewnością nie były to perfumy, nie, to nie w jej stylu, raczej szampon lub mydło.

Jego palce zaciskały się na szczupłych, lecz silnych ramionach, pierś muskała drobne, jędrne piersi. Przez jedną sekundę czuł jej wąskie, lecz obiecujące biodra.

Szczupła... jędrna... obiecująca. Tak, pragnął jej. Ale fascynowało go coś innego, coś w jej zachowaniu. Po raz pierwszy zwrócił na to uwagę, gdy siedząc w samochodzie, nie odprawiła go od razu, lecz próbowała się wytłumaczyć. Do głosu doszła jej wrażliwość, czuła się niezręcznie, ponieważ go uraziła. Podniosło to Careya na duchu.

Poza tym była wzruszająco bezbronna. Podobało mu się to ogromnie, po pierwsze dlatego, że nie spotkał dotąd takiej kobiety, a po drugie wyzwalało to w nim instynkt opiekuńczy, który po raz pierwszy dał o sobie znać.

Wiedział przez cały czas, że Corinne jest inna i że będzie wymagała zupełnie innego podejścia. Teraz, gdy zaczynał rozumieć, czym różni się od większości kobiet, mógł zacząć myśleć, jak się zabrać do jej oblaskawiania.

Pozostało jeszcze wiele pytań bez odpowiedzi. Ale jedno było pewne. Niezależnie od zdania Corinne Fremont na ten temat, on jeszcze z nią nie skończył.

ROZDZIAŁ

3

Gdy Corey odwiedził ponownie Baltimore w tydzień później, udał się prosto do gabinetu Alana. Uprzedził go nawet przez swoją sekretarkę, że przyjeżdża w interesach.

- W interesach? - spytał Alan.

- Tak - odpowiedział spokojnie Corey. - Chcę, żeby twoja firma przeprowadziła dla mnie badanie. A właściwie nie tylko dla mnie, lecz dla grupy przedsiębiorców z Hilton Head. - Podjął się niezbyt łatwego zadania. Był przygotowany na parę trudnych rozmów i ewentualne sfinansowanie całego przedsięwzięcia. Nie przejmował się kosztami, ale kontrakt podpisany przez kilku przedsiębiorców zawsze wygląda poważniej. Wszystko okazało się prostsze, nie musiał nikogo przekonywać na siłę. Jego projekt uzyskał poparcie. - Mam na wyspie hotel - mówił dalej - oraz kilka kompleksów mieszkalnych w budowie. Inni właściciele są w podobnej sytuacji. Sądzymy, że byłoby dla nas korzystne przeprowadzenie ankiety wśród osób przyjeżdżających na wyspę.

- Czemu tak nagle? - spytał Alan, sznurując usta.

- Ponieważ zbliża się sezon letni i liczba potencjalnych respondentów będzie największa. Obawa przed terroryzmem powstrzyma wiele osób przed wyjazdem do Europy, co oznacza, że będą szukały innej możliwości spędzenia wakacji. To opłacalny interes. Zarobimy krocie, jeśli będziemy znali wymagania gości.

- I to wszystko tak nagle? - nie ustępował Alan.

- Nagle - Corey wzruszył ramionami - ponieważ przedtem o tym nie pomyślałem.

- Czemu pomyślałeś teraz? - Alan przypatrywał mu się podejrzliwie. Corey wiedział, że jego przyjaciel jest bystrym facetem, ale on też nie był gapą. Wszystko sobie wcześniej przygotował.

- Przyszło mi to na myśl w związku z Corinne - wyjaśnił. Patrzył Alanowi prosto w oczy. - Chciałbym, żeby to ona przeprowadziła sondaż.

- Corey, Corey, Corey! Nigdy się nie poddajesz, prawda? - rzekł Alan, kręcąc głową.

- Nie.

- Sam się podejmę tego zadania. Wciąż pracuję jako analityk.

- Bez obrazy, ale ja chcę Corinne.

- Czemu?

- Ponieważ jest dobra.

- Ja też.

- Ale ty nie jesteś Corinne. Poza tym łączy nas zbyt bliska przyjaźń, byśmy mogli pracować razem.

- A jak bliska przyjaźń łączy cię z Corinne? Ptaszki ćwierkają, że widziałeś się z nią w zeszłym tygodniu. Nic mi o tym nie wspomniałeś, Corey.

- Wpadłem tylko na chwilę przywitać się.

- Nie ze mną.

- Byłeś zajęty. Nie chciałem ci przeszkadzać.

- A Corinne nie była zajęta? No i co zdarzyło się potem?

- Nic.

- W to akurat wierzę. U Corinne nic nie wskórasz.

Corey nie miał zamiaru mówić Alanowi o sobotnim spotkaniu. Corinne wyraźnie nie pisnęła słowem na ten temat, co oznacza, że nie pobiegła do Alana po ratunek. Potwierdzało to przypuszczenie Coreya, że potrafi radzić sobie sama.

- Corinne to specjalistka wysokiej klasy. To jedna z przyczyn, dla których zależy mi, żeby właśnie ona przeprowadziła sondaż.

- A jakie są inne przyczyny?

- Zrobi wrażenie na wszystkich na Hilton Head i wmiecha się z łatwością pomiędzy gości. Będzie mogła spędzić tam trochę czasu, tymczasem ty masz inne zobowiązania tutaj.

- Masz rację. Ze względu na Julie i dzieciaki nie podejmuję się zleceń, które wiążą się z wyjazdem. Lubię z nimi przebywać.

- Podziwiam cię za to, Alanie. Ale Corinne nie ma męża ani dzieci, a babcia świetnie radzi sobie sama.

- Potrzebna mi jest tutaj. Stanowi bardzo ważne ogniwo naszej firmy. Jeśli sądzisz, że pozwolę jej wyjechać na całe lato...

- Kto mówi o całym lecie? Chodzi mi o dwa tygodnie na wyspie i dwa tygodnie na miejscu w firmie. Czy nie tak pracują twoi analitycy? Nie mogą załatwić wszystkiego, nie ruszając się zza biurka.

- Nie, ale... wyczuwam, że za tym wszystkim kryje się coś osobistego.

- Już ci mówiłem, że Corinne nie jest w moim typie.

- Nie przeszkadzało ci to, gdy rozmawialiśmy ostatnio. Chciałeś ją koniecznie poznać.

- Posłuchaj - wycedził Corey - nie mogę ci obiecać, że nie zakocha się we mnie.

Alan roześmiał się na całe gardło.

- Corinne? Jak rak świśnie, a ryba piśnie!

- Skoro jesteś taki tego pewny, to gdzie widzisz problem? Chcę, żeby przeprowadziła dla mnie to badanie, ponieważ jest dobra i dyspozycyjna.

- Czy ktoś wspominał o dyspozycyjności? W tej chwili ma na warsztacie kilka innych projektów. Mówiłem ci, że jest mi potrzebna tutaj.

- Być może użyłem niewłaściwego słowa. Chodziło mi o brak rodziny. Posłuchaj, spójrz na to z innej strony. Gdyby przyszedł do ciebie facet z ulicy i poprosił, żeby twoja firma przeprowadziła dla niego badanie, rozważyłbyś kandydaturę Corinne, prawda?

- Sprawdziłbym, który z moich analityków jest wolny.

- Daj spokój, Alanie. Poza tobą jest tylko troje analityków, a skoro Corinne jest dla ciebie taka cenna, to znaczy, że jest lepsza od innych, a ja chcę kogoś najlepszego.

- Nie ufam ci.

- Co to znaczy?

Alan spojrział bezradnie w sufit, po czym przeniósł wzrok na fotografię Julie i dzieci, stojącą na biurku.

- Mieszkaliśmy długo razem, Corey. Rywalizowaliśmy ze sobą, a nawet dzieliliśmy się czasem kobietami. Choć po studiach nasze drogi się rozeszły, utrzymywaliśmy ze sobą kontakt. Byłem taki sam jak ty, dopóki nie spotkałem Julie. A ponieważ wiem, co to znaczy, wolałbym ustrzec przed tym Corinne.

- Szanuję cię, Alanie, za to, że ją chronisz. Aleja też dojrzałem. Wprawdzie nie ożeniłem się tak jak ty, ale

też nie jestem tym samym facetem co siedem lat temu. Zresztą nawet gdybym się nie zmienił, musiałbym być głuchy, ślepy i tępy, żeby nie widzieć, iż Corinne nie jest kobietą do zabawy. Zapewniłem cię, że jej nie skrzywdzę. Co mam jeszcze zrobić?

- Złożyć zamówienie w innej firmie - powiedział Alan, wypychając językiem policzek.

- To nie wchodzi w rachubę.

Alan spodziewał się takiej właśnie odpowiedzi. Znając Coreya, wierzył, że nigdy świadomie nie skrzywdziłby Corinne. Poza tym coś w wyrazie jego twarzy przypomniało Alanowi własne przeżycia, gdy pierwszy raz zobaczył Julie.

- No dobrze - powiedział. - Zlecenie przyjęte.

- Naprawdę? I Corinne przeprowadzi sondaż?

- Muszę ją najpierw o to spytać. Jeśli się zgodzi, jest twoja.

- Skąd ta nagła zmiana decyzji? - spytał podejrzliwie Corey.

- Przyszło mi na myśl - uśmiechnął się Alan - że to nie Corinne grozi niebezpieczeństwo.

- To znaczy?

- To znaczy, że będzie twardym orzechem do zgryzienia. Uroczym, ale twardym. I to ty możesz odnieść rany.

- Do licha, chcę tylko, żeby dla mnie pracowała.

- Dobrze. W takim razie czemu nie mielibyśmy porozmawiać z nią na ten temat od razu? Jest w biurze.

- Zaczekaj, może najpierw pomów z nią sam?

Alana rozbawiło wyraźne zdenerwowanie Coreya.

- Dlaczego? Skoro macie razem pracować...

- Może... może zechce poznać twoje zdanie na ten temat. Wie, że się przyjaźnimy. Nie chciałbym na nią naciskać.

- Boisz się, że odmówi?
- Ależ nie. Gdyby jednak miała jakieś... obiekcje, mógłbyś ją przekonać.
- Powiedz mi jedną rzecz, Corey. Czy gdybym ci odmówił, poszedłbyś do innej firmy?
- Nigdy w życiu - odrzekł prawie bez namysłu Corey. - Corinne albo nic.

Gdy Alan przedstawił jej całą sprawę, Corinne najchętniej wybrałaby opcję „nic”, postanowiła jednak nie kierować się uczuciami, lecz rozsądkiem.

- Pomysł sondażu jest dobry - przyznała. - Oboje wiemy, że można w ten sposób zebrać przydatne informacje. Czy przedtem robiono już coś takiego na Hilton Head?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Kto jest w to zaangażowany, oprócz twojego przyjaciela? - Ucieszyła się, że pytanie zabrzmiało tak bezosobowo. Nie była pewna, czy Alan wiedział o jej spotkaniach z Coreym, a jeśli nawet tak było, nie chciała, żeby pomyślał, iż cokolwiek się między nimi dzieje.

- Nie znam nazwisk - odrzekł Alan - ale Corey mówił o przedsiębiorcach z tej samej branży: hotele, kompleksy mieszkalne...

- Możesz sam się tym zająć, Alanie.

- On chce ciebie - odrzekł Alan, kręcąc głową.

- Czy powiedział dlaczego?

- Tak. Twierdzi, że przyjaźnimy się zbyt blisko i mam wiele innych zobowiązań. Uważa też, że jesteś najlepsza, i nie mogę odmówić mu racji.

Choć jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć, Corinne była pełna podziwu dla tupetu Coreya Haradena.

W sobotę rano czuła się głupio, odtrącając go. Próbo-
wała się wytłumaczyć i miała nadzieję, że ją zrozumiał.
Najwyraźniej się myliła.

- Pochlebstwa nic mu nie dadzą - mruknęła. - Nie
mam specjalnej ochoty pracować dla niego, Alanie.
Wiem, że to twój bliski przyjaciel, ale przecież sondaż
może przeprowadzić ktoś inny.

- Poprosił o ciebie.

- Wiem, ale to nie oznacza, że musisz się zgodzić.

Mam tyle innej pracy...

- Poradzisz sobie.

- To czasochłonny projekt. Wiąże się z wyjazdami
na Hilton Head.

Alan z trudem powstrzymywał uśmiech, widząc, jak
gorączkowo szuka jakiejś wymówki. Pomyślał, że
Corey zrobił na Corinne wrażenie, podobnie jak ona
na nim, i postanowił zetknąć tych dwoje.

Gdy rozmawiał wcześniej z przyjacielem, zauważył
w jego oczach wyraz dziwnej bezradności. Corey był
przez wiele lat „wolnym strzelcem”, być może zbyt długo.
Wygląda na to, że szuka miejsca, by wreszcie osiąść.

Corinne jest silna. Pod pewnymi względami bez-
bronna, lecz jednocześnie silna. Im dłużej Alan o tym
myślał, tym większej nabierał pewności, że byłaby
właściwą partnerką dla jego przyjaciela.

- Nie będzie tak źle - powiedział. - Właściwie ci
zazdroszczę. Latem jest tam pięknie.

- Tutaj również. A skoro mówimy o wakacjach,
dawno już zaplanowałam moje. Dwa tygodnie w ma-
łym zajeździe w Vermont w sierpniu. Zrobiłam rezer-
wację trzy miesiące temu.

- Rozmawiamy o pracy, Cori.

- Tak.

- Czy on cię denerwuje?
- Denerwuje? - Głos jej się załamał. - Dlaczego miałby mnie denerwować?

Alan potarł dłonią policzek.

- Mógłbym znaleźć kilka przyczyn.
- Na przykład, jego wygląd? Albo styl? A może agresywność, natarczywość, arogancja i dokuczliwość?

- Skąd znasz te cechy Coreya?

- Ja... to intuicja - odrzekła szybko. Odniosła wrażenie, że Alan jest wyraźnie rozbawiony, tymczasem ona nie widziała nic zabawnego w perspektywie bliskich kontaktów służbowych z Coreym Haradenem. - Myślę, że wspólna praca może nastreczyć pewnych trudności.

-Tak?

- Oboje jesteśmy uparci. Obawiam się, że możemy zewrzeć się rogami.

- To jest praca, Cori. Miewamy trudnych klientów i nigdy cię to nie odstraszało. Corey nie przysporzy ci problemów. - Przynajmniej jeśli idzie o pracę, dodał w myśli.

Corinne pomyślała dokładnie to samo. Powoli pokręciła głową.

- Nie sędę, żeby to był dobry pomysł.

- Wyświadczysz mi przysługę.

- Ponieważ Corey jest twoim przyjacielem?

- Owszem. Płaci tak jak każdy inny klient, ale w grę wchodzi tu moja duma. Chciałbym, żeby został obsłużony idealnie.

- Ciebie też pochlebstwa nigdzie nie zaprowadzą.

- Potraktuj to zlecenie jak wyzwanie. Czy poradzisz sobie? Czy poradzisz sobie z takim agresywnym, natarczywym, aroganckim i dokuczliwym klientem jak Corey Haraden?

Celowo i bez wyrzutów sumienia Alan zagrał na ambicji Corinne, która podczas pięciu lat pracy u niego podejmowała się najtrudniejszych zadań i miała do czynienia z najgrymańszymi klientami.

- Cios poniżej pasa - powiedziała cicho, krzywiąc się.

- Czy to oznacza odpowiedź twierdzącą?

- Tak. - Westchnęła tak głęboko, że aż zakręciło jej się w głowie. - Miałam już do czynienia z agresywnymi klientami.

- Ale nie takimi jak Corey - drażnił się z nią.

- Poradzę sobie i z nim, dobrze?

Alan zdawał sobie sprawę, że zmusił ją do tego podstępem. Wiedział też, że gdyby nagle zmienił zdanie i wycofał propozycję, obstawałaby przy tym, by ją przyjąć. Duma to wspaniała rzecz, pomyślał.

- Jesteś pewna? - spytał.

Nie zadała sobie trudu, by odpowiedzieć. Nie chciała nawet myśleć o całej sytuacji. Była świadoma, że została w nią wmanewrowana, ale w głębi duszy cieszyła się z tego i wolała nie zastanawiać się nad przyczynami.

- Jak wygląda harmonogram prac?

- Corey wpadnie tutaj rano - odpowiedział Alan. - Możesz z nim usiąść i przedyskutować szczegóły projektu. Przypuszczam, że zechce, byś zapoznała się z warunkami na Hilton Head i spotkała się z innymi członkami grupy. Zorientuj się, kiedy będziesz mogła pojechać. Może zechcesz zerknąć na projekt Marriotta, który zrealizowaliśmy kilka lat temu.

Corinne sporządzała już w myśli plan. Wszystko ułoży się dobrze, jeśli zajmie się wyłącznie pracą. Projekt jej się podobał, lokalizacja również. Fakt, że

PRZECIWIENSTWA SIE PRZYCIAGAJA-

główny klient mógł okazać się cierniem w jej boku, był sprawą drugorzędną. Poradzi sobie z nim.

Gdy nazajutrz rano recepcjonistka zaanonsowała Coreya, Corinne była gotowa do walki. Jej zbroję stanowił szary kostium z usztywnionym kołnierzykiem oraz krawat. Barwy wojenne - ciemny cień do powiek oraz tusz do rzęs, odrobina różu i błyszczyka do warg. Jeśli idzie o stan jej ducha, to połowę nocy przygotowywała się do tej nieprzyjemnej konfrontacji.

Ale Corey, który wszedł do jej pokoju, był innym człowiekiem, niż się spodziewała. Elegancki, stonowany, w jasnoszarych spodniach, tweedowym blezerze i mokasynach oraz starannie zawiązanym krawacie. Na twarzy nie miał śladu samozadowolenia, które zamierzała mu popsuć, lecz przyjazny, zaraźliwy uśmiech. Jedyne, co mogła zrobić, to go nie odwzajemnić.

- Wiem od Alana, że zgodziłaś się wykonać dla mnie tę pracę - rzekł pogodnie. - Ogromnie się cieszę.

- Ma dużą siłę perswazji. - Corinne odchrząknęła.

- Jest wprawdzie trochę stronniczy, ale przekonujący.

- Siedziała przy biurku, nie unosząc się, by podać mu rękę. NŚgle poczuła się głupio. Wojna to jedno, ale nie wolno zapominać o dobrym wychowaniu. Przecież nie chce zasłużyć na miano osoby nieuprzejmej. - Usiądź, proszę - powiedziała.

- Od czego więc zaczniemy? - spytał Alan, siadając naprzeciwko niej i splatając dłonie.

Nie masz prawa mi tego robić! Wiedziałaś, że nie chcę z tobą pracować ani mieć w ogóle do czynienia! Jesteś aroganckim łajdakiem!

- Mógłbyś zacząć od wyjaśnienia, o co ci chodzi. Wiem, co powiedziałaś Alanowi, ale wolałabym usłyszeć to bezpośrednio od ciebie.

Corey widział, że Corinne jest w bojowym nastroju i przysiągł sobie, że jej nie sprowokuje. Miał przeczuć, że potrafią ze sobą świetnie współpracować i gotów był pójść na wszelkie ustępstwa.

Powtórzył więc to, co powiedział Alanowi o sondażu, pomijając oczywiście swój wstępny warunek, dotyczący zaangażowania Corinne.

- Potrzebujemy informacji do perspektywicznego planowania - zakończył. - Myślisz, że udałoby ci się je zdobyć?

- Oczywiście. Na tym polega moja praca - powiedział, parafrazując jego słowa. - Skoro ludzie dobrze płacą, powinni być dobrze obsłużeni. Zakładam, że ustaliliście już stawkę z Alanem.

- Prawdę mówiąc, nie. Zapłacę, ile będzie trzeba. Chcę, żeby zlecenie zostało wykonane dobrze, a wy mi to gwarantujecie.

- Ach tak?

- Ach tak. A teraz, co do informacji...

Corinne była cięta niczym osa i wstydziła się za siebie. Corey zachowywał się sympatycznie, jak gdyby nigdy nie zaistniał między nimi żaden dysonans. Odechnęła głęboko i postanowiła wziąć z niego przykład.

- Muszę dowiedzieć się jak najwięcej o Hilton Head. Czytałam o niej trochę...

- Kiedy zdążyłaś?

- Wczoraj wieczorem.

- Całkiem nieźle, Cori - pokręcił z podziwem głową.

- Nie za dobrze, Corey. W bibliotece mają niewiele na ten temat, może ze dwa akapity w przewodniku turystycznym, parę artykułów w czasopiśmie.

- Nie martw się. Mogę ci przysłać mnóstwo materiałów. Ale najlepiej przyjedź sama i obejrzyj wszystko na miejscu.

Wiedziała, że poddaje ją próbie. Nie zdradzały go ani oczy, ani głos. Wydawał się całkowicie rozluźniony i szczery, a jednak Cori była pewna, że to próba. Chciał się przekonać, czy stchórzy, czy też zdecyduje się na podróż.

- Tak, to najlepsze rozwiązanie - zgodziła się gładko. - Zwiedzę wyspę i będę miała możliwość porozmawiania z członkami twojej grupy. Wnioski będę wyciągać sama, ale muszę wiedzieć dokładnie, czego spodziewacie się po sondażu.

- Zorganizuję wszystko - skinął głową Corey. - Podaj mi datę przyjazdu. Jesteśmy w stanie przygotować się w ciągu jednego dnia, choć lepiej byłoby mieć w zapasie dwa lub trzy.

Jest pewien, że wybiorę metodę kunktatorską i zaproponuję spotkanie najwcześniej za miesiąc, pomyślała, biorąc kalendarz z górnej szuflady biurka.

- Co powiedziałbyś na przyszłą środę?

To już za pięć dni. Oszalałaś, Corinne? Nie ma mowy, żeby udało ci się do tej pory wszystko wyjaśnić, a w dodatku przygotować się psychicznie.

- Mogłabym przylecieć dość wcześnie, dzięki czemu mielibyśmy do dyspozycji środowe popołudnie, czwartek, piątek oraz sobotę. - Podniosła na niego niewinny wzrok. - Jeśli, oczywiście, wygospodarujesz dla mnie czas.

Corey wprost nie posiadał się z radości, ale powściągnął ją i odpowiedział spokojnym tonem:

- Jasne, że tak. Zadzwoń później do mojej sekretarki i poproszę, żeby przesłała ci ekspresem lotniczym potrzebne informacje. Czy ma również zarezerwować dla ciebie bilet lotniczy?

- Nie trzeba. Sama to załatwię.

Wyjął wizytówkę z wewnętrznej kieszeni blezera i położył na jej biurku.

- Zadzwoń do nas, gdy wszystko ustalisz. Samo chód będzie czekał na ciebie w Savannah. Stamtąd jest już tylko czterdzieści pięć minut jazdy.

Sięgnęła po ołówek, nie dotykając wizytówki.

- To brzmi zachęcająco.

- Świetnie. - Podniósł się z uśmiechem z krzesła. - A więc jesteście umówieni?

- Chyba tak - odpowiedziała, notując coś w kalendarzu. - Gdybym miała jakieś pytania, zadzwonię. Jeśli nie - do zobaczenia w przyszłą środę.

Coreyowi przemknęło przez myśl, żeby podać jej rękę, szybko jednak zrezygnował. Choć bardzo pragnął poczuć ciepło jej szczupłych gładkich palców, postanowił, że to spotkanie będzie krótkie i absolutnie niewinne. Poczeka, aż znajdzie się na jego terenie. Dla pewności schował ręce do kieszeni i uśmiechnął się.

- Zatem do zobaczenia - rzekł cicho i wyszedł z pokoju.

Corinne długo wpatrywała się w drzwi, za którymi zniknął. Czuła dziwne ściskanie w dołku, po chwili jednak przeważył gniew.

Był zbyt sympatyczny.

Usiłował być grzeczny.

Próbował mnie oszukać. To pułapka. Wiem o tym.

Jesteś zbyt podejrzliwa.

Podejrzliwość to moja siła. Muszę się pilnować.

Sama przyznaj, czy nie wyglądał rewelacyjnie?

Jest niebezpieczny.

A gdy kładł wizytówkę na biurku, czy nie zagapiłaś się na brązowe włoski nad jego nadgarstkiem?

Wcale nie. I nie są brązowe, lecz kasztanowate.

Uśmiecha się tak miło i przyjaźnie. Tworzą mu się wtedy dołeczki w policzkach. Idę o zakład, że goli się dwa razy dziennie.

Nigdy się nie dowiesz. Nie będziesz mu się przyglądać z tak bliska. To próba.

Mmm. I to bardzo kusząca.

To próba mojej siły. Udowodnię sobie i jemu, że potrafię go trzymać na odległość.

Rzeczywiście? Co za nuda!

Raczej ostrożność. On jest groźny.

Ale pociągający, nie sądzisz?

Mnie wcale nie pociąga. Przekonasz się.

I podniósłszy ołówek, starannie zamazała bezsensowne bazgroły w kalendarzu.

W Savannah czekał na Corinne czarny, nisko zawieszony samochód Coreya. Właściwie spodziewała się tego, nie potrafiła jednak opanować rozdrażnienia. Oblała ją fala gorąca. Koniec maja w Baltimore był dość ciepły. W Georgii upał dawał się jeszcze bardziej we znaki. Zastanawiała się, jak będzie się czuła na nizinach Południowej Karoliny, chyba się całkiem rozpuści.

Corey, który stał oparty o samochód, wyprostował się i ruszył w jej stronę. Miał na sobie zwykłe spodnie i modną obszerną bluzę z krótkimi rękawami. Błysnął w uśmiechu białymi zębami i wzięwszy jej torbę, przewiesił sobie przez ramię.

- Jaki miałś lot?
- Dziękuję, świetny.
- Przyleciałaś bardzo punktualnie. Nie mieli ani odrobiny opóźnienia w Atlancie, prawda?
- Aha.
- No to ci się poszczęściło. Nakarmili cię?

- Jadłam śniadanie. - W istocie zjadła niewiele, ponieważ jej żołądek należał do raczej kapryśnych.

- Przekąsimy coś po przyjeździe na wyspę. - Corey otworzył drzwi od strony pasażera i ustawił torbę Cori za siedzeniami, następnie odsunął się, by mogła wsiąść. Wśliznęła się z wdziękiem na swoje miejsce, choć przy niskim zawieszeniu samochodu stanowiło to wyczyn nie lada.

Cori ustawiła płaską torebkę obok stóp, po czym wyciągnęła nogi i wygładziła białe bawełniane spodnie. Strzepnęła z nich jakiś drobny pyłek, następnie poprawiła niebieską bluzkę. Wszystko to, zanim Corey zajął miejsce za kierownicą. Włączył stacyjkę i klimatyzację. Twarz Cori owionął strumień chłodnego powietrza.

- Och, jak przyjemnie - powiedziała, wciągając głęboko powietrze i sięgając po pas. - Nie byłam przygotowana na taki upał. - Bóg świadkiem, że myślała zupełnie o czym innym, szykując się do tej podróży.

- Nie musisz się martwić. Wszędzie z wyjątkiem plaży mamy klimatyzację, poza tym zawsze można odświeżyć się w wodzie. - Przyglądał się przez chwilę, jak zapina pas, który rozdzielił ukośnie jej piersi, podkreślając ich kształt. Z pewnością nie wiedziała o tym, w przeciwnym razie nie siedziałyby tak spokojnie.

Stłumiwszy westchnienie, spojrział w lusterko wsteczne i wycofawszy samochód, wyjechał z terminalu.

- Dostałaś materiały, które ci wysłałem?

- Tak, dziękuję. Znalazłam w nich mnóstwo przydatnych informacji.

Strasznie oficjalna, pomyślał. Musi spokojnie nad tym popracować.

- Umówiłem cię na spotkania z innymi właścicielami hoteli i kilkoma właścicielami sklepów. Z pewnością cię zorientują cię ogólnie, co chcą wiedzieć. Sądzę jednak, że najwięcej skorzystasz, gdy posłuchasz, co mówią o własnych doświadczeniach. Bez wątpienia zwrócisz uwagę na sprawy, które nam umykają.

Skinęła głową. Idealny klient - taktowny i pełen intuicji. Zbyt taktowny. Ciekawe, co też kryje w rękawie? Jego intuicja też jest niebezpieczna. Czy domyśla się, że nie spała przez pięć nocy i złości ją, że podziwiała jego szczupłe palce, spoczywające z wdziękiem na kierownicy?

Spróbowała skoncentrować uwagę na tym, co dzieje się za oknem.

- Tak wygląda Savannah? Jest znacznie bardziej... skromne, niż sobie wyobrażałam.

- Dyplomatyczne określenie. Ja nazwałbym je podupadłym. Ale to są przedmieścia. Centrum ma swój urok. Na tym terenie znajduje się wiele zabytków o znaczeniu historycznym. Moglibyśmy przyjechać tu któregoś popołudnia na zwiedzanie.

- Byłoby miło, ale nie mamy czasu. Chciałabym jak najszybciej wykonać moje zadanie.

- Rzeczywiście, informacja potrzebna mi na wczoraj.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wstępne plany sondażu będą gotowe w tydzień po moim powrocie do Baltimore.

- Masz na myśli sam kwestionariusz?

- Między innymi. Najpierw trzeba podjąć inne decyzje.

- Na przykład jakie?

- Musimy wybrać formę sondażu.

- A co ty byś proponowała?
- Ogólnie? Przy badaniu rynku możemy zastosować trzy sposoby. Pierwszy to ankieta telefoniczna. Drugi - rozsyłanie kwestionariuszy pocztą. Właściwie moglibyśmy wykorzystać ten sposób z pewną modyfikacją.
- Mianowicie?
- Przyszło mi na myśl, żeby przez określony czas, powiedzmy, przez miesiąc, zostawiać ankiety gościom hotelowym w pokojach. Wypełnialiby je, oczywiście, dobrowolnie.
- A trzeci sposób?
- Bezpośrednie wywiady. Dopiero w nich uzyskuje się interesujące informacje.
- Coś poza „tak” i „nie”?
- Właśnie. - Cori ogarniał coraz większy entuzjazm. Zaznajamiała go z rodzajami kwestionariuszy, pytaniami i sposobami przeprowadzania wywiadów. Corey słuchał jej z przyjemnością. Sprawiała wrażenie kompetentnej i pewnej siebie, a jednocześnie jej głos był taki ciepły i łagodny, zatracił swą zwykłą ostrość.
- A jak umawiasz się na wywiady?
- Umieszczam specjalne pytanie na ten temat w ankiecie.
- Czy spotkanie odbywa się od razu w hotelu?
- To niewykluczone, ale raczej pytamy, czy moglibyśmy skontaktować się z respondentem później. Dajemy mu w ten sposób czas na wypełnienie ankiety i nie uszczuplamy czasu przeznaczonego na urlop. W tym stadium możemy poprzestać na kontakcie telefonicznym.
- Nieźle pomyślane - rzekł z uznaniem Corey.
- To moja praca.

- Czy twoja praca pozwoli ci na chwilę odpoczynku?

- W nocy, gdy będę sama w moim pokoju.

- Czy tak zarządził Alan?

- Nie, ja sama - odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

- A co ze mną? Czy nie mam prawa głosu? Przecież jestem szefem.

Skinęła głową, myśląc, że dobrze byłoby wiedzieć, co ją czeka.

- W porządku. Jakie ty wydasz polecenia?

- Trzy posiłki dziennie plus przerwy na kawę. Poza tym powinnaś poznać tutejsze nocne życie. To również wchodzi w zakres obowiązków służbowych.

- Ach tak?

- Jasne. Najpierw musisz sama zobaczyć, co nasza wyspa ma do zaoferowania, prawda?

- Ale bez przesady.

- Czy koncert zespołu, dancing lub spacer w świetle księżycy uważasz za przesadę?

Zdecydowanie, pomyślała. Cóż, pierwsza propozycja była dość niewinna, ale druga i trzecia... Kłopoty, Corinne. Nie w twoim stylu i nie z tym mężczyzną. Będzie wspaniałym tancerzem, przytulającym cię stanowczo zbyt blisko. A na plaży, w świetle księżycy, zrzuci buty, podwinie nogawki spodni i będzie szeptał ci czułe słówka do ucha, obejmując cię ramieniem. Ty zaś poczujesz, jak przenika cię mróz. Wspomnisz wszystkie samotne lata, gdy jedyną rzeczą, o jakiej marzyłaś, byli rodzice, oni zaś fruwali gdzieś po świecie z coraz to innymi partnerami, traktując życie nader lekko. Przypomnisz sobie ślubowanie, które złożyłaś pewnej nocy, w wieku dwunastu lat, gdy miałaś dość zajmowania się Roxanne oraz ciągłych wymagań

babci i pragnęłaś, by ktoś zdjął to brzemień z twoich barków. Postanowiłaś wówczas, że nigdy, przenigdy nie postąpisz tak jak twoi rodzice. Pomyślisz o Tomie O'Neillu, Richardzie Batesie, Seanie Higginsie i Peterze Franku, o tym, jak są bezpieczni. I zdasz sobie sprawę, że życie z Coreym Haradenem nigdy nie byłoby bezpieczne.

- Hej -dobiegło ją ciche wołanie z fotela kierowcy, męska dłoń musnęła delikatnie jej kolano. - Dobrze się czujesz? Nie chciałem cię zdenerwować. Oczywiście podczas pobytu tutaj możesz robić, co zechcesz. Wybór należy do ciebie.

Corinne obrzuciła Coreya szybkim, lekko przestraszonym spojrzeniem. „Wybór należy do ciebie.” To właśnie stanowiło problem. Po raz pierwszy w życiu Corinne miała ochotę spacerować nocą po plaży z atrakcyjnym mężczyzną. Ale pokusa tkwi u źródeł wszelkiego zła, prawda?

- Cori?

- Nic mi nie jest. - Spuściła głowę i zacisnęła dłonie na kolanach. Powoli podniosła wzrok. - Wszystko w porządku.

- Możesz coś dla mnie zrobić? - Wolną ręką delikatnie rozchylił jej palce i pogłaskał wnętrze dłoni.

- Słucham? - Oddychała z trudem. Co ma robić, co odpowiedzieć...

- W schowku są moje okulary słoneczne. Czy mogłabyś mi je podać?

- Jasne. - A więc o to chodzi. Z ulgą spełniła jego prośbę.

- Dzięki. Tak jest znacznie lepiej. Gdy jechałem po ciebie, niebo było lekko zachmurzone, a teraz słońce świeci na całego. Noszę szkła kontaktowe i ostry blask razi mnie w oczy.

- Ty nosisz szkła kontaktowe?
- Trudno w to uwierzyć, wiem. Już zaczynałaś uważać mnie za chodzący ideał, a tu taka skaza, okazałem się krótkowidzem.
- Czemu nosisz kontakty? - Przyjrzała mu się z ukosa. - Przecież dobrze ci w okularach.
- Hm, raczej skromnie powiedziane!
- Jestem próżny, przyznaję. Poza tym w szklach kontaktowych lepiej widzę i nie muszę zastanawiać się, gdzie położyłem okulary.
- A więc ten wspaniały zielony kolor oczu nie jest twoją zasługą! Jakie są naprawdę?
- Zielone. Noszę przezroczyste soczewki.
- Słowo?
- Słowo.
- Włosów chyba również nie farbujesz?
- Zartujesz sobie ze mnie! Hej, mogę nosić kontakty, żeby nikt nie wiedział, iż jestem krótkowidzem, ale cała reszta jest prawdziwa. - Uszczypnął się w szyję, w ramię, w udo. - Proszę, spróbuj. To nie drewno ani plastik.
- Wierzę ci na słowo - powiedziała szybko.
- Moje włosy nie zawsze miały taki kolor. W okresie młodzieńczym były ognistorude. Stąd mój przydomek.
- Przydomek? - Nie miała pojęcia, o co mu chodzi.
- Nieważne - powiedział cicho.
- Czemu nie chcesz mi powiedzieć?
- Proszę, jaka się zrobiła nagle ciekawa! Myślałem, że wiesz od Alana. Zawsze z tym wyskakuje.
- Corey...
- Kardynał - rzekł z westchnieniem. - To pamiątka po mojej przeszłości. Niech tam pozostanie.

Nagle zdarzyło się coś, co wynagrodziło Coreyowi z nawiązką jego zażenowanie. Corinne roześmiała się, wprawdzie cicho i nieśmiało, ale szczerze.

- Kardynał? Fantastyczne! Chyba nie chodzi tu o dostojnika kościelnego?

- Nie - odparł, spoglądając na nią raz po raz. - Czy wiesz, że po raz pierwszy słyszę, jak się śmiejesz?

- Czasami mi się to zdarza.

- Powinnaś to robić częściej. Uroczy dźwięk.

- Jestem tego pewna. - Odwróciła głowę do okna.

- A niech to, wracamy do punktu wyjścia - mruknął, po czym dodał głośniejszym głosem: - Śmiech nie jest niczym niestosownym. Nawet moim kosztem.

- Musisz przyznać, że Kardynał to dość zabawny przydomek.

- Przyznaję, przyznaję...

- Jak na rudego masz nietypowy kolor opalenizny.

- Odziedziczyłem kolor włosów po jakimś przodku ze strony matki. To wszystko.

- Znałam kiedyś mężczyznę o przydomku Srebrny Lis - powiedziała cicho Corinne. - Kiedyś nazywano go tak, ponieważ posiwał, nim skończył trzydziestkę. Teraz ma już czterdzieści osiem lat i wciąż go tak nazywają, ale raczej ze względu na to, że chytrą i ruchliwą przypomina lisa. - Spojrzała na Core-ya. - Pominąwszy kolor włosów, czym zasłużyłeś na swój przydomek?

- Niczym. - Wsunął do przodu brodę. - No, może jeszcze tym, że fruwałem tu i tam.

- Eufemizm!

- Ta-ak. Do licha, Cori, przecież nigdy nie twierdziłem, że byłem święty.

- Jasne.

Corey chrząknął, ale nie powiedział nic więcej. Był wściekły na siebie, że w ogóle wspomniał o swoim przydomku. Z drugiej strony udało mu się ją rozśmieszyć. Naprawdę się roześmiała.

Nie, nie powinien ukrywać przed nią swej przeszłości, raczej pokazać, że dojrzał, zmienił się. Jeśli potrafi to udowodnić, łatwiej jej będzie pogodzić się z jego przeszłością.

Jedynym wyjściem jest kompromis, pomyślał, wjeżdżając na podwójny most prowadzący na Hilton Head. Odrobina szelmstwa, odrobina dobrego wychowania. Da się z tym żyć. A ona nie będzie w stanie się oprzeć.

ROZDZIAŁ

4

Wyspa Hilton Head miała kształt stopy. Na wysokości kostki rozciągały się malownicze plantacje: Rose Hill, Moss Creek, Indigo Run. Na pięcie znajdował się Port Royal, a na podeszwie Palmetto Dunes, Long Cove oraz stocznia. Osiedle Sea Pines, jak Corey poinformował Corinne, mieściło się w okolicy palców. Przed udaniem się tam, wstąpili na lunch.

Restauracja „Ruby Tuesday” miała kosmopolityczny charakter. Kolorowe witraże, wiszące lampy od Tiffany'ego, wesoło nakryte stoły sprawiały sympatyczne wrażenie, a menu było zachęcające. Corinne, która z ulgą uciekła od intymności samochodu Coreya, stwierdziła, że trudno byłoby wybrać miejsce bardziej sprzyjające odprężeniu.

Przechodząc obok baru sałatkowego, wybrała *tarte*, Corey zaś *baconburgera*. Uniosła ze zdziwieniem brwi, gdy zamówił oprócz tego chipsy z cukini i faszerowane ziemniaki.

- Są tutaj fantastyczne - zapewnił ją. - Zobaczysz.

Pomyślała, że lepiej się nie sprzeciwiać. Jej żołądek zaczął się powoli uspokajać, gdy znaleźli się już na

wyspie i podziwiała przez okno samochodu jej krajobraz. W miejscu publicznym rozluźniła się zupełnie i pomyślała, że jeśli reszta jej podróży upłynie wśród ludzi, może jakoś uda jej się przetrwać.

Gdy czekali na coś chłodnego do picia, Corey opowiedział jej więcej o Hilton Head i jak doszło do tego, że się tutaj osiedlił. Rozmowa nie dotyczyła jej osobiście i przez złudną chwilę mogła udawać, że Corey jest jednym z wielu zwykłych klientów.

Złudzenia te prysły jednak natychmiast, gdy wstali, by podejść do baru sałatkowego i uświadomiła sobie, jak bardzo Corey jest wysoki i harmonijnie zbudowany. Po drodze zatrzymywał się kilkakrotnie, by przywitać się z przyjaciółmi. Machano do niego ze wszystkich stron, widać było, że jest tu dobrze znany i lubiany. Podkraść czarną oliwkę z misy na kontuarze i wrzuciwszy ją prosto do ust, uśmiechnął się do Cori szelmowsko, wzruszając ramionami. Gdy puścił oko do kelnerki, która podała im zamówione dania, Corinne była już pewna, że jest pożeraczem kobiecych serc.

- Opowiedz mi teraz o innych swoich projektach - powiedział, odgryzając potężny kęs *baconburgera*.

Wziąwszy parę głębokich oddechów, by wyrównać puls, Corinne chętnie zaspokoiła jego ciekawość. Praca to bezpieczny temat.

- W ciągu ostatnich miesięcy zrobiłam kilka ciekawych badań. Jedno z nich przeprowadziłam dla uniwersytetu, który chciał wiedzieć, co myślą studenci o poszczególnych przedmiotach. Potem pracowałam dla ogólnokrajowego wytwórcy artykułów sportowych, którego z kolei interesowało, czemu ludzie nie kupują produkowanych przez niego rakiet tenisowych.

- Co jeszcze? - spytał Corey, sięgając po omacku po chipsa z cukini.

- Chodzi ci o projekty? - To nie fair, żeby mąż czyzna miał takie oczy. Zielone jak szmaragady, przenikliwe, podniecające. Wolała myśleć, że jest od porna na ich urok, ale przyspieszone bicie serca mówiło jej, że jest inaczej.

Projekty. Skoncentruj się, Corinne. Projekty.

- Są bardzo różne. Znacznie bardziej zróżnicowane, niż myślałam, zaczynając pracę u Alana.

- A czemu wybrałaś jego firmę?

- Zaproponował mi pracę w dziedzinie, która mnie interesowała.

- Zawsze mieszkałaś w Baltimore?

- Tak.

- A gdzie studiowałaś?

- W Goucher.

Uśmiechnął się, chrupiąc kolejnego chipsa.

- Znałem kiedyś dziewczynę z tej uczelni. Była naprawdę ładna. Może... Nie, nie mogłaś jej znać, skończyła studia pięć lub sześć lat przed tobą. Przepraszam, że ci przerwałem. Mów dalej.

Przymrużył jedno oko, kompletnie ją rozbrajając. Gdy je otworzył, dał jej znów odczuć siłę swego szmaragdowego spojrzenia. Czy zielone oczy zawsze są takie magnetyzujące? Nie znała chyba przedtem nikogo, kto miałby podobne.

- A co chcesz jeszcze wiedzieć?

- Czy zostałaś w Baltimore ze względu na babcię?

- Myślałam, że rozmawiamy o mojej pracy.

- Owszem. Wszystko w swoim czasie. Teraz chcę dowiedzieć się czegoś o babci. - Kolejny potężny kęs *baconburgera* zniknął w ustach Coreya.

Corinne wykorzystała tę okazję, by skierować rozmowę na inne tory.

- Alan ma świetne predyspozycje handlowe. Po trafi przyciągnąć najrozmaitszych klientów: bankowców, producentów, polityków.

Niestety, Corey zdążył już przelknąć.

- Julie mówiła mi, że masz siostrę. Gdzie mieszka?

- W Nowym Jorku. Mamy tam sporo pracy.

Ostatnio przeprowadziłam sondaż dla pewnego wydawnictwa.

- Dlaczego wydawnictwo z Manhattanu szuka specjalistów zajmujących się badaniem rynku w Baltimore? Czy nie ma ich pod dostatkiem na miejscu?

- Tak, ale Alan zrobił wrażenie na jednym z wiceprezesów i to z nami zawarto kontrakt.

- Czy twoja siostra ma dzieci?

- Jedno.

- Chłopca czy dziewczynkę?

- Chłopca.

- Ładny?

- Bardzo.

- Nic nie jesz.

- Nie potrafię jeść i rozmawiać jednocześnie.

- W porządku, jedz. Porozmawiamy później.

Corinne zjadła odrobinę *tarty*, siedziała jednak jak na szpilkach, czując na sobie wzrok Coreya. Nie mogąc znieść napięcia, odłożyła widelec i zaczęła mówić.

- Badanie rynku to praca z perspektywami, raczej nigdy nie wyjdzie z mody. Weźmy odzież. Handlowców zawsze będzie interesowało, co ludzie zechcą kupować w przyszłym sezonie.

- Myślałem, że dyktuje to Londyn, Paryż lub Mediolan.

- Nie. Wielka moda nie ma u nas entuzjastów. Większości Amerykanów nie obchodzi, co pokazuje

się w Paryżu czy Mediolanie, ponieważ nie są to ubrania praktyczne, nie wspominając o cenach.

- Chcesz przez to powiedzieć, że Amerykanie są ignorantami w dziedzinie mody?

- Ależ skąd. Po prostu wiedzą, czego chcą. A to „coś” może, ale nie musi być kopią Diora. W tej dziedzinie prowadzimy badania. Pytamy, co chcą nosić, a czego nie oraz ile pieniędzy przeznaczają na ubrania.

- I podpowiadacie producentom, co mają produkować?

- Przedstawiamy wyłącznie opinię ogółu, a oni muszą sami podejmować decyzje.

- Założę się, że wykorzystujesz te wiadomości, żeby być najmodniej ubraną Amerykanką w kraju - uśmiechnął się Corey.

- Niezupełnie - powiedziała, zdając sobie sprawę, że jej spodnie i bluzka w niczym nie przypominają kolorowych,; odważnych strojów innych kobiet w restauracji. - Mój styl ubierania się pasuje do mojej osobowości.

- Bar-dzo schlud-ny - drażnił się z nią. - Nie robię z tego zarzutu, broń Boże. To nawet przyjemne przebywać z kobietą, której nic znikąd nie wyłazi.

- Przynajmniej jesteś szczery - wzruszyła ramionami.

- Ja jestem raczej konserwatystą, jeśli idzie o ubiór.

- Ach tak. - Obrzuciła spojrzeniem jego obszerną bladopurpurową bluzę. Można ją było różnie nazwać, ale z pewnością nie konserwatywną.

- Nie podoba ci się? Wydawało mi się, że jest niezła.

- Jego spojrzenie było zaskakująco niepewne.

- Mów dalej - drażniła się z nim, prawie nie zdając sobie z tego sprawy. - Bawi mnie to. Zawsze

byłam ciekawa, co też myśli mężczyzna, kupując ubranie lub wybierając coś ze swej szafy.

- Myśli o wielu sprawach. - Zwłaszcza gdy chce zrobić na kimś wrażenie. Przez pół godziny nie mógł się zdecydować, w co się ubrać. Brał pod uwagę blezer i spodnie, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Później pomyślał o dżinsach i koszuli, ale stwierdził, że będzie mu zbyt gorąco. Z kolei w szortach byłoby mu widać nogi, a przypuszczał, że Corinne nie jest na to jeszcze przygotowana.

- Czy uważasz, że w jakimś kolorze jest ci szczególnie do twarzy? - spytała.

- Owszem. W zielonym lub niebieskim. I jeszcze w bładopurpurowym.

- Styl?

- Pełen fantazji.

- Czy przeglądasz się w lustrze?

- Oczywiście.

- I oglądasz się przez ramię, żeby sprawdzić, czy spodnie nie są zbyt ciasne.

- To niepotrzebne. Nie przybieram na wadze.

- Ale jesteś dużym mężczyzną. W co to wszystko idzie?

Bystra sztuka, pomyślał Corey. W jednej chwili potrafiła przejść z roli osoby wypytywanej w wypytyującą, co go zresztą bardzo ucieszyło. Uśmiechnął się szeroko.

- We wzrost, moja droga. I w mięśnie.

- Trenujesz?

- Żyję. To wystarczający trening.

- Aha, pracownik fizyczny.

- Nikt nigdy nie złożył zażalenia na pracę moich rąk - wycodził. Do licha, czy nie posunął się za daleko?

- Jestem tego pewna - odpowiedziała takim samym tonem, jednocześnie zaskakując go, zawstydzając i sprawiając mu przyjemność.

Sięgnął po faszerowany ziemniak i zsunął go zręcznie na talerz Corinne.

- Proszę. Jeszcze tego nie próbowałaś. No, słucham. Powiedz, o czym myślisz?

- Myślę, że jestem najedzona - powiedziała, przyglądając się ziemniakowi.

- Nie podoba ci się jego wygląd? - spytał, skonsternowany.

- Bardzo mi się podoba, ale nie dam rady nic więcej zjeść.

- Tylko spróbuj.

- Dlaczego?

- Ponieważ ja tak mówię.

- To nie powód.

- Zachwycisz się jego smakiem. Nadzienie składa się z sera cheddar i kawałków bekonu. Mówię ci, że to coś absolutnie ekstra.

- Może innym razem.

- Teraz.

- Corey...

- Nie musisz się martwić, że utyjesz. Poza tym w skórce ziemniaka jest mnóstwo witamin.

Nie zareagowała.

- Kto tu jest szefem? - spytał.

- W pracy - ty.

- Sama powiedziałaś, że nie pracujesz jedynie, kiedy śpisz.

- A ty mówiłeś o trzech posiłkach plus przerwy na kawę.

- Zmieniłem zdanie. A więc kardynalna zasada numer jeden: Nigdy nie sprzeciwiaj się szefowi. Jedz.

- Zdawało mi się, że chcesz, abym zapomniała o twoim przydomku?
- Zmieniłem zdanie.
- Mówiłeś, że mogę robić tutaj, co tylko zechcę.
- Co do tego również zmieniłem zdanie.
- A więc nie mam wyboru?
- Nie.

Ku zdziwieniu Coreya, Corinne odkroiła mały kawałek ziemniaka i zjadła go. Była równie zdziwiona, jak on, ale nie miało to nic wspólnego ze wspaniałym smakiem, który rozplynał *jej* się w ustach. Zdumiało ją, że go posłuchała. Nie, to nieprawda. Nie posłuchała go, ponieważ on nie wydał polecenia. Przekomarzali się i sprawiało jej to przyjemność. Inaczej nie pozwoliłaby, żeby ciągnęło się to tak dugo. Inaczej" nie poddałaby się i nie spróbowala ziemniaka.

Nic się nie stało. Miał rację. Nie musi obawiać się przecież o swoją linię.

W ciągu dwóch następnych dni zaczęła się zastanawiać, czy nie było to zbyt pochopne stwierdzenie. Wyszło na to, że większość swych badań przeprowadzała w trakcie posiłków, z których żaden w najmniejszym stopniu nie przypominał jej porannej błyskawicznej kaszki, jabłka czy jogurtu na lunch ani sałatki z kurczaka na kolację, które połykała na chybcika w Baltimore. Co więcej, każde ze spotkań odbywało się w innym hotelu lub restauracji, zgodnie z założeniem Coreya, by zobaczyła na wyspie jak najwięcej.

Podczas kolacji w środę rozmawiała z właścicielami dwóch innych hoteli. Na czwartkowym śniadaniu spotkała się z właścicielami sklepów, na lunchu - z kilkoma restauratorami, kolację zjadła z trzema przedsiębiorcami, którzy pragnęli rozbudować kompleks

mieszkalny. Piątkowe śniadanie spędziła z następnymi właścicielami sklepów, lunch z hotelarzami, kolację z grupą sportowców, zajmujących się wynajmowaniem łodzi. Nie wszyscy ludzie, z którym rozmawiała, byli bezpośrednimi inwestorami, ale każdego z nich interesował rozwój wyspy.

Poza ilością jedzenia, które pochłaniała, kilka rzeczy sprawiło Corinne w zdumienie. Po pierwsze, zgromadziła niewiarygodnie dużo informacji o Hilton Head i o tym, co wyspa ma do zaoferowania. Po drugie, właściwie rzadko widywała Coreya, wyjąwszy wstępną ceremonię prezentacji, na której zawsze był obecny. Po trzecie, niemal ją to martwiło.

Corey Haraden wnosił ze sobą ożywienie, gdziekolwiek się pojawiał. Początkowo denerwował ją, ale z czasem to uczucie minęło. W jego obecności czuła się pobudzona, pełna energii i nawet gdy zniknął, nie opuszczało jej uczucie oczekiwania.

Chciała, żeby był zadowolony z jej pracy. Na każdym spotkaniu, które zorganizował, dawała z siebie wszystko i czerpała z tego ogromną satysfakcję.

Kładąc się późno spać piątkowego wieczora, zdała sobie sprawę, że lubi Coreya. Było jej to nie w smak, ale nie mogła nic na to poradzić. Podziwiała jego hojność, skuteczność w doborze jej rozmówców, delikatność i dbałość o nią; gdy jakieś spotkanie się przeciągało, wpadał, by zabrać ją na przejażdżkę lub spacer. Zachowywał się bez zarzutu, pominąwszy jedną czy dwie oburzające uwagi rzucone pod adresem swych kolegów przedsiębiorców. Był biznesmenem i dżentelmenem w każdym calu.

Nie dotknął jej. Nie popędział. Nie namawiał na dansing ani spacer po plaży przy świetle księżyca. Pomyślała, iż zaakceptował to, co wiedziała od samego

początku. Bardzo się od siebie różnią i tak już pozostanie.

Mimo to lubiła go. Nie było w tym nic zdrożnego ani niebezpiecznego. Doszła do przekonania, że może go lubić bez poczucia zagrożenia, toteż gdy zadzwonił w sobotę rano i powiedział, by przygotowała się na pół dnia rozrywki i odpoczynku, zanim odwiezie ją na lotnisko, zgodziła się bez namysłu.

Gdy otworzyła mu drzwi, pożałowała swej decyzji. Corey miał na sobie szorty i sportową bawełnianą bluzę na trzy guziki, podkreślającą wspaniałą muskulaturę klatki piersiowej. Nagle zabrakło jej tchu. Był fantastyczny... ten tors... te nogi... Przełknęła z trudem ślinę, oderwała od niego wzrok *i skrzywiła się, spoglądając na własne ubranie. Była w tych samych spodniach i bluzce, co trzy dni temu podczas podróży. Wydawały jej się wówczas najbardziej sportowe - na spotkania wkładała spódnice i bluzki lub sukienki - ale teraz czuła się dziwnie... niemodnie.*

- Przepraszam - powiedziała cicho - ale nie przywiozłam ze sobą nic odpowiedniego na taką okazję.

Ale Corey nie pozwolił, by czuła się niezręcznie.

- Nie masz szortów? Żaden problem. Zaradzimy temu. Chodź. - I nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, ujął ją za łokieć i pociągnął w stronę windy.

- Nieważne - odezwała się wreszcie, gdy znaleźli się przy jego samochodzie. Oczyma duszy widziała już, jak ciągnie ją od sklepu do sklepu, zmuszając do mierzenia nieprzyzwoitych kostiumów. - O czwartej mam samolot. Nie ma sensu się przebierać.

- W dzisiejszych czasach ludzie ubierają się swobodnie. Będzie ci wygodniej w czymś swobodniejszym.

- Jest mi całkiem wygodnie. - Kłamiesz, Corinne, kłamiesz.

- Pracowałaś na okrągło przez dwa i pół dnia. Należy ci się odpoczynek.

- Odpocznę wieczorem i jutro.

- Dzisiaj. Taka była umowa. Teraz mamy porę relaksu.

Jego głos był taki jak on sam: pewny, silny, zniewalający. To nie fair!

- Dokąd pojedziemy?

- Najpierw małe zakupy w Harbortown. Możesz uważać to za dalszy ciąg badań, jeśli chcesz. Nie robiłaś tu żadnych zakupów, tymczasem turyści spędzają na nich całe godziny. Nie chcesz wiedzieć, co kupują?

- Nie jestem dobrą klientką. Chodzę do sklepu raz w sezonie i kupuję wszystko, czego potrzebuję. Potem unikam zakupów jak ognia.

- Może nie chodzisz do właściwych sklepów z właściwymi ludźmi. To nam zajmie niewiele czasu. Wiem, czego chcę.

- Corey, wystarczy mi to, co mam na sobie.

- W takim razie pojedziemy najpierw do mnie. Skoro upierasz się przy swoim stroju, przebiorę się w koszulę i spodnie.

Corinne wiedziała, że jest zdolny do tego, by włożyć grube wełniane spodnie, sweter z golfem i marynarkę. Że też w ogóle przeszło jej przez myśl, że może go spokojnie lubić. Znow ogarnął ją niepokój, ale kto nie czułby się zdenerwowany, mając o parę centymetrów od siebie silne ciało Coreya? Muskularne ramiona, długie opalone nogi, uda pokryte ciemnym owłosieniem, nieco gładsze łydki. To on miał na sobie znacznie mniej ubrania, czemu więc wydawało jej się, że jest odsłonięta?

Corey zerknął w lusterko wsteczne i zjechał na prawo, przepuszczając pędzący szybko samochód.

- Chyba powinienem cię uprzedzić, że wybieramy się na morską wycieczkę. Pomyślałem, że zechcesz obejrzeć wyspę od strony Calibogue Sound. Mimo wiatru jest strasznie gorąco. Ugotuję się, jeżeli będę msiał się przebrać.

- Dziękuję. Czuję się jak ostatnia łajdaczka.

- Ależ nie, skąd. W porządku. Jeśli chcesz, zmienię ubranie.

- Nie, nie. Daj spokój.

- Mogę to zrobić. Żaden kłopot.

Może dla niego to żaden kłopot, ale ja wcale nie mam pewności, czy jestem przygotowana na oglądanie jego domu, myślała Corinne. A tym bardziej *aa przebywanie w aim, gdy Corey będzie się przebierał*. Wprawdzie w innym pokoju, ale robiło jej się słabo na samą myśl o tym. Nigdy w życiu nie odczuwała czegoś podobnego.

- Powiedziałam, że nie trzeba - szepnęła.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- Idziemy po zakupy?

- Tak.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił z uśmiechem.

Uśmiech nie zniknął mu z twarzy przez całą drogę do Harbortown, zwłaszcza gdy przejeżdżali tunelem z drzew, o którym jej opowiadał. Uśmiechał się też w sklepie, gdy zdjął z półki szorty i pasujący do nich stanik, Cori zaś pokręciła przecząco głową. Z taką samą reakcją spotkał się elegancki komplet, przypominający kostium do tenisa. Nie spodziewał się natomiast zupełnie, że zwróci uwagę na bawełnianą sukien-

kę z dużym dekoltem w kształcie łódki i krótkimi rękawami.

Corinne rzuciła na nią okiem, podeszła do innej półki, następnie wróciła... Nigdy nie kupiła sobie nic w tym stylu i nie miała pojęcia, czemu teraz się nad tym zastanawia. Sukienka była trochę zbyt sportowa, trochę zbyt elegancka, ale podobał jej się materiał, ciemnoniebieski kolor i wzór przedstawiający horyzont z różowymi i szarymi chmurkami.

- Podoba mi się - szepnął jej do ucha. - Weź ją.

- Ja... nie wiem... Musiałabym przymierzyć.

- No to przymierz. Pospiesz się. Jestem głodny.

Obrzuciła go druzgocącym spojrzeniem.

- Śniadanie - wyjaśnił. - Jeszcze nic dzisiaj nie jadłem. Prędeż. Przymierz suknię.

- To nie suknia... To...

- Nie marudź, idź już - wskazał głową przebieralnię. - Odważ się.

Zdjęła sukienkę ze stojaka i przyglądała jej się jeszcze przez chwilę. Wreszcie, popchnięta przez Coreya, weszła do przebieralni. Szybko zdjęła z siebie ubranie, rzucając nerwowe spojrzenia w stronę drzwi, i wciągnęła suknię przez głowę, po czym spojrzała w lustro i uśmiechnęła się bezradnie.

Sukienka była urocza. Dekolt szczerze odsłaniał szyję, rękawy opadały luźno do łokci, dzięki elastycznej wstawce w talii góra układała się jak bluza.

Problem stanowiła długość. Corinne nigdy nie nosiła mini, nawet nie przyszło jej do głowy, by mogła pokazać się w czymś takim. Poza tym łódkowaty dekoltem był tak mocno wycięty, że materiał zsuwał się to z jednego, to z drugiego ramienia, odsłaniając je całkiem, a przy okazji ramiączka od stanika.

- Cori?

Odwróciła się gwałtownie. Musiał stać oparty o framugę, bo jego głos sączył się przez szczelinę lekko uchylonych drzwi. Nerwowo zasłoniła dłońmi dekolt.

-Tak?

- Wyjdź. Chcę cię zobaczyć.

- Jest niezła.

- Pozwól się obejrzeć.

- Może jednak przymierzę szorty?

- Chciałbym zobaczyć sukienkę.

Wzięła głęboki oddech, opuściła dłonie i otworzyła z wahaniem drzwi.

Corey stał jak rażony gromem. Corinne wyglądała świeżo i niewinnie, najwyżej na dwadzieścia lat. Miała gładką szyję, skórę koloru kości słoniowej, kształtne ramiona i przedramiona, szczupłe, lecz kobiece nogi. Wszystko przeczyło jego pierwszemu wrażeniu. Nie było w niej nic chłopięcego. Owszem, sprawiała wrażenie kruchej i delikatnej, ale to mu się podobało. Bosonoga, przypominała zabłąkane dziecko. Czuł się przy niej wyższy, silniejszy, budziła w nim opiekuńcze uczucia.

Wypuścił ze świstem powietrze.

- Weź ją.

- Czy... czy nie jest trochę za... luźna?

- Taka właśnie ma być. Masz się w niej czuć swobodnie. Wyglądasz świetnie!

Wciąż niepewna, Corinne odwróciła się do lustra.

- Naprawdę powinnam ją kupić?

- Zdecydowanie! Czyżby ci się nie podobała?

Rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro. Materiał zsunął się znów z jednego ramienia. Było w tym coś wyzywającego, ale - o dziwo - wcale jej nie zgorszyło.

- Owszem, podoba mi się. - Poprawiła nieposłuszne ramiączko.

Corey, przyglądający się nad głową Corinne jej odbiciu w lustrze, pochylił się do jej ucha.

- Zdejmij stanik.

Podniosła na niego spłoszony wzrok.

- Nikt nie zobaczy.

- Ty zobaczysz.

- Nie będę patrzył. Pójdę sprawdzić, czy nie mają tu tenisówek. Który numer nosisz?

- Czwórkę.

Stała, przygryzając dolną wargę i wciąż nie mogąc się zdecydować, gdy w chwilę później dobiegł ją znów głos Coreya:

- Otwórz, Cori. Mam tenisówki i torbę. Włóż do niej swoje ubranie i spływamy.

Wzięła od niego obie rzeczy i rzuciwszy je na podłogę, jeszcze raz wpatrzyła się w lustro.

Zdając czy nie? Nigdy nie chodziła bez stanika, ale przecież jest drobna, ciało ma jędrne. Czy będzie coś widać? Materiał jest miękki, lecz dość mięsisty, kolor ciemny...

- Gotowa?

- Prawie.

No, prędeż, decyduj się.

Nie powinnam.

Wolisz, żeby przez cały dzień wylaziły ci ramiączka?

Przynajmniej będę osłonięta.

I tak będziesz osłonięta, czego się obawiasz?

Żeby nie potraktował tego jako zaproszenia.

Będzie miał mnóstwo roboty z żaglami.

Tak powiedział, ale ja mu nie ufam.

Nie ufasz jemu czy sobie?

Dobre pytanie.

Dokąd to nas zaprowadzi?

- Cori, jesteś tam?

- Zaraz wychodzę. - Zdecydowała się wreszcie i zdjawszy stanik, upchnęła go w torbie razem z innymi rzeczami, następnie poprawiła sukienkę i przyjrzała się sobie krytycznie w lustrze.

Schyliła się, by włożyć tenisówki, usprawiedliwiając się przed sobą, że przecież to wakacje - choć tylko jednodniowe. Zasłużyła na odrobinę swobody. To nie Baltimore, lecz Hilton Head. Czowała się trochę jak w nierzeczywistym świecie, ale co to szkodzi? Cóż może się zdarzyć podczas półdniowej wycieczki żaglówką z Coreym?

- Corey do Cori. Wyjdiesz wreszcie?

Podniosła szybko torbę, otworzyła drzwi i *prze-
mkaęła obok aiego.*

- Czy ma pani nożyczki? - spytała kasjerkę. - Muszę obciąć metkę z ceną.

Corey cofał się powoli w kierunku frontowego wejścia. Zrobiła to! Dzięki Bogu. Efekt był wspaniały. Będzie musiał się pilnować, bo aż go ręce swędziały...

Wpadł na kogoś, okręcił się z przeproszającym okrzykiem, by stwierdzić, że to stojak z kostiumami kąpielowymi. Zakławszy cicho, wybiegł na słoneczną ulicę. Zapłacił już za sukienkę i tenisówki, bał się więc, że Corinne może robić problemy. Zresztą, byłoby to nawet niezłe wyjście. Gdyby go czymś zirytowała, może nie czułby do niej takiego piekielnego pociągu.

Dotąd nie bardzo wiedział, co mu się tak w niej podoba. Bardzo różniła się od kobiet, które znał. W ciągu kilku ostatnich dni obserwował ją w działaniu i zorientował się, że jest świetna w swojej dziedzinie. Alanowi trafił się istny skarb. Powinien uziemić ją długoterminowym kontraktem i dać jej podwyżkę.

Corinne go intrygowała. Myślał, że go znudzi jej zawsze zorganizowane podejście do życia, a jednak tak się nie stało. Mur rezerwy, którym się otoczyła, stanowił dla niego wyzwanie. Zastanawiał się, czemu do tej pory nie związała się z nikim, czemu tak powściągała swoje uczucia i czemu uważała, że nie poradzi sobie z nim.

Dobry kawał. Wprawdzie nie miała o tym pojęcia, ale od pierwszego dnia, w którym ją ujrzął, zapanowała nad jego myślami. Spiskował, planował podróże do Baltimore, doprowadzając swoją sekretarkę do szału. Stonował swą żywiołowość, dręczył się myślami, co będzie robił z Corinne, jak będzie z nią rozmawiał, przeprowadził nawet stałego gościa z dyrektorskiego apartamentu, żeby mogła w nim zamieszkać.

- Corey?

Odwróciwszy się, stanął z nią twarzą w twarz. Tulila do piersi torbę ze swoimi rzeczami. To również go oczarowało. Nieśmiałość... skrepowanie... nie potrafił tego nazwać. Ta cecha ujawniła się nagle wraz ze zmianą ubrania i zafascynowała go.

- Gotowa? - spytał.

- Uhm.

Machinalnie sięgnął po torbę, po czym cofnął rękę w obawie, by nie spłoszyć Corinne, i wykonał tylko zapraszający gest.

W kilka minut dotarli samochodem do miejsca, w którym Corey postanowił zjeść śniadanie. Corinne zlekceważyła niebezpieczeństwo. Torba z ubraniami spoczywała na jej kolanach.

- To twój dom - stwierdziła, gdy dojeżdżali do końca drogi. Chociaż Corey nie opisywał go dokładnie, wspominał o poczuciu spokoju, oderwania od

świata, które mu dawał. Otaczała go bujna soczysta zieleń, odbijająca się w dużych oknach. Sam dom przypominał kolorem pnie drzew, wtapiał się w krajobraz.

Spokój, oderwanie od świata, piękno - może to ukoi drżenie, które ją ogarnęło.

- Podczas pobytu tutaj jadałaś wszystkie posiłki w restauracjach - wyjaśnił Corey. - Pomyślałem, że tym razem wrzucimy coś na ruszt u mnie. Będzie szybciej. Zresztą zostawiłem tu napoje. I tak musielibyśmy je zabrać po drodze.

- Dobrze - westchnęła z rezygnacją, wysiadając z samochodu. - Chodźmy więc podziwiać twój dom.

Rzeczywiście było co podziwiać. Dom Coreya płynął. Tak, to najtrafniejsze określenie. Jeden pokój przechodził płynnie w drugi, jedno funkcjonalnie urządzone pomieszczenie w następne. Stiukowe ściany komponowały się ze skórzanymi meblami, marmurowymi stolikami i lśniącymi parkietami.

- I co powiesz? - spytał.

- Pięknie - odrzekła szczerze. -I nieskazitelnie czysto. Albo jesteś supersprzątaczem, albo...

- To „albo” ma na imię Jontelle. Zajmuje się moim bałaganem od poniedziałku do piątku. W weekendy dają sobie radę sam. To wyzwanie.

- To dobre dla duszy - powiedziała Corinne. Skierowała się do kuchni. W całym domu było coś z... Coreya. Wolą się czymś zająć. - Co będziemy jedli? - spytała, gdy otworzył lodówkę.

- Gofry - odpowiedział, odsuwając ją na bok i wyjmując z lodówki jakieś miski. - Pasuje?

- Bomba. Zaimponowałaś mi.

- Poczekaj, aż spróbujesz. Może nie będzie to bomba, ale przynajmniej się staram.

Widziała, że jest tak rzeczywiście. W miskach miał już przyszykowane rzadkie ciasto na wafle, pokrojone truskawki, największe maliny, jakie w życiu widziała i górę świeżo ubitej śmietany. Gdyby na domiar wszystkiego okazał się świetnym kucharzem, chyba usiadłaby i zaczęła płakać.

Corey spoglądał na wszystkie miski po kolei, jak gdyby o czymś zapomniał. Puknąwszy się palcem w czoło, sięgnął jeszcze raz do lodówki i wyjął karafkę z sokiem pomarańczowym.

- Co mam robić? - Corinne czuła się nieswojo. Byłoby nawet przyjemnie siedzieć i przyglądać się, jak ktoś inny robi wszystko, gdyby nie fakt, że przestronna kuchnia wydała się nagle bardzo ciasna.

Wyciągnął z szuflady łyżkę wazową.

- Gofrownica jest w szafce po prawej stronie zlewozmywaka. Możesz ją wyjąć?

- Jasne. - Cori przyklękła, biorąc z szafki gofrownicę. Przyjrzała jej się, po czym spytała cicho: - Corey, co to jest?

- O cholera! - zaklął cicho, rzucając spojrzenie przez ramię. Otworzył górną szafkę, wyjął talerz, potem drugi, przyglądając im się z rosnącym niesmakiem. Postawił je z hukiem na blacie, wyciągnął najwyraźniej brudną szklanę i popatrzył na nią z konsternacją, po czym zwiesił głowę. - Nie mogę w to uwierzyć. Musiałem zapomnieć o włączeniu zmywarki. Tak się spieszyłem, żeby wszystko poukładać i posprzątać, że nie zauważyłem tego.

- Myjesz gofrownicę w automatycznej zmywarce?

- A nie powinienem?

- Nie.

- Dlaczego?

- W ten sposób możesz zniszczyć elementy grzejne.

- Aha. - Zastanawiał się przez chwilę, wreszcie twarz mu się rozjaśniła. - Wiedziałem, że musi istnieć jakiś powód, dla którego nie włączyłem tego draństwa.
- Nie tłumaczyło to natomiast, dlaczego brudne talerze i szklanki znalazły się w szafce.

- Czy ta gofrownica była już kiedyś myta w zmywarce?

- Nie.

- Dzięki Bogu. Jontelle chyba wie, że należy ją myć ręcznie.

- Nie mam pojęcia. Muszę pamiętać, by ją o tym Upредить.

- Nigdy jej nie myła?

- Nie. Jest nowa.

- A więc... jadłeś wafle wczoraj na kolację?

- *Oczywiście, że aie.*

Corinne przypatrywała się w milczeniu gofrownicy. Bez wątplenia korzystano z niej przynajmniej raz. Może pożyczył ją od przyjaciela? Zaintrygowana, przeniosła wzrok na Coreya, który zaczerwienił się jak burak.

- Kupiłem ją wczoraj, mając nadzieję przygotować dla nas wspaniałe śniadanie. Ponieważ jednak nie przejmuję się śniadaniem, gdy jestem sam, nigdy dotąd nie robiłem gofrów. Postanowiłem więc poćwiczyć.

Corinne nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem. Był naprawdę niesamowity! Niby stuprocentowy mężczyzna, a w środku mały chłopiec. Na twarzy miał wymalowane poczucie winy, był zakłopotany i niezadowolony z siebie. Jak można przestawać z mężczyzną, który jest taki sympatyczny i jednocześnie taki nieznośny?

Nie można. A przynajmniej ona nie może.

Rób coś, Corinne. Zajmij się czymkolwiek, żebyś nie musiała o nim myśleć.

- Nic się nie stało - powiedziała, wkładając gofrownicę do zlewozmywaka.— Zaraz ją umyję. — Zabrała się do dzieła tak energicznie i dokładnie, że Corey nie wytrzymał:

- Myślę, że jest już czysta, Cori.

Lekko drwiący głos przywołał ją do rzeczywistości.

- Tak, chyba tak. - Wytarła gofrownicę do sucha i podała ją szefowi kuchni, który ku jej zdumieniu przygotował najpyszniejsze gofry, jakie kiedykolwiek jadła.

Czy to kwestia samych wafli? Czy bitej śmietany? Świeżych owoców? A może soku pomarańczowego i mocnej jamajskiej kawy? Z pewnością to nie sam Corey był przyczyną przyjemnego uczucia sytości, które ją ogarnęło.

Uczucie to nie opuszczało jej przez cały czas, gdy sprząтали, jechali na przystań, ładowali rzeczy na łódź, stawiali żagle. Było jej tak przyjemnie, że uśmiechała się do słońca, śmiała z żartów Coreya, wystawiała twarz na podmuchy wiatru i zupełnie zapomniała, że - jak na jej zwyczaj - jest niekompletnie ubrana.

Corey nie zapomniał. Nie mógł oderwać od niej oczu. Ukryty za ciemnymi szklami okularów, badał wzrokiem każdy centymetr jej ciała, ciesząc się bliskością Corinne.

ROZDZIAŁ 5

Wyobrażenia Coreya nie były dalekie od prawdy. Pod maską chłodu kryła się namiętna kobieta. Można by pomyśleć, że stopiły go słońce i wiatr, a może zostawiła na brzegu swoje zahamowania. Niezależnie od przyczyny, Corinne była zachwycająca.

Rozmawiali o błahych sprawach: żeglarstwie, wakacjach, filmach przygodowych, i Corinne otworzyła się jak nigdy przedtem. Zniknęła gdzieś jej rezerwa, przestała ważyć każde słowo. Ciemne oczy promieniały ciepłem, bez przerwy się uśmiechała.

Przestała kontrolować każdy swój ruch, co miało fatalny wpływ na opanowanie Coreya. Zamiast siedzieć ze skrzyżowanymi lub skromnie złożonymi nogami, podwinęła jedną pod siebie i usiadła na niej. Wszystko byłoby w porządku, gdyby miała na sobie szorty. Wiatr igrał jej sukienką, odsłaniając co chwila skrawek białego jedwabiu i wystawiał Coreya na pokusę.

Nie dawały mu też spokoju jej ramiona i ręce. Rozluźniona, gestykulowała nimi żywo i z wdziękiem, zatraciła całą poprzednią sztywność.

W najgorszą jednakże pułapkę zapędził się, namawiając ją do zdjęcia stanika. Tak bardzo pragnął zobaczyć, jakie ma piersi. I zobaczył. Kształtne i jędrne, nie potrzebowały stanika. Materiał sukienki układał się miękko na wypukłościach i wklęsłościach jej ciała. Gdy pochyliła się, by wziąć puszkę coca-coli, jego oczom ukazał się widok, który zaparł mu dech w piersiach. Corinne miała piękne ciało.

Wiedział, że ona nie ma pojęcia, iż dekolt sukni jest tak zdradliwy, w przeciwnym razie splonęłaby rumieńcem. Wyglądała dziś tak przystępnie, że skręcał się z pragnienia, by jej dotknąć, obawiał się jednak jej reakcji. Czy zrobiłaby się znów sztywna jakby połknęła kij? Czy gdyby ją pocałował, zamknęłaby się z powrotem w swojej skorupie? Gdyby wyszeptał jej do ucha to, co przez cały czas cisnęło mu się na usta, czy spoliczkowałaby go?

Nie zrobił więc nic, lecz skierował łódź w stronę zatoki.

Jednakże gdy zawinęli z powrotem do przystani, obawa zamieniła się w desperację. Czas uciekał. Za kilka godzin Corinne wróci do Baltimore i w nawale obowiązków zapomni o dzisiejszym dniu.

Nie chce tego.

Sprzątała właśnie kuchenkę, gdy podszedł do niej z tyłu.

- Cori? - W jego głosie słychać było wahanie.

Odwróciwszy się, napotkała spojrzenie zielonych oczu, teraz jakby ciemniejszych i zamglonych, i poczuła, jak dreszcz niepokoju przebiega jej wzdłuż kręgosłupa.

- Wycieczka była wspaniała. - Starła się mówić lekkim tonem.

- Powinienem odwiedzić cię na lotnisko - powiedział cicho.

- Tak - wyszeptała.

Przysunął się o kilka centymetrów bliżej.

- Cieszę się, że spędziliśmy razem trochę czasu.

Skinęła głową, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Cori... - Wymówił znów jej imię ochrypłym głosem. Podniósł dłoń i delikatnie dotknął jej policzka. Był zaróżowiony od słońca, chłodny od wiatru i gładki jak aksamit. - Każ mi wrócić na pokład. Powiedz, że tego nie chcesz.

- Nie chcę tego - powtórzyła bez przekonania.

- Nie jestem w twoim typie.

- Wiem.

- Ani ty w moim.

- Wiem.

- Czemu więc tak bardzo pragnę cię pocałować?

- Może po to, by się przekonać, że to nic takiego - szepnęła.

Wsunął palce w jej włosy, rozkoszując się ich jedwabistością.

- Tak właśnie myślisz?

- Obawiam się, że w ogóle nie myślę.

Uśmiechnął się na poły ze smutkiem, na poły z rozczeniem. To cała Corinne. „Obawiam się, że w ogóle nie myślę”.

- Skoro nie myślisz, mogę cię wykorzystać.

W tej chwili Corinne nie wiedziała, kim jest. Nie mogła zrozumieć drżenia kolan, kołatania w klatce piersiowej ani nerwowego ściskania w dołku. Nie poznawała swego słabiutkiego głosu i z całą pewnością nie identyfikowała się ze słowami, które spłynęły z jej warg. Zbyt była zafascynowana ustami Coreya. Wargi miał wąskie, lecz ruchliwe. Czy kiedykolwiek zwróciła

na to uwagę? Czy też zbyt­nio zajmowało ją przyglądanie się innym szczegółom jego powierzchowności?

- Jeśli zamierzasz mnie wykorzystać - wymówiła urywanym szeptem - to lepiej się pośpiesz. Jeśli zacznę się nad tym zastanawiać, przypomnę sobie, jak bardzo tego nie chcę.

- Pospieszę się - obiecał, ale nie dotrzymał słowa. Nie mógł. Wolał rozkoszować się gładkością jej twarzy, gdy ujął ją w dłonie, miękkością warg, po których przesuwał delikatnie palcem, słodkim cytrynowym zapachem jej ciała, gdy zamknął oczy i przycisnął nos do jej brwi.

Pochylił się ku jej wargom i po raz pierwszy spróbował ich smaku. Była samą słodyczą; nie cytryną, lecz maliną. Wydawało mu się, że przez całe życie czekał na to, aż dojrzeje, toteż smakował ją powoli, by niczego nie uronić. Wargi miała miękkie, gładkie i pełne. Delektował się nimi leniwie, oddychając szybko i nierówno.

Corinne. Czysta jak łza i piekielnie kusząca. Mimo że ich ciała nie stykały się, wyczuwał jej drżenie. Ale jeśli nawet była przerażona, nie uczyniła nic, by go odepchnąć, gdy jego ręce ześlizgnęły się z jej ramion na plecy ani gdy przytulił ją mocno do siebie i pocałował namiętnie, badając językiem wnętrze jej ust.

Zęby miała równe i drobne, zaciskała je mocno, co świadczyło o braku doświadczenia. Dygotała w ramionach Coreya, trzymając się kurczowo jego bluzy, by nie upaść. Tuliła się do niego, nie zastanawiając się nad tym, co robi, rozkoszując się wyłącznie tą chwilą.

Ufała Coreyowi. Instynktownie mu ufała. Ani przez chwilę nie bała się z nim żeglować. Wiatr rozwiewał jej włosy, fale uderzały o burzę, a ona czuła

się całkowicie bezpieczna, wiedziała, że Corey nie pozwoli, by cokolwiek jej się stało.

Jej ciało opowiadało na pocałunek nieznanymi doznaniem. Ciekawość zwyciężyła początkową bierność i Corinne odwzajemniła pocałunek, najpierw nieśmiało, potem z coraz większą pasją.

- Ach, Cori... - szepnął, odrywając na chwilę wargi od jej ust. Z trudem panował nad sobą. Jego napięte ciało domagało się czegoś więcej. Gdyby potrafił mówić znów sobie, że jest chuda i przypomina małego chłopca... Ale dłonie błądzące po jej ramionach, plecach i biodrach i sprężysty dotyk jej piersi mówiły mu zupełnie coś innego.

Oczy miała zamknięte. Ucałował każde po kolei, i znów poszukał jej ust. Rozkoszując się ich uległością, wysunął przed siebie ręce, pieszcząc delikatnie szyję i ramiona Corinne, wreszcie zamknął w dłoniach jej piersi.

Z ust kobiety wyrwał się cichy jęk, ni to pomruk, ni to westchnienie. Drgnęła, zaskoczona, ale nie odsunęła się. Wstrzymała na chwilę oddech, dopóki nie zaczął ich lekko głaskać. Wówczas otoczyła ramionami jego szyję i wtuliła w nią twarz.

Mimo oszołomienia, cichy głos rozsądku podpowiadał Coreyowi, że gdyby chciała, by przestał jej dotykać, wyprostowałaby się. Tymczasem Corinne opierała się o niego biodrami, wyginając plecy, by umożliwić mu pieszczotę i oddychając szybko.

- Jesteś doskonała - wyszeptał, kreśląc palcami kształt jej piersi, zapamiętując go. Nie mogąc dłużej znieść oczekiwania, dotknął opuszkami palców brodawek.

Jęknęła głośniej.

Cofnął natychmiast ręce.

- Sprawilem ci ból.

- Nie... nie, to nie ból... - szepnęła bez tchu. - W środku... gorąco... zrób to jeszcze raz...

Znów pieścił ją delikatnie, czerpiąc rozkosz z jej reakcji, gdy znów tracąc oddech, przycisnęła się do niego z całej siły biodrami. Instynktownie pragnęła zaspokojenia. Przypuszczał, że Corinne może znaleźć jego niewinną namiastkę w samym pocieraniu się ich ciał. On jednak nie był niewinny, za to podniecony do granic wytrzymałości i nie wystarczały mu żadne namiastki.

- Cori? - Podniósł jej twarz ku swojej. - Spójrz na mnie, Cori, Otwórz oczy. Proszę cię, kochanie.

Nikt jej nigdy nie nazywał kochaniem, a przynajmniej nie w sytuacji, gdy serce waliło jej jak młotem, oblewał ją żar, a w dole brzucha czuła bolesne ściskanie. Niechętnie uniosła powieki.

- Czy wiesz, co się dzieje? - spytał.

- Nie - odparła cienkim głosem.

Wypuścił powietrze, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy płakać i ścisnął mocniej dłońmi jej głowę.

- Pragnę cię, Cori i jeśli będziemy przedłużać takie pieszczoty, zanim się obejrzymy, znajdziemy się na podłodze w miłosnym uścisku. Bardzo tego chcę, ale nie mam pewności, czy ty również. Jestem u kresu wytrzymałości i jeszcze chwila, a dotrzemy do punktu, z którego nie ma odwrotu. Ja tego pragnę, Cori, a ty?

Wpatrując się w niego rozszerzonymi oczami, pokręciła lekko głową. Był na siebie zły, że się zatrzymał, że zachował się tak po raz pierwszy w życiu,

a do niej miał żal za to niewiarygodne uczucie zawodu, gdy powiedziała „tak”.

Ale to była Corinne. Poglaskał ją po włosach, po twarzy. Z nią wszystko jest inaczej.

- Pragnę cię. - Napał na nią biodrami. - Czujesz to?

Skinęła głową. Wyraz jej oczu powiedział mu, że jego podejrzenia są słuszne. Kierowała się instynktem, nie zaś uczuciem czy świadomą zgodą.

Westchnął z rezygnacją i rozluźnił uścisk. Zamknąwszy oczy, przytulił ją czule.

- Potrafisz doprowadzić mężczyznę do szaleństwa, Corinne Fremont.

- Przepraszam - powiedziała zduszonym głosem, próbując wyswobodzić się z jego objęć.

- Chwileczkę - powiedział, nie puszczając jej. -Daj mi chociaż szansę, żebym trochę ochłonął. - Była to tylko jedna z przyczyn, dla których nie pozwalał jej się odsunąć. Obawiał się przede wszystkim jej reakcji.

Dlatego zaczął przemawiać do niej niskim, wciąż ochrypłym z podniecenia głosem, co nie miało znaczenia, ponieważ jego słowa płynęły prosto z serca.

- To, co się przed chwilą zdarzyło, Cori, było normalne, dobre i potrzebne nam obojgu, ale pewnie i tak będziesz się tym dręczyć. Nie chcę tego. Nie chcę też, by twoje wielkie brązowe oczy patrzyły na mnie z obawą, z żalem lub, co gorsza, ze wstrętem. Chyba nie zniósłbym tego. - Stał spokojnie, tylko jego palce głaskały ją uspokajająco po plecach. - Jeśli postanowisz, że więcej się to nie zdarzy, uszanuję twoją decyzję - mówił dalej - ale pod warunkiem, że podasz mi przyczyny. Myślę bowiem, że przytrafiło nam się coś szczególnego. Nigdy nie odczuwałem czegoś podo-

bnego i nie chcę, by się to skończyło. - Z piersi wyrwało mu się tłumione westchnienie. - Pozwolę ci teraz odejść. Nie musisz nic mówić, po prostu zbij swoje rzeczy, a ja odwiozę cię na lotnisko. Po powrocie do Baltimore postąpisz, jak będziesz uważała. Po prostu... - Głos mu się załamał. Nigdy nie mówił takich słów kobietom, toteż brzmiały dla niego obco, chociaż odzwierciedlały prawdziwe uczucia. - Po prostu zależy mi, żeby dzisiejszy dzień pozostał ci w pamięci jako coś pięknego. Nie chcę, by cokolwiek popsulo te wspomnienia. Chciałbym mieć nadzieję, że to, co zrobiliśmy - i nie chodzi mi wyłącznie o tę jedną sprawę - obdarzył ją krótkim uściskiem - znaczyło dla ciebie tyle samo co dla mnie. Czuję się w tej chwili cholernie bezbronny. Nie chcę dostać kosza. - U-milkł, zaciskając powieki, po czym otworzył szeroko oczy. - Umowa stoi? Żadnych kłótni, żadnego obwiniania się?

Corinne skinęła głową. W tej chwili nie była zdolna do niczego więcej. Wydawało jej się, że zdoła nawet zebrać swoje rzeczy i wyjść na brzeg. Ciało miała jak z gumy, rozedrgane.

Jakoś sobie poradziła. Przez całą drogę na lotnisko nie odezwali się do siebie ani słowem. Gdy wywołano jej lot, pożegnali się zdawkowymi uśmiechami, po czym Corinne wyprostowała ramiona i odmaszerowała z dumnie podniesioną głową, nie obejrzawszy się nawet.

Gdy zajęła już miejsce w samolocie, który wystartował na północ, uderzyły ją dwie sprawy. Po pierwsze, była wdzięczna Coreyowi za jego prośbę. Milczenie stanowiło najlepsze rozwiązanie problemu, któremu nie potrafiła w tej chwili sprostać.

Po drugie, wciąż miała na sobie sukienkę, którą kupiła tego ranka.

Oczywiście natychmiast po wylądowaniu w Baltimore przebrała się w toalecie w spódnicę i bluzkę. Była dopiero dziewiąta. Znajdzie się w domu około wpół do dziesiątej, a ponieważ babcia nie śpi jeszcze o tej porze, komitet powitalny z pewnością będzie czekał na nią przy drzwiach.

Jej przewidywania sprawdziły się co do joty. Uściskawszy Elizabeth, Corinne postawiła torbę i przejrzała pocztę po drodze do kuchni. Nalała sobie szklankę soku pomarańczowego i usiadła przy stole.

Elizabeth również usiadła. Mimo ciepłego majowego wieczora miała na sobie aksamitny szlafrok, zapięty od góry do dołu i ściągnięty paskiem w talii. Świeżo umyte szpakowate włosy były upięte w schludny kok, ręce spoczywały na kolanach.

- Widzę, że się trochę opaliłaś - zauważyła. Z jej tonu trudno było wywnioskować, co o tym myśli, ale Corinne znała poglądy babci na temat szkodliwego oddziaływania słońca na skórę.

- Mmm-hmm. Pogoda dopisała. A co słyhać tutaj, babciu?

- Wszystko w porządku. Byłam dzisiaj w klubie. W toalecie na górze zaczęła ciec woda i musiałam wezwać hydraulika.

- Spodziewam się, że wszystko naprawione - powiedziała Corinne, z trudem powstrzymując uśmiech. Biedna Elizabeth. Ciekące krany i zepsute dzwonki stanowiły zmorenę jej życia. Zdawały się symbolizować nadejście upadku, a upadek, czy to fizyczny, czy emocjonalny, był jedyną rzeczą, której nie była w stanie ścierpieć. Nie znosiła też niechlujstwa i lenistwa.

Każdy dzień wypełniały czynności mające uczynić z niej kogoś lepszego. Samodoskonalenie odgrywało w jej życiu najważniejszą rolę. Dotyczyło to także pracy wykonywanej przez wnuczkę.

- Czy załatwiłaś w Południowej Karolinie wszystko, co sobie zamierzyłaś? - spytała.

- Aha. Większość czasu upłynęła mi na rozmowach z mieszkańcami wyspy. Bardzo dużo mi dały. Sądzę, że to naprawdę interesujący projekt. - „Interesujący” to odpowiednie słowo, o innych nie chciała w tej chwili myśleć.

Wstała od stołu i wyjąwszy nóż z szuflady, otworzyła kopertę od Roxanne.

- To już trzeci list od Roxanne w tym miesiącu. Czemu pisze do ciebie, skoro rozmawiacie przez telefon raz w tygodniu? - spytała Elizabeth.

- Pewnie to lubi.

- Trudno mi w to uwierzyć. Nie cierpiała pisania, gdy była w szkole. Miło mi usłyszeć, że ludzie się jednak zmieniają. Szkoda, że mieszka w Nowym Jorku, to tak daleko.

- Frank był już tam zakorzeniony na długo przedtem, nim spotkał Roxanne i ożenił się z nią. Poza tym wcale nie jest tak daleko. Ilekroć zechcesz, możesz polecieć samolotem i spotkać się z nią na lunchu.

- Nie, nie lubię latać, denerwuję się. Czytałam ostatnio artykuły na temat alkoholizmu wśród pilotów. Bałabym się powierzyć im swoje życie.

- Miliony ludzi latają samolotami, babciu.

- Dziękuję, ale nie ruszę się stąd. Jeśli Roxanne zechce, może przylecieć do mnie.

Corinne obrzuciła babcię uważnym spojrzeniem. Mimo iż Elizabeth mówiła tym samym spokojnym

tonem, w jej oczach czaił się ból. Nie po raz pierwszy rozmowa o wizycie Roxanne otwierała starą ranę.

- Nie myśl, że ona nie chce przyjechać, babciu - próbowała załagodzić sytuację. - Ma mnóstwo pracy przy Jeffreyu, a Frank często zabierają ze sobą, gdy podejmuje swoich klientów.

- Chciałabym, żeby to było takie proste, ale wiesz dobrze, że nie potrafimy się z Roxanne dogadać. Odziedziczyła wiele cech po matce. Staralam się jak mogłam okiełznać Cerise, ale mi się nie udało. Roxanne przynajmniej poślubiła statecznego mężczyznę, ale do samego dnia ślubu obawiałam się, że weźmie nogi za pas. Muszę przyznać, że nie zazdroszczę Frankowi.

Corinne wiedziała, co babcia ma na myśli, ale starsza pani nie miała pojęcia o drugiej stronie medalu, nie *czytała, przecież listów. Zdaniem Roxanne Frank nie potrafił sprostać podwójnej roli biznesmena i męża i Corinne spodziewała się kłopotów.*

- Zawsze się różniłyście - powiedziała Elizabeth. Oczy jej się uśmiechały. - Ty byłaś podobna do mnie, taką powinnam mieć córkę. Nie wiem, po kim Cerise odziedziczyła swoje wady, ale z pewnością ani po mnie, ani po swoim ojcu, Panie świeć nad jego duszą. Ale ty... ty wzięłaś po nas, co najlepsze. To prawdziwy cud, że nie masz w sobie nic z Alexa ani Cerise.

- Mam włosy i oczy matki. I nos Fremontów.

- Ale rozum i usposobienie odziedziczyłaś po mnie, a to bardzo ważne rzeczy. - Umilkła na chwilę. - Czy miałaś ostatnio jakieś wiadomości od matki?

- W zeszłym miesiącu, widziałaś przecież widokówkę z Dubrownika.

- Czego ona szuka w Jugosławii?

- Pisała, że są tam piękne plaże.

- Nie pisała, z kim jest?

- Nie.
- Podejrzewam, że nie z twoim ojcem. Corinne podziwiała babcię za ten spokojny ton. Jej nie było na to stać, mimo że starała się ze wszystkich sił.
- Alex jest chyba w Paryżu. Matka poznała tam jakiegoś księcia czy hrabiego. Podróżuje razem z nim wzdłuż dalmackiego wybrzeża.
- Kto płaci rachunki?
- Przypuszczam, że księżę czy kto tam. Gdy się sobą znudzą, wróci do Alexa.
- Dziwny to związek - pokręciła głową Elizabeth - razem, osobno, tu, tam. Mogliby spędzać trochę czasu ze swoimi córkami.
- Nigdy nie poświęcali nam czasu. Czemu teraz miałyby się to zmienić?
- Robią się coraz starsi.
- Corinne roześmiała się.
- Starsi? Matka ma czterdzieści siedem lat, Alex czterdzieści osiem i nie sędzę, by osiągnęli etap, w którym spogląda się za siebie. Prawdę mówiąc, wątpię, czy kiedykolwiek go osiągną.
- To wstyd. Widzieli małego Jeffreya raz w życiu, i to tylko dlatego, że byli przejazdem w Nowym Jorku.
- Corinne wstała, opłukała szklanekę i umieściła ją w zmywarce do naczyń.
- Czy wybierasz się jutro na lunch z panią Frederick?
- Tak. Zaprosiła mnie do siebie około południa. A ty masz jakieś plany?
- Chcę pobyć trochę w domu, nie było mnie tu przez pół tygodnia.
- Nie zapomnisz podlać kwiatów?
- Nie, babciu.

- I rozwieszysz na dworze ręczniki i pościel? Na słońcu wyschną błyskawicznie, a pachną potem wspólnie.

- Zajmę się tym.

- Dziękuję, kochanie - powiedziała Elizabeth, całując wnuczkę. - Dobranoc.

- Dobranoc, babciu.

Corinne zaczekała, aż trzasną drzwi do pokoju babci na górze, następnie pogasiła światła w kuchni i wróciła do holu po torbę. Wciąż trzymała w ręku otwarty, lecz nie przeczytany list od siostry. Włożyła go pod pachę i wzięwszy torbę, poszła do swojego pokoju.

Odłożywszy list od Roxanne na komódkę, metodycznie pochowała swoje rzeczy do szafy, po czym wzięła prysznic i wróciła do sypialni. Jej spojrzenie padło na coś, o czym usilnie starała się nie pamiętać - torbę podróżną. Przyglądała jej się przez parę minut, po czym powoli położyła torbę na łóżku i otworzyła.

Corrine ogarnęły wspomnienia. Na widok ciemnoniebieskiej sukni wróciły wszystkie myśli i uczucia, które skrzętnie zepchnęła do najdalszych zakamarków pamięci. Usiadła obok torby, oszołomiona i bezsilna.

Trzy i pół dnia. Naprawdę tylko tyle? Miała uczucie, że od chwili gdy wyleciała z Baltimore do Południowej Karoliny, minęły wieki, choć czas na Hilton Head wcale jej się nie dłużył. Przeciwnie, pracy miała mnóstwo, i to ogromnie satysfakcjonującej.

Nie chodziło jednak o pracę. Elizabeth powiedziała jej, że w niczym nie jest podobna do swoich rodziców, ale Corinne doszła właśnie do wniosku, że to nieprawda.

Wróciła do chwil spędzonych z Coreym, przypomniała sobie, jak ją tulił, całował i pieścił. Pamiętała, jak odwzajemniła mu pocałunek, jak pozwoliła się dotknąć i błagała, by zrobił to jeszcze raz.

Zacisnąwszy powieki, potrząsnęła gniewnie głową, ale nic to jej nie pomogło. Musiała przyznać, że wbrew wszelkim przyrzeczeniom, które sobie złożyła, poddała się namiętności Coreya, co więcej, rozkoszowała się nią. Jeszcze teraz ciało mrowiło ją na samo wspomnienie doznanej przyjemności. Nawet w marzeniach nie wyobrażała sobie, że dotyk mężczyzny może łąć aż tyle.

Teraz już wiedziała i przerażało ją to. Nie chciała polubić Coreya, ale jej się to nie udało. Nie chciała, żeby ją pociągał - na próżno. Nie chciała myśleć o tym, co by się stało, gdyby nie przerwał pieszczot - bezskutecznie.

Kochaliby się, czym udowodniłaby, że jest nieodrodną córką swojej matki. W samym uprawianiu miłości nie byłoby zresztą niczego zdrożnego. Gdyby aa miejscu Coreya znajdował się Tom lub Richard, wszystko byłoby w porządku.

Ale nie z Kardynałem. W jego ramionach przedstawiała być sobą, miał nad nią mistyczną władzę. Był niebezpieczny.

Ciągnęła ją do niego jakaś ślepa siła, zagłuszająca głos rozsądku, tak jak kiedyś matkę do ojca. A zdrowy rozsądek był jak osobisty katechizm dla Corinne. Nigdy nie rzucała się w nic na oślep. Zawsze analizowała sytuację przed podjęciem decyzji. Stosowała w życiu zasadę panowania nad sobą, tym razem jednak dała się ponieść emocjom.

Szkoda, że pojechała na Hilton Head. Wszystkie kłopoty zaczęły się właśnie tam. Jej wzrok padł na

komódkę. Podeszła do niej i otworzywszy drugą szufladę, wyjęła spośród porządnie ułożonych nowych rajstop banknot dolarowy, który kiedyś podarła, potem zaś podkleiła starannie taśmą. Trzymała go przez chwilę w dłoni, przesuając opuszkami palców po podklejonej powierzchni, następnie szarpnęła mocno, próbując go rozerwać.

Taśma trzymała.

Zacisnęła dłonie na blacie komódki i zwiesiwszy głowę na piersi, zamknęła oczy, zagubiona i przeżona.

Do środowego poranka nic się nie zmieniło, Corinne nie odzyskała swego zwykłego spokoju. Nie miała wiadomości od Coreya. Z jednej strony była z tego powodu zadowolona, z drugiej - zła. Myślała, że po tym, co stało się na łodzi i co jej powiedział, będzie szukał z nią kontaktu. Teraz miała dowód, co warte były jego słowa. Ogarniał ją gniew na myśl, że uległa jego urokowi choć na krótką chwilę, że mu zaufała.

Wciąż jednak łączył ich projekt, który, ośmielona przez Alana, podjęła się dla niego zrealizować i miała zamiar udowodnić obu mężczyznom, że potrafi dobrze wykonać swoją pracę. Po namyśle postanowiła przystąpić do ataku i w czwartek rano zadzwoniła do Coreya.

Nie było go w biurze. Sekretarka powiedziała, że wyjechał z miasta i wróci na początku przyszłego tygodnia. Corinne nie chciała zostawiać wiadomości i powiedziała, że zadzwoni jeszcze raz.

Poniedziałek. To nie fair, że musi czekać tak długo, skoro nastawiła się psychicznie, iż skontaktuje się z nim dzisiaj. Przecież ma coś lepszego do roboty, niż

PRZECIWIENSTWA SIĘ PRZYCIĄGAJA-

siedzieć i rozmyślać o Coreyu Haradenie. Zajęła się więc pracą z gorliwością, która niewątpliwie zrobiłaby wrażenie na Alanie, gdyby był w firmie. Ale on równie wyjechał z miasta.

Popchnęła do przodu ankiety dla towarzystwa kart kredytowych, pracowała z programistami nad kolejnym kwestionariuszem, spędziła sporo czasu z Jonathanem Alterem, udzielając mu wskazówek dotyczących właściwego programowania komputerowego odpowiedziała na telefony dwóch szczególnie nie cierpliwych klientów.

Gdzieś w połowie dnia, rozmawiając właśnie z jednym z nich, podniosła wzrok znad biurka i spostrzegła stojącego w drzwiach Coreya. Tak często wyobrażała sobie tę chwilę, że nie była pewna, czy to jawa czy sen.

- Tak, panie Cimino, już to zrobiliśmy - powie działa, opuszczając wzrok na rozłożony na biurku skoroszyt. - Programiści pracują nad ostatnią ankietą.

Jeszcze raz spojrzęła na drzwi. Corey wciąż tam był-

- Uhm - mówiła dalej, koncentrując się na skoroszycie. - Rozumiem, ale mamy do czynienia z tysiącami formularzy...

Zamrugnęła niespokojnie i znów popatrzyła w górę, tym razem napotykać spojrzeń Coreya.

- Wprowadzanie danych do komputera zajmie nam około dwóch tygodni, analiza około tygodnia..-

- Umilkła, słuchając rozmówcy. - Połowa czerwca-Tak. Zadzwonię, gdy będę mogła ustalić konkretną datę naszego spotkania. Do widzenia.

Odłożyła powoli słuchawkę, zamknęła skoroszyt i odchyliła się na oparcie krzesła. Powinna była przewidzieć, że Corey zjawi się u niej. Niestety, była na

to zupełnie nie przygotowana. Przez dobrą chwilę próbowała odzyskać równowagę, chociaż sprawiała wrażenie osoby opanowanej.

- Zajęta? - spytał.
- Jak zawsze.
- Mogę wejść?

Nie miała wyboru. Był ich klientem. Wskazała mu krzesło naprzeciwko siebie. Cieszyła się, że dzieli ich biurko - dzięki temu nie widział jej kurczowo zaciśniętych dłoni.

Wygląda inaczej. Jest zdenerwowany.

To poczucie winy.

Nie, jest trochę mniej pewny siebie. To lęk.

A właśnie że poczucie winy.

To ostrożność. Nie dostrzegasz jej w jego oczach?

Widzę tylko, że są zielone i błyszczące. Niech to diabli!

- Przepraszam, że nie zadzwoniłem. Zamierzałem to zrobić, ale bałem się, jak zostanę przyjęty.

- Nie masz powodu do obaw. Pracuję dla ciebie. Masz prawo dzwonić, kiedy zechcesz.

- Nie mówię o pracy, Cori.

- Ale ja mówię. Próbowałam dodzwonić się do ciebie wczoraj, ale nie było cię w biurze. - Obróciwszy się razem z krzesłem, zamieniła leżący przed nią skoroszyt na wyjęty z szafki. Otworzyła go i zaczęła wertować papiery. - Mam już gotowy plan ramowy oraz projekt ankiety. Musimy je razem przejrzeć, zanim poczynię kolejne kroki.

- Miło było gościć cię w zeszłym tygodniu, Cori. Tęskniłem za tobą.

- Myślę, że będziemy trzymać się koncepcji umieszczenia ankiet w pokojach hotelowych. Rozmowa z właścicielami sklepów nasunęła mi też pomysł, by

zastosować pewne zachęty, na przykład w postaci rabatu - mówiła dalej, odchrząknąwszy.

- Stałem na lotnisku i przyglądałem się startowi twojego samolotu. Czułem się bardzo dziwnie. Chyba nie potrafię tego ubrać w słowa.

- Musimy policzyć dokładnie, co oznaczałoby to dla sponsorów sondażu...

Corey wyprostował się na krześle, jego oczy miały w tej chwili tak intensywnie zielony kolor jak nigdy dotąd.

- Chodź ze mną na kolagę, Cori.

- Mogę znaleźć trochę czasu późnym popołudniem na przedyskutowanie wszystkiego.

- Mam teraz kilka umówionych spotkań w mieście. Właściwie już jestem spóźniony, ale nie mogłem się powstrzymać, by nie wpaść. Kolacja. Co ty na to?

- Raczej... nie.

- Dlaczego?

- Łatwiej pracować w biurze.

- Nie chcę pracować. Chcę z tobą porozmawiać.

- Ale ja nie chcę - powiedziała cicho.

- Boisz się mnie.

- Tak.

- Denerwuję cię.

- Tak.

- Sprawiam, że myślisz o sprawach, o których wolałabyś nie myśleć.

- Tak - przyznała po chwili.

- Przynajmniej jesteś szczerą. - W jego oczach malował się smutek. - Żałujesz tego, co się wydarzyło w sobotę, prawda?

Głos Corey a również był smutny. Próbowała sobie wmówić, że to sztuczka, ale coś jej podpowiadało, że się myli. Czuła się rozdarta. Wreszcie niechętnie skinęła głową.

- Czy powiesz mi, dlaczego?
 - Ja... po prostu to nie było właściwe.
 - Wtedy wydawało się właściwe.
 - Wtedy nie myślałam.
 - Czy zawsze trzeba myśleć? A co z uczuciami?
 - Jedno i drugie powinno iść w parze.
 - W życiu nie zawsze tak bywa.
 - Wiem. Dlatego się boję.
 - Nie ma się czego bać, przynajmniej nie wtedy, gdy jesteś ze mną. Nie widzisz tego? - Zmarszczył brwi, próbując zebrać myśli, co było raczej trudne, ponieważ patrzyła na niego, jak gdyby mówił po grecku. Nie dał jednak za wygraną. - Mam wrażenie, że czekałem na ciebie od dawna - wyznał.
 - Czemu brzmi to jak frazes?
 - Pewnie dlatego że często się to słyszy, co wcale nie oznacza, że twierdzenie jest nieprawdziwe.
 - Albo ma ukryty Cel.
 - Uważasz, że próbuję tobą manipulować.
 - Uważam - szepnęła - że potrafisz odwołać się do właściwej strony mojej osobowości.
 - Tak. Do tej, którą zwykle zamykasz na dziesięć spustów.
- Popatrzyła na swoje zaciśnięte dłonie.
- Do tej pory mi się udawało.
 - Wobec tego zastanów się. Skoro udało mi się do niej dotrzeć, to znaczy, że pod tą skorupą jesteś ciepłą, namiętną i wrażliwą kobietą.
 - Zawsze taka byłam. Seks nie jest najważniejszą sprawą w życiu.
 - Jest sprawą absolutnie właściwą, gdy dwoje ludzi odczuwa ten rodzaj pociągu, który my odczuwamy. - Podniósł rękę. - Nie zaprzeczaj, Cori. Do tej pory byłaś uczciwa. Nie psuj tego.

- Naprawdę wolałabym ograniczyć nasze stosunki do spraw służbowych - powiedziała, spuszcżając wzrok.

Corey, który starał się ze wszystkich sił zachować rozsądek i spokój, nie wytrzymał:

- Do diabła, Cori, na to już za późno!

- Może kto inny powinien przejąć twój projekt.

Corey zerwał się z krzesła i zaczął nerwowo prze mierzać pokój.

- Nie zgadzam się! Rozpocząłem to wszystko ze względu na ciebie. Nie patrz na mnie z miną obrażonej niewinności. Chcesz znać prawdę? Owszem, zależy mi na dokończeniu projektu. Te informacje bardzo nam się przydadzą. Ale przede wszystkim pragnąłem poznać ciebie. Odmówiłaś mi spotkania na gruncie towarzyskim, postanowiłem więc dotrzeć do ciebie przez pracę. Wszystko szło dobrze aż do soboty, kiedy to do głosu doszedł czysty instynkt. Nie zaplanowałem tego, Corinne. Nie zaprosiłem cię na żaglówkę po to, by cię uwieść. Nie mówiąc o tym, że to ja czuję się uwiedziony.

- Nigdy nie...

- Wiem, że nie zrobiłaś tego świadomie, zresztą ja również. Wszystko układało się tak dobrze. Prawie zostaliśmy przyjaciółmi. Czy sądzisz, że zaryzykowałbym utratę przyjaźni dla krótkiego pocałunku czy pieszczoty... Wiele o nas myślałem, Cori. Gdy cię poznałem, intrygowałaś mnie swą innością. Zawsze zrównoważona, spokojna, pełna godności. Następnie odkryłem, że masz poczucie humoru i gdy się uśmiechnęłaś, poczułem się jak młody bóg. Kiedy otworzyłaś się przede mną na łodzi - nie mówię o sprawach fizycznych - dowiedziałem się czegoś o sobie. Zawsze myślałem, że jestem wolny jak ptak, ale to nieprawda.

Po prostu zabijałem czas, czekając na właściwą kobietę. Możesz mi mówić, że to frazesy, ale ja myślę, że zakochałem się w tobie.

- Nie możesz... - zaczęła Corinne.

- Może i nie, ale tak właśnie się czuję. Wolałbym, żeby to była jakakolwiek inna kobieta, ponieważ boli mnie twoja obojętność. Ale nic na to nie poradzę. - Westchnął ciężko i przecesał palcami włosy. - Cóż, myślę, że dość już powiedziałem. Nie mam doświadczenia w obnażaniu przed kimś duszy. Szczerze mówiąc, to cholernie wyczerpujące. - Podeszedł do drzwi i przystanął w nich na chwilę. Wyglądał na bardzo zmęczonego. - Będę w „Montague” o ósmej. Jeśli nie przyjdiesz, nie będę ci się więcej narzucał.

ROZDZIAŁ

6

Punktualnie o ósmej wieczorem Corinne przekroczyła próg restauracji „Montague”. W holu czekało parę osób, ale Coreya wśród nich nie było.

- Mam się tu spotkać z panem Coreym Haradenem - powiedziała cicho, podchodząc do kierownika sali. - Czy już przyszedł?

- Panna Fremont? - Gdy Corinne skinęła twierdząco głową, uśmiechnął się. - Proszę tędy.

Zaprowadził ją do małego narożnego stolika, przy którym siedział Corey. Spodziewała się zadowolonej z siebie miny - przecież jej przyjście tutaj było jego zwycięstwem - ale na przystojnej opalonej twarzy Coreya malowała się wyłącznie ulga.

- Czego się napijesz? - spytał, gdy usiadła.

- Poproszę kieliszek białego wina.

Skinąwszy na przechodzącego kelnera, zamówił dwa kieliszki chablis, po czym oparł lekko rękę na stoliku. Miał na sobie garnitur i świeżą koszulę, Cori zaś przysłała prosto z pracy, nie miała więc okazji, by się przebrać. Wyraźnie też ogolił się po raz drugi.

- Dziękuję - powiedział cicho, zaglądając jej w oczy. - Nie byłem pewien, czy przyjdiesz.

Odwrociwszy wzrok, zaczęła się przyglądać kostkom lodu w szklance z wodą mineralną.

- Winna ci jestem wyjaśnienie.

- Dlaczego chcesz ograniczyć nasze stosunki do służbowych?

- Dlaczego jestem, jaka jestem? - Zastanawiała się nad tym przez całe popołudnie.

- Słucham - zachęcił ją cichym głosem.

- Mój ojciec był jedynakiem. Jego rodzice umarli, gdy miał szesnaście lat, ale pozostawili mu ogromny majątek. Z tego, co o nim słyszałam, zawsze był trochę szalony. Nagle został sam z mnóstwem pieniędzy i odbiło mu. Nie chciało mu się kończyć szkoły. Nie widział potrzeby, ponieważ mógł żyć sobie jak lord z samych procentów, nie naruszając kapitału.

- Fremont. Czy powinienem znać to nazwisko?

- Tylko jeśli miałeś kiedykolwiek do czynienia ze srebrami. Mój dziadek zbił na nich fortunę. Wiedział, że Alexa nie interesuje rodzinny interes, kiedy więc zachorował po śmierci babci, postanowił go sprzedać. Z dnia na dzień majątek potroił się. Dziadek zainwestował pieniądze, zastrzegając, że Alex może korzystać jedynie z odsetek.

- Co stanowiło niezłą sumkę.

- Ogromną. Alex podróżował, wydawał wystawne przyjęcia dla różnych ludzi. Spotkał moją matkę w rok po śmierci ojca. Pochodziła ze znacznie uboższej rodziny i zawsze była zbuntowana. Ślub z Alexem był dla niej szczytem marzeń.

- Kochali się?

- Czy w tym wieku wie się, czym jest miłość?

- A w jakim wieku się pobrali?

Corinne spojrzała na niego, zakłopotana i zrezygnowana.

- Wystarczy powiedzieć, że gdy się urodziłam w niespełna rok później, ona miała siedemnaście, a on osiemnaście lat.

- Fiu, fiu. Trochę zbyt mało, by założyć prawdziwą rodzinę.

Cori wzruszyła ramionami. Kelner podał wino, upiła łyk, w nadziei że się choć trochę rozluźni.

- Nie mieli kłopotów finansowych, teoretycznie więc wszystko mogło się jakoś ułożyć. Oni jednak chcieli być wolni pod każdym względem, dziecko było zbędnym ciężarem.

- Czemu więc się na nie zdecydowali?

- Może była to zuchwałość, a może przekora. Uważali, że odegrali już swoją rolę w przedłużaniu gatunku, a teraz mogą prowadzić życie, jakie im się podoba.

- Kto się tobą zajmował?

- Babcia. Od chwili urodzin mojej siostry, została naszą jedyną opiekunką. Och, nie było tak źle - pospieszyła z wyjaśnieniem na widok miny Coreya. - Miała zaledwie trzydzieści sześć lat, a więc była w wieku, w którym obecnie kobiety decydują się na dzieci. Aleś dopilnował, żeby nie brakowało jej na nic pieniędzy. Myślę, że po kłopotach z wychowaniem mojej matki babcia chętnie skorzystała z drugiej szansy.

- Musi być nadzwyczajną kobietą.

- Jest ogromnie dokładna i zorganizowana, czasem nawet autokratyczna. Ale, owszem, jest nadzwyczajna.

- A twoi rodzice? Co robili, gdy już zostawili cię pod jej opieką?

- To, co robił ojciec, zanim się pobrali. Podróżowali i bawili się.

Choć Corey znał ludzi ich pokroju, nie potrafił jednak wyobrazić sobie takich rodziców. Jego rodzice nie byli zamożni, ale kochali swoje dzieci i zajmowali się nimi.

- Pewnie często was odwiedzali.

- Po co? - spytała gorzko Corinne. - Zrobili swoje i cześć. Dali nam życie oraz środki na utrzymanie. Ich zdaniem troszczyli się o nas.

- Rola rodziców polega na czymś więcej.

- My o tym wiemy, ale oni z pewnością nie wiedzieli. Byliśmy dla nich chwilową zabawką.

Corey jeszcze raz wrócił pamięcią do swego dzieciństwa. Jego rodzice zawsze otaczali swoje dzieci opieką, czułością i miłością.

- Musiało być wam ciężko.

- Babcia starała się jak mogła.

- A gdzie był dziadek przez ten cały czas?

- Dziadek już nie żył.

- A więc zostaliście tylko we trzy?

- Tak. - Przez jej twarz przemknął cień smutku.

- Co wtedy czułaś?

- Byłam zła i urażona. Nigdy nie dałam tego odczuć babci, ponieważ wiedziałam, że próbuje zastąpić nam oboje rodziców i w pewnym stopniu *jej* się to udało. Ale babcia to babcia. Jest bardzo wymagająca na swój spokojny sposób i trudno ją zadowolić. Ja znosiłam to dobrze, ale Roxanne była niesfornym dzieckiem, musiałam więc pomagać w utrzymaniu jej w korbach. Czasami miałam ochotę uciec, gdzie pieprz rośnie, tak jak moja matka, ale czułam, że jestem coś winna babci, no i nie mogłam opuścić Roxanne.

- Niektóre dziewczęta zbuntowałyby się przeciw tyłu obowiązkom.

- Z pewnością. Ja postanowiłam, że nie będę lekkomyślna i nieodpowiedzialna. Nie jestem zwolenniczką hedonistycznego stylu życia.

- Jak twoi rodzice?

- Tak.

- Czy oni żyją?

- O tak, i nic się nie zmienili. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Doszliśmy do najbardziej bulwersującej sprawy. Jesteś pewien, że chcesz o tym usłyszeć?

Corey uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Sądzę, że ty wolałabyś o tym nie mówić, ale ja chciałbym usłyszeć.

- Moi rodzice traktują związek małżeński bardzo liberalnie. Nie mają nic przeciwko zmianie partnera, gdy przychodzi im na to ochota. Gdy są razem, Alex płaci wszystkie rachunki; gdy się rozstają, każde troszczy się o siebie, co oznacza w praktyce, że moja matka jest drogą utrzymanką kolejnych kochanków. Teraz podróżuje po Jugosławii ze swym ostatnim księciem z bajki. Alex jest w Paryżu, bez wątplenia z czarującą partnerką.

- To Alex jest Srebrnym Lisem?

Skinęła twierdząco głową.

- Nie sądziłam, że zapamiętasz.

- Czemu mówisz o ojcu „Alex”, a o matce „matka”?

- Z szacunku dla babci. Może trochę i dla matki, która bądź co bądź nosiła mnie przez dziewięć miesięcy i tym sposobem zrobiła dla mnie znacznie więcej od ojca - powiedziała z wyraźną ironią.

- Chyba nie dlatego jesteś przeciwna seksowi?

Corinne nie była w nastroju do żartów. Zbliżyła się do najtrudniejszej części wyjaśnień. Pociągnęła nerwowo łyk wina.

- Nie mam nic przeciwko seksowi. Martwi mnie brak rozwagi, odpowiedzialności. Postąpili źle. Nie powinni mieć dzieci, skoro nie chcieli być rodzicami.

- A ty? Co to ma wspólnego z tobą? Co to ma wspólnego z nami? - Mówił cicho i spokojnie, ale Z wielką powagą.

- Nie jestem lekkomyślna ani beztroska - powiedziała, patrząc pod światło na wino w kieliszku. - Staram się zawsze trzeźwo myśleć. Bardzo angażuję się w pracę. Potrzebne mi poczucie bezpieczeństwa, Corey. Muszę wiedzieć, z kim będę, kiedy i gdzie. Chcę mieć dom. Jedno miejsce, w którym będę sypiała każdej nocy. - Zabrakło jej tchu. - Ty jesteś inny. Znacznie bardziej spontaniczny i impulsywny. I to tnie przeraża. Boję się również tego, że w twojej obecności zapominam czasami, jaka zawsze chciałam być. Tracę rozsądek. Strach mnie ogarnia, gdy pomyślę, do czego to może prowadzić.

Ujawszy jej drobne dłonie, Corey ukrył je w swoich.

- Jesteś zupełnie inna niż twoja matka, Cori.

- W zeszłą sobotę byłam do niej podobna.

- Nie. Zachowywałaś się jak każda kobieta idąca za głosem uczucia. Przecież twoja matka nie wzięła Się z powietrza. Babcia musiała czuć coś do dziadka.

Corinne roześmiała się z zażenowaniem.

- Seks jakoś zupełnie nie kojarzy mi się z babcią.

- Nie mówię tylko o seksie. To tylko jeden aspekt związku i jeśli ludzi nic poza nim nie łączy, związek nie ma przyszłości. Ciebie i mnie łączy coś więcej. Pomyśl o czasie, który spędziliśmy razem w zeszłym tygodniu. Czy nie byliśmy zgodni?

- Nie klóciliśmy się, jeśli o to ci chodzi - odrzekła niechętnie, wzruszając ramionami.

- Chodzi mi o to, że zgadzamy się pod wieloma względami. W pracy. W ocenie ludzi. Czy to nie ważne?

- Ale jesteśmy bardzo różni.

- Skąd wiesz? Trzymasz się kurczowo pierwszego wrażenia, ponieważ boisz się zaangażować.

- Masz rację! - wykrzyknęła. - Boję się!

Przycisnęła jej dłoń do swojej piersi.

- A nie powinnaś. Powinnaś być otwarta i ciekawa, jakaś twoja część taka właśnie jest, w przeciwnym razie nie pozwoliłabyś mi się dotknąć na łodzi. - Przytrzymał mocno, lecz zarazem delikatnie jej dłoń, którą usiłowała mu wyrwać. - Pragnę twojej duszy tak samo jak ciała. Chcę, żebyś myślała o mnie, żebyś zastanowiła się nad wszystkim, co wydaje ci się takie okropne, i odpowiedziała sobie uczciwie, czy przypadkiem się nie mylisz. Przypuszczam, że gdy zobaczyłaś [jinie po raz pierwszy, odczułaś pokusę, toteż przestraszona, chwytając się każdego możliwego pretekstu, żeby przekonać samą siebie, jaki to jestem niedobry.

- Nigdy nie mówiłam, że jesteś niedobry - szepnęła, uciekając spojrzeniem w bok.

- No więc, nie dość dobry dla ciebie. Czy to z powodu moich pieniędzy?

W milczeniu skinęła głową.

- Spójrz na mnie, Cori. Błagam, spójrz na mnie.

Powoli podniosła oczy i czekała na jego słowa.

Corey nie odezwał się od razu. Zatopił w jej oczach łagodne szmaragdowe spojrzenie, które nappełniło ciepłem nie tylko jej łądzwie, lecz i serce.

- Co byś powiedziała, gdybym poprosił cię o rękę?

- Że straciłeś rozum.

Pokręcił z niedowierzaniem głową, po czym uśmiechnął się do Cori.

122 ♦ PRZECIWIENSTWA SIE PRZYCIAGAJA...

- Jesteś niesamowita! Oświadczam się kobiecie po raz pierwszy w życiu, a ona mi mówi, że zwariowałem.
- Nie oświadczyłeś się. To było retoryczne pytanie.
- Naprawdę?
- Oczywiście. Nie znamy się. Właśnie ci udowadniałam, jak bardzo się różnimy...
- Różnice nie muszą oznaczać kłopotów. Gdybyśmy byli do siebie podobni, wspólne życie byłoby nudne jak flaki z olejem.
- Lubię nudne życie. Lubię stałość i rzeczy dające się przewidzieć.
- A czy nie bawiła cię na żaglówce odrobina niepewności i niebezpieczeństwa? Nigdy nie widziałem, żebyś była taka ożywiona i swobodna.
- Owszem, ale na zasadzie nowości. Nie zniosłabym tego na co dzień.
- Ale pomijasz sedno sprawy. Mógłbym zapewnić ci tę stałość i pewność. Miałabyś dom, którego tak pragniesz, byłabyś zabezpieczona finansowo. Nie mógłbym ci tylko obiecać, że prześpię wszystkie noce w tym samym łóżku, ponieważ moja praca wymaga częstych podróży, poza tym lubię wakacje. Chciałbym, żebyś mi towarzyszyła w tych podróżach, oczywiście nie wówczas, gdy zdecydujemy się na dzieci. Nie obiecałbym ci też, że czasem nie zrobię czegoś spontanicznie, ponieważ taką już mam naturę. Myślę, że też to polubisz.
- Kelner czeka na nasze zamówienie.
- Obiecałbym ci natomiast, że będę ci wierny. Kardynał mówi o wierności? Obrzuciła go sceptycznym spojrzeniem.
- Czy przemyślałeś to wszystko?
- Jasne.

- I zaprosiłeś mnie tu dzisiaj, żeby się oświadczyć?
- No cóż... niezupełnie... nie miałem pewności, czy przyjdiesz... A nawet wtedy mogłaś przecież chlusnąć mi wodą czy winem w twarz i powiedzieć, że nie chcesz mnie więcej widzieć.
- Zaczerwieniłeś się.
- Czuję się głupio.
- I słusznie. Mężczyzna nie powinien prosić kobiety o rękę pod wpływem chwili. Powinien to przemyśleć.
- Nie masz racji. Jeśli mężczyzna czuje coś, czego jeszcze nigdy do tej pory nie czuł, nie ma co się zastanawiać.
- Musi być pewny, że podejmuje właściwą decyzję.
- Cori, powtarzam ci, że chcę się z tobą ożenić.
- Lepiej zajmij się kartą.
- Wyjdiesz za mnie?
- Jeśli nie zamówimy czegoś, kelner poprosi nas o opuszczenie sali.
- Odpowiedz.
- Co wybieram? Wciąż trzymasz moją rękę, nie mogę więc zajrzeć do karty.
- Cori...
- W porządku, Corey. Chcesz znać prawdę? Czuję się zakłopotana i przestraszona. W ten sposób nie pomagasz ani sobie, ani mnie.
- Zakłopotana i przestraszona. W to mogę uwierzyć. A co do mojej pomocy, podpowiedz mi, co mam Zrobić.
- Po pierwsze, puść moją rękę - powiedziała drżącym głosem. - Nie jestem w stanie myśleć, gdy ją całujesz.
- Szkoda. Uwielbiam dotyk twojej skóry.
- Corey...?

- Dobrze. - Puścił jej dłoń, ale przedtem ucałował ją czule jeszcze raz.

Otworzyła kartę i szybko oparła ją o talerz, żeby ukryć drżenie ręki.

- To się nie uda - wyszeptwała bardziej do siebie niż do Coreya.

- Na pewno się uda - odpowiedział Corey, pochylając się ku niej. Zakręciło mu się w głowie, lecz nie miało to nic wspólnego z wypitym łykiem wina. Corinne go lubiła. Przyznała, że ją pociąga. To na początek. - Coś ci powiem. Odłóżmy tę rozmowę na później i zajmijmy się kolacją. Czy to brzmi rozsądnie?

Skinęła głową.

- Świetnie. - wyprostował się i przywołał kelnera.

- Za chwilę będziemy gotowi, dobrze?

Przez resztę wieczoru Corey pilnował, żeby rozmowa dotyczyła wyłącznie pracy, żeby nie było w niej żadnych akcentów osobistych. Opowiedział jej o interesach, które załatwiał w Baltimore i swoich innych projektach, podzielił się z nią marzeniem o rozszerzeniu ich na grunt międzynarodowy. Wysłuchał z zainteresowaniem jej opinii.

Wieczór skończył się stanowczo zbyt szybko, wypili drugą kawę i wyszli z restauracji. Corey otworzył drzwi taksówki, poczekał aż Cori wsiądzie, po czym zajął miejsce obok niej.

- Jaki adres? - spytał cicho.

- Podrzucę cię do hotelu, a potem pojedę do domu.

- Robiła tak zwykle, gdy umawiała się na spotkania z zamiejscowymi klientami i sprawiłoby jej przyjemność podwiezienie Coreya. On jednak się nie zgodził.

- Nie, zrobimy odwrotnie. To ja podrzucę cię do domu. Twój adres?

PRZECIWIENSTWA SIE PRZYCIAGAJA... »Jj*?

- To naprawdę nie ma sensu. Twój hotel jest po drodze. To śmieszne, żebyś jechał ze mną, a potem....

- Nalegam.

- Późno już. Masz jutro spotkania.

- Ty również. Nie zamierzam puścić cię samej o tej porze.

- Przecież nie jadę autobusem. Będę absolutnie bezpieczna...

- Dokąd? - dobiegło burknięcie z przedniego siedzenia.

Obrzuciwszy Corinne karcącym spojrzeniem, Corey pochylił się do przodu i podał taksówkarzowi jej adres, następnie usiadł wygodnie i czekał na reakcję. Nie patrzył na nią, ale czuł, jak wciąga głęboko powietrze i sznuruje usta; wyobrażał sobie, że liczy do dziesięciu, nim się do niego odezwie. Gdy wciąż milczała, poczuł się nieswojo.

- Sprawdziłem w książce telefonicznej, i co z tego?- spytał zaczepnym tonem, niczym mały chłopiec przyłapany na pisaniu walentynkowej kartki. – Mężczyźni zawsze robią takie rzeczy, gdy są zakochani po uszy-

- Dziś po południu tylko myślałeś, że jesteś zakochany.

- Widocznie już wcześniej tak się czułem. Znalazłem twój adres, gdy byłem tu dwa tygodnie temu.

- Twój głos nie brzmi zbyt radośnie.

- A dlaczego miałby brzmieć? Nie chcesz, żebym zobaczył twój dom.

- To nie...

- A więc chodzi o babcię. Nie chcesz, żebym się z nią spotkał. Musi być niezłą jędzą, skoro jesteś pewna, że jej się nie spodoba. Boisz się jej?

Corinne nie odpowiedziała. Nie miała pojęcia dlaczego. Jest przecież dorosłą, niezależną kobietą i nie

boi się Elizabeth. Z drugiej strony bardzo liczyła się z opinią starszej pani. Z powodów, których sama nie rozumiała, nie chciała jej usłyszeć teraz.

- Jest po dziesiątej. Babcia już śpi.

- A więc boisz się mnie. Bylibyśmy praktycznie sami. O to chodzi?

- Wcale nie - odparła, ale wolała siedzieć sztywno po swojej stronie, wpatrując się w światła miasta.

- Jeśli się nie boisz, to chodź tu do mnie. - Nim zdołała zaprotestować, otoczył ją ramieniem. - Tylko usiądź bliżej. Rozluźnij się. Nic nie może się zdarzyć. Do domu blisko, a na przednim siedzeniu mamy przyzwoitkę.

Posłuchała go, sama nie wiedząc czemu. Może sprawi/o to wino, może współ/na kojfaq'a, a może po prostu była zmęczona. Oparła się o niego i położyła mu głowę na ramieniu. Nigdy nie było jej tak dobrze w niczyich ramionach.

- Mmm. Jak przyjemnie - wymruczał jej do ucha.

- Czasami wystarczy po prostu się przytulić.

- Brakowało mi tego - szepnęła cicho, ledwie zdając sobie sprawę, że wypowiedziała na głos swoje myśli.

- Brakowało ci moich ramion czy po prostu ramion mężczyzny?

Ugryzł się w język, ale, o dziwo, Corinne doszła do wniosku, że w jego słowach nie ma nic złego.

- Ramion mężczyzny, kropka.

- Czy kiedykolwiek miałaś tego dużo?

Pokręciła głową i przytuliła się mocniej. Była przy Coreyu taka mała. Pod jego opiekuńczymi skrzydłami czuła się choć na chwilę zwolniona ze wszystkich obowiązków i odpowiedzialności. Nie można tego porównać nawet do wieczornego pogrążania się we

śnie, ponieważ wówczas była sama. Tak, święta racja, czego tu się obawiać, mają przecież przyzwoitkę. Nic nie może się zdarzyć.

No, może nie całkiem. Poczowała, że Corey całuje lekko jej włosy, potem czoło, i poddała się z rozkoszą tej delikatnej pieszczocie. Uśmiechnąwszy się, położyła dłoń na jego piersi i uniosła głowę.

- Podobno czasami wystarczy po prostu się przytulić - drażniła się z nim.

- Wtedy wystarczyło, teraz nie - powiedział stłumionym głosem. - Pocałuj mnie, Cori. Tylko raz. Proszę cię tylko o jeden mały pocałunek.

Pragnęła tego. Jego oczy lśniły w ciemności ciepłym blaskiem. Światła mijanych latarni padały co jakiś czas na twarz Coreya, ukazując malującą się na niej czułość. Jak zahipnotyzowana dotknęła nieśmiało jego policzka.

- Dobrze - wyszeptała.

Oddał jej całkowicie inicjatywę. Lubiła to, ponieważ miała wówczas wrażenie, że wie, co robi.

Zwróciwszy się bardziej ku niemu, uniosła głowę i musnęła lekkim pocałunkiem jego usta. Ich dotyk był tak uspokajający, że natychmiast zapragnęła więcej. Corey rozchylił wargi, ale nie drgnął nawet, by jej nie spłoszyć. Badała leniwie ich kształt, rozkoszowała się gładkością i podatnością, wreszcie zechciała też poznać ich smak. Przesunęła po nich językiem, następnie odważyła się na głębszą penetrację.

Corey przyciągnął ją mocniej i położył kres tej grze, zamykając dziewczynę w drżącym uścisku ramion.

- Cori - spytał chrapliwym szeptem - czy ty wiesz, co robisz?

- Smakujesz kawą ze śmietanką i cukrem - powiedziała cicho.

- Jesteś zdumiewająca! - Uścisk jego ramion stał się jeszcze silniejszy.

- Nie powinnam była tego robić? Coś nie tak?

- spytała, otwierając szeroko oczy.

- Wręcz przeciwnie - jęknął. - Aż za dobrze.

- Przyłożył jej dłoń do swego bijącego szaleńczo serca. - Czujesz? - Zaczął przesuwac ją niżej, ale po wstrzymał się. Pragnął aż do bólu poczuć na sobie jej palce, wiedział jednak, że nie jest jeszcze na to gotowa, poprawił się więc na siedzeniu i odchrząknął. - Wzniecasz we mnie pożar, Cori. Gdy pozwolisz Sobie...

Nie dokończył zdania. Chciał powiedzieć: „pójść *Za głosem natury*”, *ale nie mógłby zrobić nic gorszego, zważywszy, jak bała się być podobna do rodziców.*

- Żałujesz? - spytał cicho, umieszczając z powrotem dłoń Cori na swoim sercu.

- Nie. - Jak mogła żałować? Prześlizgnęła się przez tunel niewiarygodnej przyjemności i wynurzyła się z niego w jednym kawałku. Co do jego odczuć, ku Swemu zaskoczeniu była dumna, że go tak podnieca.

- Czy zrobisz to jeszcze kiedyś?

- Może.

- Wkrótce?

- Nie wiem.

- Podobało mi się to.

- Mnie też.

- I nie żałujesz?

- Już ci mówiłam. Spytaj o coś innego.

- Wyjdiesz za mnie?

- Spytaj o coś innego.

- Nie zobaczymy się jutro. Od rana mam spotkanie za spotkaniem, a na wyspie muszę być o czwartej.
- To nie było pytanie.
- To był wstęp do pytania, które brzmi: kiedy się zobaczymy?
- Jesteśmy na miejscu - dobiegło mruknięcie z przedniego siedzenia.
- Nie zauważyli, że taksówka się zatrzymała. Corey oprzytomniał pierwszy.
- Przejdźmy się - powiedział, otwierając drzwi.
- Nie możemy - zaprotestowała cicho. - Już prawie północ i jeśli zwolnisz taksówkę, nie uda ci się złapać następnej, a tutaj nie możesz zostać.
- Masz rację. - Pochylił się do kierowcy i polecił mu, by nie wyłączał taksometru. Ujął Corinne pod rękę i ruszył z nią w stronę wiktoriańskiego domu. Zatrzymał się i przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu. - To cała ty - powiedział.
- Sztyny i przyzwoity?
- Tylko pozornie. W środku można znaleźć całe mnóstwo zakamarków i kryjówek. Taki dom jest znacznie ciekawszy od nowoczesnych. Czy zawsze w nim mieszkałaś?
- Tak.
- Musiałaś mieć frajdę, gdy byłaś mała. Pewnie bawiłaś się na strychu, chowałaś w szafach, zjeżdżałaś po poręczy. Na pewno jest w nim poręcz, prawda?
- O tak. Długa, mahoniowa, zagięta u dołu. Ale nigdy po niej nie zjeżdżałam. W domu Elizabeth Strand nikt nie zjeżdżał po poręczy.
- Szkoda. To świetna zabawa. Jaka jest powierzchnia działki?

- Prawie dwa akry. - W świetle księżycy widać było zarówno posiadłość, jak i rękę Corinne, którą zatoczyła szeroki krąg. - Granica biegnie tam daleko, za drzewami.

Gdy okrążyli dom i wyszli na tylne podwórko, Coreyowi wyrwał się okrzyk zachwyty:

- Altanka! Przepiękna! Chodźmy, chcę ją obejrzeć z bliska.

Ruszył biegiem, ciągnąc za sobą śmiejącą się Corinne. Jego entuzjazm był zaraźliwy.

- Strasznie mi się podoba. Świetne miejsce, by wziąć ślub.

- Corey...

- Wiem. Nie po wiedziałas jeszcze „tak”. - Objął ją w pasie i przytulił do siebie. - Ale powiesz. Prędzej czy później powiesz.

- Co sprawia, że jesteś tego taki pewny?

- To, że cię kocham, a ty kochasz mnie.

- Ja cię nie kocham.

- Ale mnie lubisz, prawda? - Nie zaprzeczyła, mówił więc dalej: - Lubienie to początek miłości.

- Nieprawda. To idiotyczne.

- A właśnie, że tak. Czuję to. Tutaj... i tutaj... i jeszcze gdzie indziej. - Przyciągnął ją bliżej, by jej to zademonstrować. Patrząc jej głęboko w oczy, cofał ją i przysuwał do siebie. Najpierw czuła tylko jego silne dłonie na swoich biodrach i muskularne uda. Potem poczuła napór jego męskości.

- To nie miłość, lecz pożądanie - powiedziała, lecz się nie wyrwała.

- Corinne, kocham cię naprawdę. Jesteś inna od wszystkich kobiet, które znałem. Mógłbym spędzić całe życie, próbując rozszyfrować w tobie wszystkie zawilości, a i wtedy prawdopodobnie do końca by mi się nie udało.

- Nie opowiadaj takich *rzeczy*.
 - Ale ja to lubię. Lubię też stać tutaj z tobą, kołysząc się tak jak w tej chwili.

- Corey... - wymruczała, trzymając się kurczowo jego blezera.

- Lubię cię całować. O, właśnie tak... - pochylił głowę i cmoknął ją w policzek - ...i tak. - Pocałował ją w oko.-I tak... - Dotknął językiem jej ucha, a potem wziął cały płatek ucha do ust.

Nagle wydał bulgocący dźwięk, który przeszedł w odgłos dławienia się. Zamachał rękami i osunął się na podłogę z desek u jej stóp.

- Corey! O Boże! - Uklękła, wsuwając mu drżącą dłoń pod głowę. - Co ci jest? - Oczy miał zamknięte, z gardła wciąż wydobywały mu się dziwne dźwięki.

- Co mam robić? O mój Boże... Corey!

Już miała otworzyć na siłę jego usta, żeby nie udławił się językiem, gdy Corey otworzył jedno oko i uśmiechnął się. W zębach trzymał duży okrągły białoniebieski klips.

Przez chwilę Corinne wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. To niesłychane! Stroił sobie z niej żarty!

Z groźnym pomrukiem wyrwała mu klips i cisnęła go gdzieś na oślep, a następnie złapała go oburącz za włosy i zaczęła nim potrząsać.

- Jak mogłeś zrobić coś takiego?! - wykrzyknęła.

- Myślałam, że umierasz! To był idiotyczny dziecinny kawał!

- Przestraszyłaś się?

- Śmiertelnie przeraziłam!

- To dlatego, że mnie kochasz i nie możesz znieść myśli, że coś mi się stało. - Nie tylko nie miał wyrzutów sumienia, ale był z siebie najwyraźniej zadowolony.

- W tej chwili chętnie wyrwałabym deskę z podłogi i przyłożyła ci nią w głowę.

- Gwałtowność od namiętności dzieli tylko jeden krok, a ja uwielbiam namiętne kobiety. - Przekreślił się, unieruchamiając Corinne pod sobą. - Teraz jesteś w mojej mocy.

- Puść mnie, Corey. - Nadaremnie próbowała go zepchnąć z siebie.

- Najpierw mnie pocałuj.

- Pocałowałam cię już przedtem. Pozwól mi wstać.

- Pocałuj mnie jeszcze raz, to rozważę tę możliwość.

- Taksówka czeka.

- Zapłaciłem mu za to.

- Będzie cię to kosztowało majątek.

- *Jestem majątny.*

- Corey... puść... mnie... - powiedziała przerywanym szeptem. Każdy fragment jego szczupłego, sprężystego ciała przylegał do niej szczelnie, Corinne nigdy nie doświadczyła tak intymnego kontaktu z mężczyzną, co więcej, nie był jej nawet potrzebny. A teraz, wbrew swoim słowom, wcale nie miała ochoty się ruszyć.

- Pocałuj mnie. - Oddech Coreya owionął jej wargi.

- *Jesteś brutalem.*

- Wiem. - Nie powiedział nic więcej, lecz pocałował ją tak samo jak ona jego w taksówce. Zadawał jej słodkie tortury, pieszcząc, ssąc, chwytając lekkimi zębami. Corinne wczepiła się znów palcami w jego włosy, nie po to jednak, by nim potrząsnąć, lecz by przyciągnąć go jeszcze bliżej. Corey wspierał się na jednym łokciu, drugą ręką gładził jej policzki, brodę, szyję.

- Jesteś taka piękna - tchnął w jej wargi. Gdy ją znów pocałował, ręka zsunęła się na jej pierś.

Corinne drgnęła gwałtownie, jak porażona prądem.

- Spokojnie - szepnął. - Będę cię tylko dotykał. Chcę, żebyś się przekonała, jakie to przyjemne.

Rzeczywiście, było na tyle przyjemne, że Corinne fiie zdołała zmobilizować swej woli, by go powstrzymać. Gdy objął pierś dłonią i zaczął ją delikatnie masować, miała uczucie, że porywa ją wezbrana fala, a gdy ścisnął lekko palcami sutek, wygięła ciało w łuk. Prąd, który ją znów przeszył, brał tym razem swój początek w jej łonie.

Przerażona intensywnością doznań, wykrzyknęła głośno imię Coreya.

- Cśśś - szepnął. - Wszystko w porządku. To mój sposób wyrażania miłości dla każdego zakątka twoje go ciała.

Ach, te słowa, ton, jakim je wymówił, elektryzujący dotyk włosów w jej palcach, przyciągająca siła jego ciała! Wyszeptała znowu jego imię, czując, że odpina jej bluzkę, nie było to jednak błaganie, żeby przestał, lecz by się pospieszył.

Ciepłe powietrze majowej nocy owionęło jej skórę, w chwilę potem poczuła na niej palce Coreya. Nie przestawał jej całować, oboje oddychali ciężko.

- Jesteś jak jedwab... gładka i piękna... ach, Cori, jakże przyjemnie dotykać cię w ten sposób... - Uniósłszy jej głowę jedną ręką, spojrzał na nią. - Czujesz to? - Druga dłoń wśliznęła się pod koronkę stanika. - Czy wiesz, jaka jesteś cudowna?

- Lubię, gdy mnie dotykasz - wyszeptała. - Pocałuj mnie jeszcze, Corey...

Zamknął jej usta pocałunkiem, od którego zakręciło jej się w głowie, odpinając jednocześnie klamer-

kę stanika. Ręce mu drżały, gdy zsuwał go z jej piersi. Zabrakło jej tchu, gdy jego dłonie dotknęły nagiej skóry.

- Wiem - szepnął. Umościł się w niszy pomiędzy jej udami, które instynktownie rozchyliła. - Kocham cię, malutka... O, Boże... - Pochylił gwałtownie głowę, zamykając usta na piersi Corinne, wodząc językiem po stwardniałej brodawce i ssąc ją.

Corinne nigdy nie wyobrażała sobie, że można odczuwać taką rozkosz, takie podniecenie, taki niedosyt. Jego oddech sprawiał, że ciarki przebiegały po jej obnażonej skórze, ruchliwy język i wargi wysyłały dreszcze w głąb jej ciała. Ale Corinne pragnęła znacznie więcej, boleśnie pragnęła spełnienia, które mógł jej dać tylko Corey.

Jęknęła cicho, podnosząc głowę i próbując zajrzeć mu w twarz.

- Bardzo cię kocham - mówił chrapliwym szeptem - tak bardzo, że nie mogę już... i nie jest to wyłącznie pożądanie... to chęć zjednoczenia się z tobą, stania się częścią ciebie. - Ujął jej twarz w dłonie, jego biodra poruszały się rytmicznie, ocierały o nią. - Czy ty też mnie pragniesz, Cori?

- Pragnę... czegoś...

Dłoń Coreya dotknęła rozpalonego ciała. Cofnął nieco biodra, by umożliwić sobie dostęp do jedwabnych majteczek i zaczął pieścić Cori przez śliski materiał.

Wbiła mu palce w ramiona, głowa opadła jej bezwładnie, zacisnęła powieki, nie mogąc znieść rozkosznego bólu.

- Corey... ja chcę...

- Wiem. - Przyglądał się z zachwytem jej rozchylnym wargom, rysom zmienionym pożądaniem, wsłu-

chując w przyspieszony oddech. Opuściwszy wzrok na jaśniejące w świetle księżycy piersi, pomyślał, że nigdy nie widział nic piękniejszego. - Co za kobieta - stwierdził z nabożnym podziwem - moja kobieta.

Corinne nie przyszło tym razem do głowy, by się z nim kłócić. Była całkowicie skoncentrowana na swoich odczuciach, zostawiając myślenie Coreyowi.

Nagle stało się coś okropnego. Corey cofnął rękę. Jęknęła cicho na znak protestu, ale nie zmieniło to sytuacji.

- Musimy przestać - powiedział zasmuconym tonem - musimy przestać, kochanie.

- Dlaczego? Nie chcę...

- W tej chwili nie chcesz, ale teraz nie myślisz.

- Odsunął się trochę na bok, obrzucając pożegnalnym spojrzeniem jej ciało. - Jutro, gdy rozważysz to na zimno, będziesz miała wyrzuty sumienia. - Ukląkł i zapiął jej stanik. - Będziemy się kochali, malutka, ale wówczas, gdy będzie to z twojej strony świadoma decyzja. Nie chcę, żebyś czegokolwiek żałowała. - Guzik po guziku zapiął jej bluzkę.

Corinne powoli otrząsała się ze zmysłowego odurzenia i zaczął wracać jej rozsądek, ale nie zaprotestowała, gdyby Corey spróbował rozebrać ją znowu. Wiedziała jednak, że podjął nieodwołalną decyzję. Czytała to z jego miny.

Podał jej rękę i pomógł wstać. Objęci, ruszyli w stronę taksówki.

- Już po raz drugi przemówiłeś mi do rozsądku

- powiedziała. Nigdy się nie spodziewała, że to Corey będzie panował nad sobą, i na żaglówce, i teraz. Nie pasowało to do wizerunku, jaki sobie wytworzyła. - Czemu, Corey? Czy to coś we mnie cię wstrzymuje?

Nie zatrzymując się, pochylił głowę i pocałował ją czule w czoło.

- Nie słuchałaś tego, co mówiłem, w przeciwnym razie nie pytałabyś.

- Skoro nie myślałam, to i nie słuchałam. Powiedz jeszcze raz.

- Wszystko z tobą w porządku, jeśli tego się obawiasz. Nie chcę po prostu ryzykować. Sama będziesz wiedziała, gdy sytuacja dojrzeje. Kiedy to się stanie, zapragniesz się kochać, naprawdę tego zapragniesz.

- Ale co cię powstrzymało? Myślałam, żęto ja mam monopol na opanowanie, ale widzę, że się myliłam. To ty panujesz nad sobą, gdy jesteśmy razem.

- I to cię niepokoi? Że ja panuję nad sobą, gdy ty nie możesz? - Roześmiał się ochryple. - Nie martw się, dziecinko, to nie dlatego, że cię nie pragnę. Myślę, że to dało się zauważyć.

- Ale przerwałeś.

- Któreś z nas musiało. Może próbuję ci coś udowodnić. - Spowaźniał nagle. - Może próbuję ci pokazać, że nie jestem takim draniem, za jakiego mnie bierzesz, Cori. Może kiedyś rzeczywiście zasługiwałem na to miano, ale nigdy nie byłem zakochany. Masz rację. Wątpię, czy powstrzymałbym się, gdybym był z inną kobietą, nie w takim momencie. Ale ty jesteś wyjątkowa. Kiedy jestem z tobą, wszystko wygląda inaczej. Chyba w końcu dojrzałem i całkiem dobrze się Z tym czuję.

Podeszli do frontowych drzwi. Choć na piętrze było ciemno, z holu na dole sączyło się światło.

- Masz klucz? - spytał cicho.

Próbując rozeznąć się w jego słowach, szperała w torebce. Gdy wreszcie znalazła klucz, wyjął go z jej ręki i otworzył drzwi.

- Zadzwoń do ciebie jutro między spotkaniami, dobrze?

Skinęła głową, patrząc na niego niezbyt przytomnym wzrokiem.

- Dobranoc, Cori - rzekł z uśmiechem, który zdawał się rozświetlać ciemność.

- Dobranoc - odpowiedziała cicho, nie ruszając się z miejsca.

- Cori?

- Och. - Potrząsnęła głową i przestąpiła próg. Odwróciwszy się, dostrzegła jeszcze uśmiech Coreya. Zamknęła cicho drzwi i oparła się o nie, po czym - pod wpływem nagłego impulsu - otworzyła je ponownie.

Zobaczyła jedynie tylne światła oddalającego się samochodu.

Nie podziękowała mu za kolację.

Co gorsza, ani przez chwilę nie pomyślała o pracy.

ROZDZIAŁ

7

Tej nocy Corinne leżała bezsennie, podsumowując własne życie.

Ma trzydzieści lat, wspaniałą pracę, wspaniały dom i wspaniałych przyjaciół. Ma też babcię, która ją kocha, siostrę, która jej potrzebuje, i rodziców, którzy są jej obojętni.

Za rok będzie miała trzydzieści jeden lat, wspaniałą pracę, wspaniały dom, wspaniałych przyjaciół. Będzie też miała babcię, która ją kocha, siostrę, która jej potrzebuje, i rodziców, którzy są jej obojętni.

A za dziesięć lat? Skończy czterdziestkę, a poza tym niewiele się zmieni. Będzie brakowało czegoś ciepłego i osobistego: męża, dzieci. Chciała założyć rodzinę, ale zawsze było coś ważniejszego. Poza tym zwykła umawiać się z mężczyznami, z którymi czuła się bezpieczna. Żaden z nich nie obudził w niej pragnienia wspólnej przyszłości.

Dopóki nie spotkała Coreya.

Corey w niczym nie przypominał mężczyzn, których znała. Rozśmieszał ją i sprawiał, że nogi się pod nią uginały. Dzięki niemu poznała siebie z zupełnie innej strony.

A jednak to on sprawił, że zaczęła myśleć o mężu i dzieciach. Po raz pierwszy ktoś zrobił na niej wrażenie od pierwszej chwili i straciła zdolność trzeźwej oceny faktów.

Nad czym tu się zastanawiać? Jest uroczy, oddany i świetnie mu się powodzi.

To prawda. Czaruje kelnerów, kelnerki i kierowców taksówek. Bryluje w pracy, i mnie z entuzjazmem zaciągnąłby do łóżka.

To dlatego, że cię kocha.

Tak mówi. Ale czy to nie zabawa?

Gdyby tak było, czy włożyłby w to tyle czasu i wysiłku?

Jestem dla niego wyzwaniem. Gdy już mnie zdobędzie, ucieknie.

Skąd wiesz?

Przyznał, że miał w życiu wiele kobiet.

A wołałabyś, żeby nie miał ich w ogóle? Wtedy uważałabyś, że coś z nim nie w porządku.

Mógłby robić wszystko z... umiarem.

Nie, on wyznaje zasadę wszystko albo nic. Podobałby ci się bardziej, gdyby robił wszystko bez przekonania? Czy chcesz, żeby tak właśnie cię kochał?

W ogóle nie chcę, żeby mnie kochał.

Nie?

Nie.

Było to oczywiste kłamstwo. Leżąc w swej wykrochmalonej białej pościeli i wpatrując się w biały sufit, uświadomiła sobie, że pragnie, by Corey ją kochał. Pragnie, by jego miłość była silniejsza od każdej pokusy. By nie mógł znieść oddalenia. By zaspokajał każde jej marzenie, życzenie, zachciankę przez następne sto lat.

Teraz Corey wierzy, że ją kocha, ale czy będzie to trwałe uczucie? A co z nią? Jeśli odwzajemni jego miłość, na jak długo jej wystarczy? Dzięki Coreyowi przekonała się, że jest nieodrodną córką swych rodziców. Czuła się cudownie w jego ramionach, chciała się z nim kochać, ale co będzie dalej? Zakosztowała zakazanego owocu. Może teraz zachce jej się próbować wciąż czegoś nowego?

Porównała swoje obecne życie do tego, które mogłaby wieść z Coreym. Różnica wyrażała się w kolorach. Teraźniejszość była czarno-biała, spokojna i obojętna, tymczasem przyszłość z Coreym kusiała wszystkimi kolorami tęczy.

Ale może też ją oślepić.

Czy warto zaryzykować?

Nazajutrz Corey nie mógł skupić myśli na żadnej sprawie. Wciąż myślał o Corinne, wspominał chwile, które spędzili razem. Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna potrzebuje trochę czasu, by go lepiej poznać i pokochać. Najlepiej czasu spędzonego wspólnie. Była to najprostsza decyzja, jaką podjął tego dnia. Tuż przed południem, po spotkaniu, na którym z trudem udało mu się wysiedzieć, zadzwonił do niej.

- Cześć, Cori.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, po czym usłyszał głos Cori.

- Pewnie masz przerwę na kawę.

W jej tonie pobrzmiwała zwykła lekka ironia, tym razem jednak z dodatkiem ciepła, którego przedtem nie było, intymności sugerującej, że mają wspólną tajemnicę.

- Jeszcze łyk kawy, a zacznę chodzić po ścianach. Rzeczywiście mam przerwę w spotkaniach. Nie mogę powiedzieć, żebym był szczególnie skuteczny.

Corey? Mało skuteczny?

- Nie wierzę. - Jedno spojrzenie zielonych oczu i ma świat u stóp.

- Możesz uwierzyć. A skoro już mówimy o pracy, to zawiodłem również, jeśli idzie o nasz projekt.

- Wiem.

- Najgorsze, że w tej chwili nic nie mogę na to poradzić. Za chwilę mam spotkanie, połączone z lunchem, a potem spieszę się na samolot. Czemu nie miałabyś przyjechać na weekend?

- Ee...

- Dobrze. Wobec tego w przyszłym tygodniu. Posiedzimy nad projektem. Będiesz mogła wszystko doszlifować, oddam ci do dyspozycji moją sekretarkę. Potem możemy się spotkać z innymi kontrahentami dla uzyskania ostatecznej akceptacji.

- Niezły pomysł - powiedziała cicho. Myśl o powrocie na Hilton Head, choć ekscytująca, sprawiała, że czuła się znów trochę niepewnie.

- Poniedziałek? Wtorek?

- A co powiesz na środę?

- To jeszcze całe pięć dni! - jęknął.

- Potrzebuję trochę czasu - szepnęła, modląc się, by ją zrozumiał.

Zrozumiał, ale trochę go to zaniepokoiło. Chciał zobaczyć się z nią jak najszybciej, żeby nie miała czasu na wątpliwości, nie mógł jednak jej zmusić.

- Dobrze. Środa. Możliwie wcześniej?

- Spróbuję - poddała się.

Corey nie wspomniał nawet, żeby zadzwoniła i powiadomiła go o dokładnej godzinie przylotu, ponieważ wiedział, że będzie jeszcze z nią rozmawiał. Nie było to częścią planu, po prostu pragnął usłyszeć jej głos.

Przez następne cztery dni działał jak w gorączce. W sobotę wysłał jej do domu piękne białe róże, w niedzielę - koszyk świeżo upieczonych bułeczek na śniadanie. Zdołał tylko pomyśleć, że prawdopodobnie róże zobaczy babcia i zachwyci się nimi, może spróbuje świeżutkiej bułeczki. Był pewien, że Corinne nie wspomniała o nim. Elizabeth Strand bez wątpienia spyta wnuczkę, od kogo są te prezenty.

W poniedziałek przesłał jej do pracy wazon o szlachetnym kształcie z jedną żółtą różą, a we wtorek wczesnym rankiem zadzwonił do niej do domu, by zapewnić ją o swej miłości.

- Czy nie dzwonię zbyt wcześnie? - spytał szeptem.

- Skądże - roześmiała się. - Babcia jest w ogrodzie, a ja wybieram się właśnie do pracy.

- Wobec tego cieszę się, że cię złapałem. Chciałem po prostu coś ci powiedzieć, zanim wyjdiesz do biura.

- Czy coś się zdarzyło pomiędzy wczorajszym wieczorem, kiedy do mnie dzwoniłeś, a dzisiaj raniem?

- Nie. Tylko...

- Tak? - spytała, gdy nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

- Tęsknię za tobą.

- Corey, zadzwoniłeś, żeby mi o tym powiedzieć?

- Uhm. Nie powiedziałem ci wczoraj wieczorem.

Poza tym dziś nic ci nie przyślę.

- Całe szczęście. Przysłałeś już i tak za dużo.

- Nie zgadzam się z tobą, ale nie chcę, byś pomyślała, że próbuję kupić twoje serce romantycznymi głupstwami.

Znów nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Tylko Corey potrafił mówić o wszystkim bez ogródek.

- Powinam odpowiedzieć, że nie można mnie kupić, ale muszę przyznać, że byłam wzruszona.

- W takim razie...

- Corey, nie. Żadnych kwiatów, wazonów ani bułeczek. Nic więcej albo naprawdę pomyślę, że masz ukryte zamiary.

- Dobrze, wobec tego powiem ci już tylko, że będę jutro czekał na lotnisku i że cię Kocham.

Corinne odłożyła słuchawkę, a w jej uszach długo jeszcze brzmiały te słowa. Gdy nazajutrz wysiadła z samolotu i zobaczyła Coreya czekającego na płycie lotniska, puls zaczął bić jej jak szalony. Nie mogła zaprzeczyć, że odczuła podniecenie na widok jego wysokiej, szczupłej sylwetki w modnej koszuli i spodniach. Cieszyło ją również, że czekał właśnie na nią.

A jednak targał nią niepokój. Czy on też myślał o tym, co stało się w altance? Czy oczekiwał, że rzuci mu się w ramiona? Nigdy przedtem nie znalazła się w takiej sytuacji i nie była pewna, jak m& się zachować. Z pewnością nie mogła podać mu tylko oficjalnie ręki.

Wciągnęła głęboko powietrze, by dodać sobie odwagi, i ruszyła w jego stronę.

Corey wyszedł jej naprzeciw. Ujął ją za ramiona i uśmiechnął się.

- Od świtu wyczekuję tego cholernego samolotu.

- Wylądował pięć minut przed czasem.

- Według mojego rozkładu spóźnił się o sześć godzin. Cieszę się, że cię widzę, Cori.

- Ja również, Corey.

Ścisnąwszy mocniej jej ramiona, wziął od niej torbę.

- Samochód czeka na zewnątrz. Jest w nim znacznie chłodniej.

Nim wyszli z terminalu, Corey pociągnął ją do kąta i postawił nagle jej torbę. Znalazła się pomiędzy nim a ścianą. Zdezorientowana, spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Jestem ci coś winien - powiedział. - Będę się czuł fatalnie, dopóki nie wyrównam długu.

Patrzyła na niego z zakłopotaniem. Przyciskając ją do ściany, sięgnął do kieszeni i wyciągnął małą czekoladkę, owiniętą w folię.

- Całusek Hersheya - wyjaśnił niepotrzebnie.

Trzymał ją przez chwilę w palcach niczym magik jajko, które ma zniknąć, po czym starannie zdjął folię i włożył czekoladkę do ust.

- To moje! - zaprotestowała Corinne.

Corey delektował się smakiem czekoladki, wywracając w zachwycie oczy.

- Mmm - powiedział wreszcie. - Tobie obiecałem największą. Ta jest twoja.

Dała się zaskoczyć. Nim się obejrzała, poczuła na ustach jego ciepłe czekoladowe wargi. Delikatne i pieśzczotliwe. Słodki ruchliwy język. Nogi się pod nią ugięły.

- No i jak? - spytał szeptem.

- Fantastycznie - odrzekła, chwytając z trudem oddech.

Roześmiał się i podnosząc torbę, przycisnął mocno Cori do swego boku.

- Zamierzałem dać ci ją w samochodzie, ale moje plany spaliły na panewce, w chwili gdy zobaczyłem, jak wysiadasz z samolotu. Powinnaś być mi wdzięczna, że nie urządziłem przedstawienia na płycie lotniska.

- Ależ jestem - przyznała cienkim głosem. Odczuwała dumę, że jest z nim. Być może nie było to

najmądrzejsze z jej strony, ale nie mogła nic na to poradzić.

- A zatem nie przekroczyłem granic?
- Od kiedy się tym zajmujesz? Czy mam ci przypomnieć pewną scenę na korytarzu mojego biura?
- Nie znałem cię wtedy. Gdybym przypuszczał, że czułaś się tak niezręcznie...
- Chciałeś, żebym się tak właśnie czuła.
- No cóż... może odrobinę... Ale byłem strasznie zawiedziony, ponieważ nie chciałaś poświęcić mi nawet chwili.
- Czy robię to teraz? - Przystanęli obok samochodu. Cori obrzuciła go baczny spojrzeniem, próbując zorientować się w jego uczuciach. Powiedział, że ją kocha. Czy to prawda, czy tylko gra?
- Teraz - powiedział cicho - sprawiasz mi ogromną przyjemność samą swoją obecnością tutaj. I na razie na tym poprzestaniemy.

Kilka dni, które spędzili razem, podniosły Corinne na duchu. Corey uśmiechał się do niej często, brał ją za rękę przy każdej okazji, obejmował ramieniem, ale nie powtórzyła się namiętna scena z altanki. Przez cały czas starał się udowodnić, że wystarczy mu sama jej obecność.

W innych sprawach był natomiast bardzo uparty. Gdy przywiózł ją do hotelu, okazało się, że przeznaczył dla niej ten sam luksusowy apartament co za pierwszym razem. Próbowwała protestować.

- Zwyczajny pokój w zupełności mi wystarczy, Corey. Nie trać na mnie pieniędzy.
- To moja sprawa, na co tracę pieniądze.
- Ale...
- Kardynalna zasada numer dwa: Nigdy nie sprzeciwiaj się szefowi.

- To była zasada numer jeden.
- Taka sama jak numer dwa.

Zamieszkała w apartamencie i cieszyła się każdą spędzoną w nim chwilą, choć nie było ich wiele. Corey zabrał ją wieczorem na kolację, potem na występy zespołu ludowego na molo w Harbortown.

W czwartek rano zamknęli się w jego gabinecie i ślęczeli na projektem. Corey zakwestionował może ze dwa punkty, ale miał gotowe propozycje innych rozwiązań.

Gdy przejrzeni całą ankietę, Corinne była gotowa do jej ostatecznego dopracowania. Corey nalegał, by skorzystała z jego gabinetu.

- Przecież jest ci potrzebny - zaprotestowała.
- Wystarczy miejsca dla nas obojga.
- Masz tu tylko jedno biurko. Będę ci przeszkadzała.
- To duży mebel, a ty jesteś filigranowa.
- Corey, naprawdę wystarczy mi mały pokoik albo biurko któreś z sekretarek.
- Zostaniesz tutaj.
- Ale...

- Kardynalna zasada numer trzy: Nigdy nie sprzeciwiaj się szefowi.

- To była zasada numer jeden... i numer dwa.
- A teraz numer trzy. - Popchnął ją na swój skórzany fotel z wysokim oparciem i wsunął jej ołówek do ręki. - Pracuj! - polecił.

Po naniesieniu poprawek Corinne zapoznała się z kardynalną zasadą numer cztery, gdy upierała się, że sama napisze wszystko na maszynie.

W piątek rano spotkali się z innymi kontrahentami, a wieczorem świętowali entuzjastyczne przyjęcie projen

ktu w ustronnym zakątku eleganckiej restauracji. Gdy przysięgała, że nie wypije już ani kropelki szampana, Corey wyciągnął z zanadru zasadę numer pięć. Gdy nie chciała spróbować specjalności szefa kuchni, powołał się na zasadę numer sześć.

Corinne kręciło się lekko w głowie, gdy zgodziła się na spacer po plaży. Corey zdjął buty i skarpetki, podwinął spodnie do kolan, tak jak sobie kiedyś wyobrażała. Sama też zrzuciła pantofelki i trzymając się za ręce, ruszyli brzegiem morza.

Rozmawiali ze sobą niewiele, po prostu szli, ciesząc się swoją obecnością, patrząc, jak księżyc bawi się w kotka i myszkę z obłokami i rozkoszując się pieszczotą fal, laskoczących ich stopy.

Dawno już Corinne nie spała tak spokojnie jak tej nocy. Gdy nadszedł ranek i Corey odwiózł ją na lotnisko, niepokoiło ją tylko uczucie niespełnienia.

Minęły dwa tygodnie, zanim Corinne powróciła na Hilton Head. W tym czasie Corey dzwonił codziennie; często do domu, by wzbudzić ciekawość babci.

Pewnego dnia po takiej rozmowie, gdy Cori odpoczywała w saloniku zatopiona w myślach, Elizabeth usiadła w fotelu obok i wygładziła niewidoczne zgniecenia na aksamitnym szlafroku.

- Przypuszczam, że był to Corey Haraden - powiedziała z miłym uśmiechem.

- Uhm.

- Dzwoni dość często. Opowiedz mi o nim.

Corinne nie miała pojęcia, co powiedzieć. Nic nie wydawało jej się właściwe.

- A co cię interesuje? - spytała cicho.

- Mówiłaś mi już, gdzie mieszka i co robi, no i że jest waszym klientem. Ale nie każdy klient przysyła ci kwiaty, słodycze i dzwoni do domu.

- Masz rację, Corey nie jest zwykłym klientem.

- A kim?

- Bardzo... miłym facetem.

- Podobnym do innych mężczyzn, z którymi się Umawiałaś?

- Nie, babciu, zupełnie ich nie przypomina.

- Miło mi to słyszeć.

- Słucham? - zdumiała się Corinne.

- Byli trochę nudni, nie uważasz?

- Myślałam, że raczej... sympatyczni.

- Raczej sympatyczny to za mało, by małżeństwo było udane.

Przez ułamek sekundy Corinne myślała, że Corey jakimś cudem dotarł do Elizabeth i oczarował ją swoimi sztuczkami.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o małżeństwie.

- Ty i Corey czy ty i ja? - spytała Elizabeth. - Wiem, że tego nie robiłyśmy, i myślę, że najwyższy czas nadrobić zaległości.

Corinne czuła się idiotycznie. Miała w końcu trzydzieści lat. Teoretycznie taka rozmowa z babcią była niepotrzebna, ale zżerała ją ciekawość.

- Co masz na myśli?

- To, że nie musisz przeżyć swego życia samotnie, tylko dlatego, że twoi rodzice zrazili cię do czegoś, co może być piękne.

Corinne nie odzywała się przez kilka minut. Zaskoczyła ją spostrzegawczość Elizabeth.

- Nie patrz tak na mnie, Corinne. Nie trzeba psychologa, żeby cię rozszyfrować. Wychowałam cię. Poza tym jesteśmy do siebie podobne. Widzę twoją

niezadowoloną minę za każdym razem, gdy przyjeżdżają rodzice, słyszę gorycz w głosie, gdy o nich mówisz. Widzę też rumieniec na twojej twarzy, gdy dzwoni Corey i uśmiech, gdy przysyła prezenty. Nie musisz się wstydzić. Cieszę się, gdy cię taką widzę.

- Naprawdę?
- Czemu tak cię to dziwi? Pragnę, żebyś była szczęśliwa.
- Jestem szczęśliwa.
- W bardzo wąskim zakresie, który teraz wyraźnie się rozszerza. Kochasz go?
- Babciu!
- To zasadnicze pytanie.
- Wiem, ale...
- Kochasz go?
- Myślę, że tak - odrzekła Corinne, przyglądając się swoim dłoniom.
- Czemu przyznajesz to tatę niechętnie?
- Nie planowałam tego.
- Nie można zaplanować swego życia w każdym szczególe, Corinne.
- Ale on jest taki inny.
- Pewnie dlatego się w nim zakochałaś. A raczej dlatego nigdy nie czułaś nic do mężczyzn, z którymi się spotykałaś.
- Jest impulsywny. Poza tym wciąż podróżuje.
- Corinne, przestań wreszcie myśleć o swoich rodzicach. Twój dziadek też dużo podróżował.
- Ale w sprawach służbowych.
- A twój Corey nie?
- Ja... przeważnie chyba tak.
- Twój dziadek był wyjątkowym człowiekiem - powiedziała Elizabeth w zamyśleniu. - Może nie zbił wielkiego majątku, ale nie musieliśmy oszczędzać na

jedzeniu i od czasu do czasu mogliśmy sobie pozwolić na drobne luksusy. Twoja matka tego nie doceniała. Chciała wciąż więcej i więcej. Była bardzo młoda. Obawiam się, że do tej pory jeszcze nie dorosła.

- Co czułaś do dziadka? Opowiedz mi.

- Gdy się w sobie zakochaliśmy, również byliśmy młodzi, ale żyliśmy w zupełnie innych czasach. W czasie wojny i po wojnie musieliśmy pokonać wiele trudności. Gdy kupiliśmy ten dom, wydawał się nam pałacem. Byliśmy dumni z siebie nawzajem. Theodore wciąż powtarzał, że nie miałby sił pracować tak ciężko, gdyby nie wiedział, że zawsze czekam na niego w domu. Potrafił pięknie mówić. Nawet gdybym już nie kochała go do szaleństwa, nie potrafiłabym się oprzeć poezji jego słów. Nie słowa jednak były najważniejsze, lecz ukryte w nich uczucie. Theodore niczego nie udawał - kochał mnie równie mocno, jak ja jego.

Corinne miała wielką ochotę spytać o ich życie intymne, stwierdziła jednak, że to nie jej sprawa. Corey miał rację, Cerise nie powstała z powietrza.

- Czy... czułaś się z nim jakoś szczególnie?

- O, tak. - Krótka, ale jakże pełna treści odpowiedź. Po raz pierwszy, odkąd Corinne pamiętała, głos babci zadrżał.

- Ja się tak czuję, gdy jestem z Coreym.

- Tak powinno być. Mężczyzna ma wzbudzać w swojej kobiecie uczucia, jakich nie wzbudza nikt inny.

- Jak zatem wytłumaczysz przypadek moich rodziców?

- Nie potrafię. Może ciągnie ich do innych partnerów, ponieważ nie znajdują zaspokojenia ze sobą?

- Jeśli jednak się kochają...

- Ale każde na swój samolubny sposób. Cerise przede wszystkim kocha siebie. Zaryzykowałabym twierdzenie, że Alex również. W każdym razie nie ma to nic wspólnego z taką miłością jak moja do Theodore'a.

- To znaczy jaką?

- Absolutną. Bezinteresowną. Wieczną. Jak sądzisz, dlaczego nie wyszłam ponownie za mąż? Byłam przecież młoda, gdy Theodore zmarł.

- Och, babciu, tak mi przykro.

- Czemu? Miałam cudownego męża, nawet jeśli tylko przez krótki czas. Czy on ci się oświadczył?

- Corey? - spytała Corinne, mrugając.

- A czy jest jakiś inny mężczyzna, za którego chcesz wyjść za mąż?

- Nie powiedziałam, że chcę wyjść za Coreya.

- Czy poprosił cię o rękę? - ponowiła pytanie Elizabeth.

Przez chwilę Corinne zastanawiała się, czy nie skłamać, odrzuciła jednak ten pomysł, nie chciała bowiem kończyć jeszcze rozmowy. Zależało jej na tym, by spojrzeć na własną sytuację oczyma babci.

- Tak.

- A ty mu odmówiłaś. Cieszę się.

- Cieszysz się? - spytała ze zdumieniem Corinne. Elizabeth najwyraźniej przeczyła sama sobie.

- Decyzji o małżeństwie nie podejmuje się w pośpiechu. Zakładam, że Corey cię kocha.

- Tak mówi.

- A ty wciąż nie jesteś pewna. Mogę spytać dlaczego?

- Możesz - odpowiedziała Corinne, chichocząc nerwowo - ale nie jestem pewna, czy znam odpowiedź na to pytanie.

- Spróbuj ją znaleźć.
- Mówiłam ci o wielu sprawach - powiedziała Corinne po chwili namysłu - ale jest też druga strona medalu. Corey to antyteza mężczyzny, którego bym wybrała. Ma reputację playboya, choć przysięga, że te czasy dawno minęły. Obraca się w świecie biznesu, inwestuje na giełdzie, jak gdyby to była zabawa, choć przysięga, że instynkt go nigdy nie zawiódł. Traktuje życie tak... lekko.
- Czy tak właśnie traktuje ciebie?
- Nie. A przynajmniej nie sędzę. Czy mogę jednak na nim polegać?
- Być może ten lekki stosunek do życia to tylko przykrywka czegoś wręcz przeciwnego?
- A te jego szkła kontaktowe... Zadzwoił do mnie przerażony któregoś ranka, uprzedzając, że się spóźni, ponieważ zgubił jedno...
- Miał prawo się zmartwić. Z tego, co słyszałam, kosztują majątek.
- Są ubezpieczone, ale nie w tym rzecz. Przeszukał łazienkę centymetr po centymetrze po to, by się w końcu zorientować, że soczewka przez cały czas tkwiła na swoim miejscu. To idiotyczne!
- Raczej zabawne - nie zgodziła się z jej opinią babcia.
- Chyba masz rację - uśmiechnęła się nieśmiało Corinne. - On jest czasami tak cudowny, że miałabym ochotę go udusić.
- Wygląda mi na to, że trafił ci się skarb, nie mężczyzna. Pracowity, oddany. Ma swoje wady, ale ma też duszę. No, kochanie, powinnam się położyć. Pójdę już...
- Ale, babciu, nic jeszcze nie postanowiłyśmy! - wykrzyknęła Corinne.

- My? Decyzja należy do ciebie, kochanie, to ty będziesz żyła z tym człowiekiem przez wiele lat, jeśli zdecydujesz się za niego wyjść.

Corinne odprowadziła Elizabeth do schodów.

- Nie możesz teraz pójść sobie, babciu.

- Mogę i muszę. Wiesz, że potrzebuję dużo snu, a ty masz wiele do przemyślenia.

- Ale Corey mieszka w Południowej Karolinie. Jeśli za niego wyjdę, będę musiała się przeprowadzić. - Sądziła, że ten argument zrobi na babci wrażenie, ale się przeliczyła.

- Są samoloty - odpowiedziała Elizabeth, schodząc po schodach. - Jeśli Corey zamierza kupić hotel w Baltimore, będziesz tu częstym gościem.

- Nie będziesz za mną tęskniła?

- Oczywiście, że będę, Corinne. - Enza&etn przystanęła i uśmiechnęła się ciepło do wnuczki. - Aje nie jestem przecież wieczna. Pragnę, żebyś miała to co ja niegdyś - męża, który cię uwielbia. Tęsknota tt> naprawdę niewysoka cena za twoje szczęście. Dobranoc, kochanie.

Gdy Corinne powróciła na Hilton Head w połowie czerwca, przywiozła ze sobą ankietę - wydrukowaną i gotową do rozprawienia. Powzięła też silne postanowienie, że spędzi jak najwięcej czasu z Corcyem. Wmawiała sobie, że po prostu musi go lepiej poznać, skoro ma podjąć rozsądną decyzję, dotyczącą przyszłości. Prawda była jednak taka, że w jego towarzystwie czuła się wspaniale.

Wiele dała jej rozmowa z babcią. Corinne zakładała, że Elizabeth podejdzie równie konserwatywnie do wyboru odpowiedniego męża dla wnuczki, jak

do spraw związanych z życiem codziennym. Pomyliła się jednak. Babcia miała do niej zaufanie. Nie obawiała się ani trochę, że Corinne pójdzie w ślady matki. Wręcz przeciwnie, bała się, by nie ominęło jej coś bardzo ważnego.

Jeśli postawiła sobie za cel spędzanie czasu z Coreym, to trzeba przyznać, że on przystał na to z największą radością. Gdy ankiety zostały rozprawdzone, nastąpił okres oczekiwania, podczas którego Corey postanowił dostarczyć Corinne możliwie wielu rozmaitych rozrywek. Z większości obowiązków postarał się wywiązać przed jej przyjazdem, a jeśli musiał załatwiać coś na bieżąco, wciągał ją w swoje sprawy.

Chodzili razem po zakupy. Corinne zadziwiła sama siebie, kupując mnóstwo ubrań typu sportowego. Odkryła, że noszenie ich sprawia jej przyjemność. Jedno popołudnie poświęcili na zwiedzanie Savannah. Łowili ryby w słodkowodnym jeziorze w Sea Pines, obserwowali ptaki na lagunach. Żeglowali i opalali się na plaży. I tańczyli. Każdego wieczora chodzili na całonocne dansingi i Corinne zastanawiała się, jak mogła się czegokolwiek obawiać. W ramionach Coreya czuła się absolutnie bezpieczna, jedynym problemem było nasilające się wewnętrzne napięcie psychiczne.

Marzenia senne te na jawie, po obudzeniu, wskazywały, że powoli zaczęła akceptować swoją zmysłowość. Przestały jej wystarczać pocałunki Coreya, on zaś zachowywał się tak, że dawniej byłaby z tego zadowolona, teraz natomiast pragnęła czegoś więcej. Nie umiała o to poprosić, cierpiała więc w milczeniu.

Ale nie tylko ona. Choć starał się tego nie okazywać, Corey z trudem panował nad sobą. Przebywanie z Corinne było dla niego niebem i piekłem jednocześnie.

Napięcie nieco zmalowało, gdy zaczęły napływać wypełnione ankiety. Corinne musiała przeprowadzić mnóstwo rozmów z respondentami, zostało jej więc mniej czasu na spotkania z Coreym. Z drugiej strony jednak, widując się rzadziej, jeszcze bardziej się pragnęli.

Corey podziwiał swoją silną wolę, za którą kryła się miłość. Wiedziony uczuciem, zarezerwował apartament w Atlancie na pierwszy weekend lipca. Był przygotowany na kłótnię z Corinne, a tu spotkała go przyjemna niespodzianka.

- Atlanta? - uśmiechnęła się radośnie. - Nigdy nie byłam w Atlancie.

- Wobec tego trafia ci się świetna okazja. - Nie mógł uwierzyć, że nie podskoczyła na dźwięk słowa „apartament”, nie zasznurowała warg, nie obrzuciła go druzgocącym spojrzeniem.

- Naprawdę nie powinnam... Tyle mam pracy.

A może nie dosłyszała wzmianki o apartamencie. Osobne, lecz połączone pokoje. Będą blisko siebie. Bardzo blisko. Gdyby zechciała, wiele się może zdarzyć.

- Pracowałam przez dziewięć dni na okrągło. Zaszłyś na wypoczynek.

- Może powinnam polecieć do Baltimore, by sprawdzić, jak się tam sprawy mają - powiedziała zaczepnie, ale w oczach tańczyły jej wesołe ogniki.

- Może powinnaś - podjął grę.

- Ale chcę zobaczyć Atlantę.

- Wobec tego musisz pojechać ze mną.

Gdy zmarszczyła brwi, przygotował się na zdecydowaną odmowę. Osłupiał, słysząc jej słowa.

- Zastanawiam się, czy mam odpowiednie ciuszki. Chyba uda mi się kupić coś szykownego w Atlancie.

Corinne była podekscytowana. Upewniła się, że kocha Coreya, że jej miłość jeszcze się umocniła. Życie w Baltimore wydawało jej się oddalone o całe lata świetlne i nie tęskniła za nim.

Corey był wspaniałym kompanem. Nabierała coraz większej pewności, że Elizabeth ma rację. Łączył w sobie pozornie przeciwstawne cechy: poważny, a zarazem niefrasobliwy, pracowity, lecz lubiący zabawę. Dzięki niemu czas upływał jej błyskawicznie i wesoło. Wyglądało na to, że rzeczywiście kochają, rezygnując nawet z zaspokojenia seksualnego.

Zdawała sobie sprawę, że tego pragnie. Gdy całowali się i tulili do siebie, czuła jego podniecenie, słyszała przyspieszony oddech. Kochała go jeszcze bardziej za tę powściągliwość, mimo iż jej własna została wystawiona na nie lada próbę.

Prawdę mówiąc, bez względu na to, co się stanie w Atlancie, wciąż będzie miała wątpliwości. Ale ten wyjazd jest konieczny. Wątpliwości uda jej się rozproszyc wyłącznie wtedy, gdy zdecyduje się pójść do łóżka z Coreym.

ROZDZIAŁ

8

Podjęcie świadomej decyzji to jedno, a wcielenie jej w życie to całkiem co innego. Corinne wybrała się do apteki, postanawiając, że nie wolno jej zachować się nieodpowiedzialnie, nie pamiętając o zabezpieczeniu przed ciążą.

Nigdy nie widziała siebie w roli uwodzicielki, ale bardzo pragnęła kochać się z Coreym. Jak mu to dać do zrozumienia?

Nie potrafiła nic wymyślić. W rezultacie, im bliżej byli Atlanty, tym większy ogarniał ją niepokój i zdenerwowanie.

Corey zdawał sobie sprawę, że coś się z nią dzieje. Unikała jego wzroku, siedziała, ściskając w dłoniach pasek torebki, w zamyśleniu przerzucała kartki foldera linii lotniczych. Doszedł do wniosku, że znów dręczą ją wątpliwości, czy powinni zajmować wspólny apartament, i przygotował się na dalsze ćwiczenie silnej woli.

Najwyraźniej była skrepowana, gdy już znaleźli się w hotelu i boy zaprowadził ich do apartamentu. Gdy zostali sami, zaczęła krążyć nerwowo po pokoju, w jej głosie brzmiało napięcie. Podeszła do okna, patrząc

w zamyśleniu na Peachtree Center. Corey również stanął przy oknie, zachowując jednak odpowiedni dystans. Jego głos brzmiał spokojnie:

- Wszystko w porządku?
- Dziękuję, apartament jest prześliczny.
- Pytam, czy dobrze się czujesz?
- Nigdy nie czułam się lepiej.
- Czy coś cię niepokoi?
- Ależ skąd, nie.
- Żałujesz, że tu przyjechałaś?
- Oczywiście, że nie. Skąd ten pomysł?
- Jesteś spięta. O czym myślisz?
- Ładny widok.
- Powiedz, o czym myślisz naprawdę?
- Właśnie o tym.
- Popatrz mi w oczy i powtórz to.

Corinne zawahała się, po czym odwróciła się powoli.

Serce w nim zamarło. Na jej twarzy malował się smutek, wyrzuty sumienia, zakłopotanie. Alan ostrzegał go. Trzydziestoletnia dziewica jest nią z jakichś powodów. Corey w swym zadufaniu sądził, że uda mu się przewyciężyć wszystkie przeszkody. Teraz jego pewność siebie zniknęła.

- Posłuchaj, Cori - powiedział szybko, przerażony myślą, że mógłby ją utracić. - Nie ma się czym denerwować. Zarezerwowałem apartament, ale to nie znaczy, że musimy spać razem. Są w nim dwie sypialnie. Nic się nie zdarzy, jeśli nie będziesz sama tego chciała.

- Ale...
- Możemy pójść na lunch, zwiedzić miasto, zrobić zakupy, obejrzeć film lub przedstawienie. Co tylko zechcesz.
- Z chęcią, ale...

- Może jesteś zmęczona. Odpocznij" sobie, a ja nie zbliżę się nawet do twego pokoju.

- Corey, ja...

- Kocham cię, Corinne - powiedział cicho, głaszcząc ją po policzku. - Pragnę, żebyś była szczęśliwa. Jestem gotów czekać tak długo, aż upewnisz się co do swoich uczuć.

- Już się upewniłam.

- Naprawdę? - spytał napiętym głosem. - Chcesz, żebym zniknął z twojego życia?

Pokręciła przecząco głową.

- Co zatem?

- Kocham cię.

- Ty... naprawdę?

Skinęła głową.

- Naprawdę mnie kochasz? - spytał, bojąc się uwierzyć.

- Bardzo.

Corey wydał głośny okrzyk radości i położył pieszczotliwie dłoń na jej karku.

- O co więc chodzi? Możemy wybrać się do miasta...

- Nie chcę wychodzić. Chcę zostać tutaj. Z tobą.

Mówiła tak cicho i spokojnie, że Corey owi mógłby umknąć sens tych słów, gdyby nie rumieniec na policzkach Cori, płytki, przyspieszony oddech, falujące piersi. Czuł się, jak gdyby dostał obuchem w głowę.

- Przepraszam - dodała Cori, nim wróciła mu przytomność umysłu. - Nie wiedziałam, jak ci to powie-dzieć. Nie mam doświadczenia...

- Nie mogłaś ująć tego lepiej...

Corinne zajrzała mu w oczy, szukając w nich namięt-ności, znalazła jednak tylko zdumienie. Odsunęła się od niego i ukryła twarz w dłoniach.

- Nie powinnam tego mówić ani oczekiwać, że pozwolisz się zapalać i gasić niczym światło.

- Z tobą nigdy nie jestem „zgaszony” - powiedział Corey. - Po prostu zaskoczyłaś mnie. Czekałem tak długo, tak bardzo pragnąłem usłyszeć od ciebie te słowa, a ty nagle jednym tchem mówisz, że mnie kochasz i pragniesz...

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj, Corinne... - Przyciągnął ją do siebie. - Tak bardzo cię kocham. Nie chcę, żebyś kiedykolwiek za coś przepraszała.

- Mój czas minął - powiedziała cicho, kryjąc twarz na jego piersi. - Wiem, czego chcę i wszystko przemyślałam, ale jest już za późno.

- Nie dla mnie. - Wystarczył cytrynowy zapach jej włosów, nie mówiąc o dotyku filigranowego, harmonijnie zbudowanego ciała. - Pragnę cię, Cori. Zawsze pragnąłem i będę pragnął.

- To właśnie chciałam wiedzieć - usłyszał jej zduszony szept.

- Czy nie mówiłem ci tego wiele razy?

- Słowa to za mało. Muszę wiedzieć.

Było w jej głosie coś, co zaintrygowało Coreya. Odsunął ją i zajął jej w twarz.

- Co mianowicie musisz wiedzieć?

- Że potem będziesz wciąż mnie pragnął.

- Oczywiście, ja...

- I że ja będę pragnęła ciebie.

Corey doznał olśnienia. Myślała o rodzicach, którym nie wystarczał jeden partner.

- Nie martw się, nie jesteś do nich podobna.

- Ale ja muszę wiedzieć! - wykrzyknęła. - Nie rozumiesz?! Nie mogę związać się z tobą, nie mając tej pewności. To nie byłoby uczciwe.

- Ja nie mam wątpliwości - rzekł z przekonaniem.
- A więc udowodnij mi to. Proszę cię, Corey.

Z niskim pomrukiem długo tłumionego pożądania, pochylił głowę i zamknął jej usta pocałunkiem, który świadczył dobitniej o jego miłości i namiętności niż słowa. Gdy się od niej oderwał, oboje nie mogli złapać tchu.

- Możemy wyskoczyć do miasta, a potem wrócić tutaj.

Pokręciła przecząco głową.

- Zamówimy butelkę szampana albo coś innego?
- Nie - szepnęła. - Chcę zrobić to teraz.
- Jesteś pewna? Naprawdę pewna, kochanie?
- Naprawdę.

Tuląc ją do swego boku, zaprowadził do większej sypialni. Czuł, że Corinne przebiegają nerwowe dreszcze.

- Boisz się?
- Troszeczkę.
- Ja też.
- Ale ty już przedtem to robiłeś.
- Nigdy z kobietą, którą kocham.

Stanęli obok łóżka. Corey puścił Corinne, pozwalając, by odchyliła koc.

- Ale ja nie robiłam tego nigdy z nikim.
- Wiem -- powiedział, uśmiechając się łagodnie i ujmując jej dłonie. - Między innymi dlatego jesteś taka inna, wyjątkowa.
- Nie będę wiedziała, co robić.
- Nie obawiaj się, będę ci wyjaśniał wszystko, co się dzieje. Dobrze?

Skinęła głową.

- Czy mam zasunąć zasłony?
- Nie. Chcę widzieć.
- Dobrze - odpowiedział szeptem i delikatnie zmusił ją, by usiadła obok niego na łóżku. Ujmując

twarz Corinne w dłonie, zaczął ją znów całować, najpierw łagodnie, potem coraz namiętniej. To wystarczyło, by cały sprężył się w oczekiwaniu na to, co miało nastąpić. Wyobraził sobie ich nagie ciała, splecione w miłosnym uścisku, co podziało na niego tak podniecająco, że zmusił się do myślenia o czymś obojętnym.

Nie przestając ani na chwilę jej całować, zaczął rozpinać drżącymi palcami koszulę.

- Dotknij mnie, Cori - poprosił. - Tak długo czekałem, by poczuć na sobie twoje dłonie.

Corinne, która całkowicie zatraciła się w pocałunku, podniosła leniwie powieki. Miała przed sobą jego muskularny opalony tors, porośnięty gęstymi włosami. Widywała Coreya bez koszuli na plaży, ale teraz sytuacja była zupełnie inna, bardziej intymna. Mogła go dotykać, czego wówczas nie robiła. Zacerpnawszy tchu, dotknęła najpierw czubkami palców jego piersi, następnie zaczęła ją gładzić. Pod niewinnym dotykiem jej palców brodawki zrobiły się twarde jak kamyczki. Corey zamknął oczy, czując, jak zalewa go fala rozkoszy. Przygryzł wargę, starając się opanować.

- Ach, Cori... jak przyjemnie.

Corinne była tak pochłonięta tym, co robi, że ledwie dosłyszała jego słowa. Jej ręce poczynały sobie nieco odważniej, zsunęła mu z ramion koszulę i dotykała wypukłych mięśni.

- Jesteś pięknie zbudowany - szepnęła. Słowa wydały jej się tak niewspółmierne do zachwyty, który odczuwała, że pochyliła się, składając pocałunek na piersi Coreya. Jej wilgotne wargi sunęły coraz zachłanniej po nagiej skórze.

Corey zanurzył palce w jej włosach i powiedział zdławionym głosem:

- Cori, o Boże, Cori... pragnę więcej... więcej...
- Podniósł jej głowę i przylgnął ustami do jej warg w namiętym, wymownym pocałunku. Jego zielone oczy przesłaniała mgiełka pożądania. - Dotykaj mnie jeszcze... niżej.

Corinne miała wrażenie, że śni na jawie. Piżmowy zapach wody kolońskiej Coreya działał na nią jak narkotyk. Coś mówił, o coś ją prosił. Spróbowała pozbierać myśli.

- Trudno mi się... skoncentrować... tak miło cię dotykać. A ja chcę wiedzieć, jak na ciebie działałam.

- Jesteś pewna?

- Tak.

Posadził ją sobie na kolanach i wtulił twarz w jej szyję.

- Teraz dotykaj.

Nie trzeba było jej namawiać, zabrała się do tego z największą ochotą, pozbywając się jednak najpierw koszuli Coreya. Chciała mieć dostęp nie tylko do jego klatki piersiowej, lecz również ramion i pleców.

Koszula frunęła na łóżko. Corinne zaczęła głaskać pieszczotliwie plecy Coreya, znowu klatkę piersiową, a po chwili jej ręce powędrowały niżej. Odkrywała po raz pierwszy ciało mężczyzny. Wreszcie wsunęła dłoń w wąską szczelinę, która powstała pomiędzy paskiem od spodni a ciałem Coreya. Wstrzymał oddech.

- Co czujesz? - spytała szeptem.

- Płonę! - Zniżył głowę i chwycił lekko zębami jej sutek.

Corinne nie dała się całkowicie ponieść namiętności. Analizowała ją, próbując zrozumieć, na czym polega jej siła. Opuściła rękę niżej, wyczuwając przez materiał twardą wypukłość, dotykając jej coraz mocniej.

Coreyowi wydarł się z ust cichy jęk.

- Sprawiałam ci ból - przestraszyła się Corinne.

Roześmiał się z zakłopotaniem.

- Nie, nie, wręcz przeciwnie. Zrób to jeszcze raz.

Przytuliła się policzkiem do jego gęstych włosów, tymczasem jej ręka poczyniała sobie coraz śmielej. Namiętność rosła w nich, ciała obojga pulsowały, domagając się zaspokojenia. Próbowwała znaleźć w tym coś niewłaściwego, ale przychodziło jej na myśl tylko jedno - takie pieszczoty przestały im wystarczać.

- Pozbadźmy się tego - powiedział Corey, który bez zbędnych analiz doszedł do tego samego wniosku, i ściągnął jej tunikę przez głowę. Pochwycił wargami stanik bez ramiączek i zsunął go, odsłaniając jej zaróżowioną pierś. Westchnął głęboko i przytulił do niej usta, zwilżając językiem sutek.

Corinne krzyknęła głośno, zaciskając bezwiednie nogi. Nie wiedziała, co się z nią dzieje.

- Chcę cię zobaczyć naga - wyszeptał Corey. Posadził ją z powrotem na łóżku, odpiął jej stanik i odrzucił na bok, napawając się widokiem jej piersi, zanim zsunął jej z nóg rajstopy oraz majteczki.

Gdy nie miała na sobie już nic poza blaskiem południowego słońca, przyklęknął na łóżku, sunąc wzrokiem po jej ciele od czubków palców, przez nogi, trójkąt ciemnych włosów, płaski brzuch, kształtne piersi, by zatrzymać go na jej twarzy. Nie będąc w stanie wykrztusić słowa, pokręcił z podziwem głową i przytulił Cori z całej siły do siebie.

- O czym myślisz? - spytała cicho.

- Myślę... - odezwał się po dłuższej chwili - że nigdy nie widziałem czegoś... tak pięknego i że pragnę, żebyś... byłamoja... pragnę tego bardziej niż czegokolwiek w życiu.

Corinne uśmiechnęła się, chowając twarz na jego piersi. Nie miał pojęcia, ile wysiłku kosztowały ją, nie oględziny i jego słowa były dla niej hojną nagrodą.

- Wstydzisz się? - spytał, czytając w jej myślach.

- Trochę. I jestem bardzo dumna. Z jednej strony najchętniej schowałabym się pod prześcieradłem, z drugiej chciałam, żebyś mnie zobaczył. Chcę, żebyś mnie oglądał, dotykał... Chcę dotykać ciebie. - Sięgnęła do suwaka jego spodni.

- O Boże - mruknął. Ułożywszy Corinne na łóżku, zaczął mocować się ze spodniami, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. Gdy już był całkiem nagi, położył się szybko obok niej. - Nie chcę cię przestraszyć.

- Nie boję się - odpowiedziała, zdając sobie sprawę, że to prawda. Pożądanie zagłuszyło wszelkie obawy. Pożądanie, podziw i zachwyt. Nigdy nie widziała takiego piękna zakłętego w męskim ciele. Wspierała się na łokciu. Teraz ona przyglądała się Coreyowi bez słowa.

On jednak nie wytrzymał tej lustracji z tak stoickim spokojem jak Corinne.

- Mam zamiar znowu cię pocałować - powiedział, pamiętając o obietnicy danej Corinne. - I będę cię dotykał, tym razem nie tylko rękami, lecz całym ciałem. - Przytulił się do niej, ocierając, rozpalając w niej i w sobie coraz większą namiętność. Jego ręce wędrowały po całym jej ciele, znajdując najwrażliwsze punkty.

Corinne próbowała nie przegapić niczego, ale wrażeń było zbyt dużo. Gdy Corey dotknął wreszcie miejsca, które najbardziej domagało się zaspokojenia, wyprężyła się, napierając na palce, które otwierały ją, penetrowały jej ciepłe, wilgotne wnętrze.

Prysnęły resztki opanowania, oboje pragnęli już tylko stać się jednością. Corey nasunął się na nią i splótł palce z jej palcami.

- Spójrz na mnie - szepnął i zaczekał, dopóki nie otworzyła oczu. Znalazł w nich odbicie tego samego żaru, który trawił jego. - Teraz będziemy się kochać. Muszę znaleźć się w tobie. Może cię najpierw zboleć, ale postaram się zrobić to szybko. Dobrze?

Kocham cię. Nie wypowiedziała tych słów na głos, Corey odczytał je z ruchu jej warg. Powtarzając je, zagłębił się w niej jednym silnym ruchem.

Oboje krzyknęli głośno, ale ból był niczym w porównaniu z radością zjednoczenia. Poruszał się w niej delikatnie, powoli, a gdy westchnęła, uniósł jej kolana i wsunął się w nią głębiej.

Słowa nie były im więcej potrzebne. Porwał ich wir przejmujących doznań i uczuć. Namiętność była miłością, a miłość to Corey. Instynkt stanowił pierwotną siłę, która połączyła te trzy elementy w jedną całość.

Płomień strzelał coraz jaśniej, aż wreszcie rozsypał się milionem kolorowych fajerwerków.

Później Corey przekręcił się na bok, zamykając Cori w bezpiecznej przystaai swych ramion. Wciąż drżącą ręką odgarnął jej wilgotne włosy z czoła.

- Zostałem zaczarowany - powiedział cicho, uśmiechając się do niej, gdy otworzyła oczy.

- To dobrze czy źle?

- I dobrze, i źle. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej na widok marsa na twarzy Corinne. Przesunął palcem po zmarszczkach, ale wygładziły je dopiero słowa. - Dobrze, bo nigdy nie byłem taki... wzruszony. Źle, ponieważ załatwiłaś mnie na szaro. Tylko ty będziesz umiała mnie zaspokoić.

- Mam nadzieję.

Jestem pewien.

Uśmiech czaił się w kącikach jej ust.

- Gdy sobie pomyślę, co straciliśmy... Mogliśmy kochać się w altance albo na łodzi...

- Nie, to nie byłoby to samo. Wtedy nie wiedziałaś jeszcze, że mnie kochasz. To jest powód, dla którego było nam dziś tak cudownie.

Wciąż się uśmiechając, Corinne zamknęła oczy, odetchnęła głęboko i przytuliła się ciasno do Coreya.

- Bardzo cię Kocham - powiedziała, nie zastana wiając się nad przyszłością. Teraźniejszość była zbyt piękna, by zatruwać ją obawami.

Corey był szczęśliwy. Tylko jedna rzecz mogła uczynić to szczęście wręcz doskonałym - gdyby Corinne zgodziła się wyjść za niego. Nie chciał jednak w tej chwili wspominać o małżeństwie. W głębi duszy czuł, że Cori potrzebuje jeszcze trochę czasu. Przygar-
nął ją bliżej, pocierając brodą o czubek jej głowy.

- Podobają mi się twoje włosy. Nie ukrywasz się za lokami.

- Nic z tego. Moje włosy są proste jak druty.

- Podobają mi się właśnie takie. Ładnie pachną. Ten cytrynowy zapach mnie podnieca.

- I co jeszcze?

- Drobne kobietki o szczupłych nogach, pełnych pier-
siach i zgrabnych tyłeczkach. Odwróć się. Chcę zobaczyć.

- Nie mogę się ruszyć.

- Wobec tego sam sprawdzę. - Przesunął dłonią po jej pośladkach.

Zadrzała. Nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że ma aż tyle stref erogennych. Czy sprawiał to dotyk dłoni Coreya? A może zapach jego ciała? Czy też silne ramiona, dające poczucie bez-
pieczeństwa?

168 ♦ PRZECIWIENSTWA SIE PRZYCIAGAJA...

- Corey?

Odechrząknął, ale to nie pomogło, jego głos wciąż jeszcze brzmiał chrapliwie.

- Tak, to te krągłe pośladki. To one tak mnie rajcuja.

- Mnie również.

- Moje nie są takie okrągłe.

- Nie? - Otaksowała je spojrzeniem. -Masz rację, ale i tak mnie podniecają.

Ich wargi spotkały się w czułym pocałunku.

- Powinniśmy chyba wstać - powiedział cicho.

- Niiieeee. Jeszcze nie.

- Jeśli tu zostaniemy, historia się powtórzy.

- Dobrze.

- Nie. Będzie cię bolało.

- Nic mnie nie boli.

- Myślę, że pan doktor zaordynowałby ciepłą, przyjemną kąpiel - rzekł, siadając na łóżku.

Próbowała pociągnąć go z powrotem, ale jego ciało było nieustępliwe niczym skała.

- Nie chcę się teraz kąpać.

- Wezmę kąpiel z tobą.

Ten pomysł wyraźnie przypadł do gustu Corinne.

- Naprawdę.

Wziął ją na ręce i zaniósł do łazienki.

- Myślałaś, że pozwolę ci odejść tak szybko? Weźmiemy kąpiel, ubierzemy się i pójdziemy pohulać.

- A potem będziemy się kochać?

- Jeśli zechcesz.

- Chcę teraz.

- Corinne - powiedział, stawiając ją na posadzce obok ogromnej wanny - wiem, co będzie dla ciebie najlepsze. Nie kłóć się ze mną. Bardzo cię pragnę, ale kąpiel naprawdę dobrze ci zrobi. Potem pospacerujemy sobie, zjemy lunch, może pójdziemy po zakupy.

Chcę zobaczyć, jak wyglądasz w ubraniu i cieszyć się, że jestem jedynym mężczyzną, który wie, co znajduje się pod nim.

- A jesteś? - spytała, uśmiechając się.

- Tak. - Pochylił się i odkręcił wodę.

Corinne przesunęła dłonią po jego gładkich mięśniowych plecach. Zatrzymała dłoń na małym znamieniu powyżej pasa.

Corey wyprostował się i popatrzył na nią uważnie, po czym wziął ją na ręce, wszedł do wanny i ukląkł, opasując się w biodrach jej nogami.

- Jesteś niemożliwa - powiedział, całując ją na miętnie.

Czuła, że jego ciało znów jest napięte, gotowe do miłości. Zaczaj pieścić ją delikatnie w ciepłej wodzie, która działała kojąco, po czym ująwszy ją za pośladki, przyciągnął ją mocno *da przodu*. *Ku swemu zdziwieniu* wsunął się w nią bez najmniejszego trudu. Poruszał się rytmicznie, prowadząc ją ku spełnieniu. Nie zapomniał o zakręceniu kranu, choć Corinne prawdopodobnie nawet nie zauważyłaby, że tonie. To, co niegdyś uważała za niemożliwe, stało się czymś naturalnym i cudownym.

Jeszcze niedawno była pewna, że nie potrafiłaby otworzyć się przed mężczyzną ani obdarzyć go głęboką miłością. To Corey udowodnił jej, że się myliła. Pozostało mu tylko przekonać ją, że to, co się wydobyło, było możliwe wyłącznie pomiędzy nimi.

Corey nie miał pojęcia, że gdy przechadzali się późnym popołudniem ulicami Atlanty, Corinne wypatrywała mężczyzn. Obrzuciła taksującym wzrokiem przystojnego ciemnowłosego biznesmena, siedzącego samotnie nad gazetą w restauracji, gdzie postanowili

Zjeść lunch. W księgarni nie spuszczała wzroku z interesującego blondyna o wyglądzie intelektualisty. Kupując w butiku piękną wieczorową suknię, zobaczyła przez okno skapo odzianego długonogiego biegacza.

Żaden z nich nie spowodował przyspieszonego bicia jej serca, nie mówiąc o innych doznaniach, a wystarczyło, że spojrzała w uśmiechniętą twarz Coreya, by zaczynały świerzbic ją palce, taką miała ochotę zanurzyć je w jego gęstych kasztanowatych włosach. Wystarczyło, że rzuciła okiem na jego szczupłą, wysoką postać, a kolana miała jak z waty.

Doszła więc do wniosku, że Corey Haraden jest tak męski, iż nikt nie wytrzymuje z nim konkurencji, i przez resztę weekendu patrzyła już wyłącznie na niego.

Mimo iż zdołali zrealizować wszystkie plany Coreya, Corinne wcale nie była zmęczona. Kochali się po powrocie do hotelu, potem zaś przebrali się i poszli na kolację. Kochali się kilkakrotnie w nocy, kochali po śniadaniu, potem przed spakowaniem rzeczy. Pod wpływem nagłego impulsu rozpakowali rzeczy i postanowili spędzić w Atlancie jeszcze jedną noc i polecieć do Savannah rannym samolotem w poniedziałek.

Gdy wracali samochodem na wyspę, Corey przytulił dłoń Cori do ust.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział. - Wydaje ci się, że po powrocie na wyspę wszystko się zmieni. To nieprawda.

Rzeczywiście tego się obawiała. Wiele by dała, żeby mieć pewność Coreya.

- Te dwa dni były po prostu cudowne. Chciałabym, żeby trwały wiecznie.

- I będą trwały... Oboje mamy mnóstwo pracy, co wcale nie znaczy, że nie możemy spędzać razem Wolnego czasu.

- Czy ty tego chcesz?
- Głupie pytanie!
- Nie brakuje ci chwili wytchnienia?
- Chwilę wytchnienia będę miał każdej nocy z tobą w moim domu.

- Corey...
- Przeniesiesz się do mnie.
- Nie mogę tego zrobić. Nie wypada.
- Nic podobnego. A zresztą nic mnie to nie obchodzi. Chcę, żebyś była ze mną.

- Możesz mnie odwiedzać w apartamencie.
- Chcę, żebyś mieszkała ze mną w domu. Będę cię przywoził i odwoził, zostawię samochód do twojej dyspozycji. Do licha, Cori, pod koniec tygodnia zamierzasz wrócić do Baltimore. Musimy jak najpełniej wykorzystać czas, który nam pozostał.

- Wrócę. Tak zaplanowaliśmy.
- Gdy wrócisz, zatrzymasz się u mnie. Nie mam zamiaru dzielić się tobą.

Jego determinacja sprawiła Corinne wielką radość. Przemknęło jej przez myśl, że może się *to* zmienić za tydzień, miesiąc czy rok... ale to pokaże czas. Po co psuć wspólne chwile.

- Naprawdę uważasz, że powinnam zamieszkać z tobą?

- Tak.
- A co powiedzą inni kontrahenci?
- A na co mają się skarżyć? Przecież praca na tym nie cierpi. Najwyżej będą się cieszyli, że ich sekretarki i asystentki są bezpieczne. No no, nie rób takiej miny. Nie da się zmienić tego, co robiłem, nim cię poznałem.

- Wiem - powiedziała cicho.
- Ani trochę nie żałuję, że tamte czasy minęły.
- Jesteś pewny?

- Corinne, prosiłem cię przecież o rękę. Czy ci to Aie nie mówi? Przestań myśleć o swoich rodzicach. Ja Aie jestem do nich podobny. Nie ożeniłem się do tej pory, ponieważ nie spotkałem odpowiedniej kobiety. Rozumiem, że nie chcesz teraz mówić o małżeństwie, toteż cię nie ponaglam. Nie uśmiecha mi się perspektywa twojego powrotu do Baltimore, ale wiem, że to konieczność. Tam masz pracę, tam mieszka twoja babcia. Gdyby to jednak zależało ode mnie, znalazłabyś się tu w mgnieniu oka z całym dobytkiem. Do diabła, gdyby to zależało ode mnie, ustalilibyśmy w tej chwili datę ślubu!

Muskał lekko wargami jej palce, starając się opanować emocje.

- Proszę cię, żebyś ze mną zamieszkała. - Popatrzył na nią i dodał przymilnym tonem: - Nigdy w życiu nie zaproponowałem tego żadnej kobiecie.

- To prawda? - spytała.

- Najszersza, więc decyduj się szybko.

- Jesteś straszliwym bałaganiarzem. - Była kiedyś w jego domu przed przyjściem Jontelle. Wszędzie leżały porzucane gazety, na bufecie stały brudne szklanki, poczta leżała na stole kuchennym, ubrania wały się w sypialni. To nie do wiary, że jeden człowiek może narobić tyle bałaganu w tak krótkim czasie, zwłaszcza że poprzedniego wieczora był z nią na dansingu.

- Przy tobie się poprawię.

- To chyba niemożliwe. Poza tym sypiasz po lewej stronie łóżka.

- I co z tego?

- Ja też.

- Wczoraj ani przedwczoraj nie spałaś.

- Bo nie miałam siły cię przepchnąć.

- Jeśli się do mnie przeprowadzisz, będę spał po prawej stronie.
- Corey...
- Dość kłótni, Corinne. Powiedziałem, że zamieszkasze ze mną, a kardynałna zasada numaeedeem...
Corinne zatkała mu dłonią usta.
- Chciałam tylko powiedzieć - szepnęła, przysuwając się do niego bliżej - że być może którejś pięknej nocy będziemy się kochać na twoim patio...

Kochali się na patio, w kuchni, w łazience, w gabinecie i, oczywiście, w sypialni. Dawna Corinne byłaby przerażona, nowa zaakceptowała namiętność i wydawała się sprawdzać, czy ma jakieś granice. Zupełnie jednak na to nie wyglądało. Podniecał ją sam widok Coreya. Gdy ją tylko dotknął, płonęła jak zapałka. Inni mężczyźni zupełnie jej nie interesowali.

Pod koniec tygodnia wróciła do Baltimore. Trudno jej było opuścić Coreya, ale nie miała wyjścia. On musiał wyjechać służbowo, na nią zaś czekała praca, poza tym tęskniła się za babcią. Przede wszystkim jednak chciała przekonać się, co się zdarzy, gdy będzie ich dzieliła tak wielka odległość.

Po pierwsze, ogromnie za nim tęskniła. Mieszkanie z babcią wydało jej się nagle podporządkowane zbyt wielu rygorom, stary wiktoriański dom zbyt schludny. Gdy była w pracy, wciąż zerkała na drzwi, czekając, mając nadzieję, że pojawi się w nich Corey.

Oczywiście się nie pojawił, ale za to dzwonił co wieczór, niezależnie od tego, gdzie był, ciekaw, jak spędziła dzień i pragnąc zapewnić ją o swej miłości. Liczyła dni i godziny dzielące ją od powrotu na wyspę, a gdy wreszcie ten moment nadszedł, rzuciła mu

się w ramiona, nie troszcząc się o to, że ktoś mógł ich zobaczyć.

Nie mogła marzyć o gorętszym powitaniu. Cieszył się nią jak wariat. Uśmiechał się bez przerwy, dotykał jej lub po prostu patrzył.

Mijały dni i Corinne zaczęła myśleć, że może rzeczywiście jakoś się wszystko ułoży. Nie widzieli się przez tydzień, każde z nich miało wiele okazji, żeby umawiać się z innymi, ale żadne z tego nie skorzystało. Rozłąka tylko wzmogła ich potrzebę przebywania razem, a związek wydawał się głębszy, jak gdyby rozrosły się jego korzenie, tworząc silniejsze oparcie dla ich miłości.

Corinne potrzebowała czasu i powtarzała to Coreyowi za każdym razem, gdy wspominał o małżeństwie, a robił to, gdy tylko się odważył. O dziwo, Corinne nie miała nic przeciwko temu. Czuła się podle, wciąż mu odmawiając, ale czułaby się jeszcze gorzej, gdyby był zadowolony z ich obecnego układu. Małżeństwo niosło ze sobą poczucie stałości, a tego właśnie pragnęła.

Co się tyczy innych związków rodzinnych, to w połowie ostatniego pobytu na Hilton Head Corinne Otrzymała telefoniczną wiadomość od babci, że Ro*anne zniknęła. Nie miała wyboru, musiała spakować manatki i polecieć pierwszym samolotem na północ.

ROZDZIAŁ 9

Corey uparł się, że poleci z nią do Nowego Jorku.

- Masz tu tyle roboty - zaprotestowała.

- Mogę załatwić sprawy nie cierpiące zwłoki przez telefon - odpowiedział, wrzucając ubrania do torby podróźnej.

- Przecież nawet nie znasz mojej siostry.

- Ale to twoja siostra. Tylko to się liczy.

- Corey, jesteś pewny? Nie znoszę narzucać ci się w ten sposób.

- Owszem, jestem pewny i przecież o nic mnie nie prosiłaś. Sam ci narzuciłem swoje towarzystwo. Jadę!

- Ale...

- Kardynalna zasada numer czternaście...

- Wiem, wiem! - wykrzyknęła głosem o oktawę wyższym niż zwykle, a następnie skrzywiła się, patrząc na jego torbę podróźną. - Cóż za bałagan. Te ubrania nie będą nadawały się do noszenia. - Ułożyła je porządnie, zadowolona, że może zaprzątnąć myśli czymś innym. Denerwowała się z powodu Roxanne i odczuwała ogromną ulgę, że Corey będzie jej towarzyszył.

Gdy już zajęli miejsca w samolocie, wzięła go za rękę.

- Dziękuję ci. Podnosisz mnie na duchu. Mam wyrzuty sumienia. Wypłakiwała mi się w każdym liście. Rozmawiałam z nią przez telefon, a powinnam była do niej pojechać. Za mało dla niej zrobiłam.

- Byłaś bardzo zajęta.

- Ale ona jest moją siostrą.

- Cori, to już dorosła kobieta. Ma męża i dziecko.

Nie możesz być jej niańką.

- Jak ona mogła tak po prostu odejść? - Corinne pokręciła z niedowierzaniem głową. - Dobrze, była wściekła na Franka, ale Jeffrey... Jak mogła go zostawić?

- Czy Frank powiedział, co napisała w liście?

- Że musi się „przewietrzyć”. Trudno mi uwierzyć, że się tak wyraziła. Ten styl kojarzy mi się z matką.

- Myślisz, że Roxanne pojechała się z nią zobaczyć?

- Nie, chyba że zupełnie się załamała. Cerise nigdy nie interesowała się życiem swoich córek. A [a nie mam najmniejszej ochoty do niej dzwonić, zresztą nie wiem, gdzie się teraz obraca.

- Frank z pewnością obdzwonił wszystkich.

- Może, ale wydał mi się naprawdę wstrząśnięty.

Myślę, że po raz pierwszy w życiu krąży po pokoju, nie wiedząc, co począć.

Miała rację. Na ich widok na twarzy Franka odmalowała się ogromna ulga. Obdzwonili wszystkie przyjaciółki Roxanne, ale żadna z nią nie rozmawiała.

Zastanawiali się, czy nie zadzwonić na policję, zrezygnowali jednak, wiedząc, że przypadek żony uciekającej od męża i dziecka nie wzbudziłby ich zainteresowania. Corey ztelefonował do Alexa do Paryża, podając się za starego przyjaciela Roxanne, ale on przekazał mu po prostu adres Franka.

Zastanawiali się wspólnie, gdzie mogła się udać. Zostawiła samochód, niewykluczone więc, że była wciąż na Manhattanie, w jakimś hotelu, pod przybranym nazwiskiem. Równie dobrze jednak mogła

wyjechać z miasta. Postanowili więc wynająć prywatnego detektywa i znowu Corey przejął inicjatywę. Po kilku telefonach do swoich nowojorskich znajomych zdobył nazwisko cieszącego się doskonałą opinią detektywa, który odwiedził ich jeszcze tego samego wieczora. Opowiedzieli mu o Roxanne i jej upodobaniach, Frank dał mu kilka zdjęć żony oraz nazwy banków, w których mogła pobrać pieniądze.

Nim minął rano, detektyw dowiedział się, że Roxanne pobrała niewielką sumę z konta osobistego w dniu, w którym odeszła. Kupiła też bilet na samolot do Chicago.

Przez resztę dnia Corinne, Corey i Frank warowali przy telefonie. Frank przemierzał nerwowo pokój i mówił, mówił... Winił siebie za to, co się stało, przyznając, że nie zauważał potrzeb Roxanne, nie słyszał jej subtelnych wymówek. Gdy Corinne opowiedziała mu o listach, rozstroiło go to jeszcze bardziej. Wyrzucał sobie, że powinien coś zrobić.

Z Jeffreyem radzili sobie z pomocą niani, starając się, żeby jego dzień wyglądał tak jak zwykle. Wy tłumaczyli mu, że mama musiała wyjechać, ale niedługo wróci. Pozostało im tylko modlić się, żeby to była prawda.

Pewnego razu, gdy zostali sami, Corinne przytuliła się do Coreya, mówiąc:

- Zawsze się bałam, że coś takiego się zdarzy. To musi być zakodowane w genach. Na pewno.

Corey otoczył ją ramieniem. Wiedział, jak bardzo jest zdenerwowana. Zrobiłby wszystko, by ją uspokoić.

- Nie w genach, kochanie. W mózgu. Jeśli Roxanne przypomina w jakimś sensie twoich rodziców, to prawdopodobnie dlatego, że sama to sobie wmówiła. Bardzo pragnęła zwrócić na siebie uwagę Franka.

Ponieważ nie udało jej się to zwyczajnie, sięgnęła po jedyny znany jej sposób.

- Uważasz, że zrobiła to świadomie?

- Z tego, co słyszałem o niej od ciebie, to inteligentna kobieta. Być może postanowiła wstrząsnąć Frankiem, ale niewykluczone, że zrobiła po prostu to, na co miała ochotę. - Wzruszył ramionami. - Kto wie?

- Jak myślisz, czego ona szuka?

- Nie mam pojęcia.

- Może kogoś, kto będzie się o nią troszczył. A może seksu?

- Nie sądzę - dobiegł od drzwi głos Franka.

Corinne zrobiło się przykro.

- Przepraszam, Frank. Nie chciałam sugerować...

- Nie szkodzi, Corinne. Masz prawo wysuwać różne przypuszczenia. Ale akurat z tym nie mieliśmy żadnych problemów - powiedział, wcale nie zakłopotany. - Czy Roxanne skarżyła ci się na to w listach?

- Nie.

- Nic dziwnego. W tych sprawach zawsze potrafiliśmy się porozumieć. Gdyby nie to, być może odeszłaby już dawno. - Wyszedł z salonu z wyrazem cierpienia na twarzy.

Corinne milczała przez długą chwilę, po czym odwróciła się do Coreya i przytuliła się do niego z całej siły.

- Cierpienie. Tego właśnie się boję. Frank jest dorosłym człowiekiem. Po pewnym czasie pogodzi się z tym. Ale Jeffrey...

- Ona wróci - rzekł Corey z przekonaniem. - Przyjmuję każdy zakład. W pewnym sensie powinnyście być wdzięczne swoim rodzicom, że was nie wychowywali. Popatrz na to z tej strony. Babcia wpoila wam wartości, które sprowadzą Roxanne z powrotem do domu.

- Mojej matki nie sprowadziły.

- Ale ona była bardzo młoda, a Alex był jej złym duchem. Roxanne nie ma nikogo takiego. Frank jest

człowiekiem zrównoważonym i pragnie jej powrotu. Może ona chciałaby dowiedzieć się, jak bardzo mu na niej zależy. Poza tym mówiłaś mi, że Roxanne uwielbia swojego synka i chce się nim opiekować. Czy pod tym względem przypomina ci matkę?

- Nie. Och, Corey, chciałabym, żebyś się nie mylił. Dla dobra nas wszystkich.

Późnym popołudniem dowiedzieli się od detektywa, że Roxanne poleciała z Chicago do Las Vegas, ale na tym ślad się na razie urywał.

Corinne przez całą noc wierciła się niespokojnie w ramionach Coreya. Las Vegas. Jeśli Roxanne szukała rozrywki, nie mogła wybrać lepszego miejsca.

Nazajutrz, wkrótce po dwunastej w południe spotkała ich nie lada niespodzianka. W drzwiach do mieszkania stanęła Roxanne. Frank podbiegł do niej, chwytając ją w objęcia, tak że nie zdążyła nawet zauważyć siostry i Coreya.

- Przepraszam, Frank - wybuchnęła płaczem. - Tak mi przykro...

- Nie, toja cię przepraszam. Nigdy nie miałem dość czasu, by cię wysłuchać...

- Pomyślałam, że odejdę... zrobię ci na złość, ale zrobiłam na złość sobie... tęskniłam za tobą i Jeffreyem...

- Dzięki Bogu nic ci się nie stało...

- Pojechałam do Las Vegas...

- Wiem. Dręczyły mnie koszmary, że poderwał cię jakiś podejrzany typ...

- Wiedziałeś?

- Wynajęliśmy detektywa.

- My?

Frank odsunął się trochę, by mogła zobaczyć Corinne.

- Cori? - wykrzyknęła Roxanne przez łyzy. - Och, Cori! - Nie chcąc opuścić bezpiecznej przystani ramion

Franka, pociągnęła go z sobą. Uściskała serdecznie Corinne. - Przepraszam. Przyleciałaś aż z Baltimore.

- Nie byłam w Baltimore, ale to nie ma znaczenia. Przyjechałabym skądkolwiek. Dawno powinnam przyjechać.

- Dziękuję - wyszeptała Roxanne, całując siostrę. Zauważyła obok niej jeszcze kogoś. - To musi być Corey. - Wyciągnęła do niego rękę i uściskała go serdecznie. - Cori mówiła mi o tobie w tak wykretny sposób, że domyśliłam się, kim dla niej jesteś. Wspomniała o kolorze twoich włosów, a jeśli moja siostra zwróciła uwagę na włosy mężczyzny... Przepraszam, że ściągnęłam was tutaj...

- Nie bądź niemądra. Myślisz, że przepuściłbym szansę poznania ciebie? Cori nie chce przedstawić mnie babci. Chyba boi się, że wyrządę jej krzywdę.

Roxanne spojrzała na niego z rozbawieniem, ale trwało zaledwie sekundę. Wtuliła się z powrotem w ramiona męża, kryjąc twarz na jego piersi.

Po południu Corinne i Corey wrócili na Hilton Head. W innych okolicznościach spędziliby trochę więcej czasu z Roxanne i Frankiem, wiedzieli jednak, że teraz powinni zostawić ich samych.

Corinne również potrzebowała czasu. Musiała przemyśleć to, co się przytrafiło jej siostrze. Wracając w końcu do tej sprawy, wiedziała bowiem, że wkrótce będzie musiała podjąć decyzję co do własnej przyszłości. Jeszcze dwa tygodnie na Hilton Head i zakończy pracę.

Te dwa tygodnie minęły z przerażającą szybkością, a Corinne wciąż jeszcze nic nie postanowiła. Miała mnóstwo pracy i nie chciała, by cokolwiek zakłóciło chwile spędzane z Coreym.

Zupełnie nie była przygotowana na to, że on sam podjął decyzję. Byli właśnie na lotnisku i czekali na jej lot, gdy Corey przedstawił jej swoją propozycję.

- Bardzo dużo o nas myślałem - powiedział, ujmując jej rękę i bawiąc się małym palcem.

Corinne wiedziała, że dzieje się coś niedobrego. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny bez przerwy dręczyła ją myśl o wyjeździe i nie spodziewała się, żeby z Coreym było inaczej. Serce zaczęło jej walić jak młotem. Gdyby zaproponował jej, żeby przyjechała na wyspę przed kolejną oficjalną wizytą, byłaby zachwycona. Podobnie gdyby zapowiedział swój przylot do Baltimore. Gdyby natomiast jeszcze raz zaproponował jej małżeństwo, nie miałyby pojęcia, co powiedzieć.

- Przyszło mi do głowy - powiedział, cedząc wolno słowa - że powinnaś zostać przez pewien czas w Baltimore.

- Przyjedziesz do mnie? - Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- Nie, nie przyjadę. Musisz mieć trochę czasu dla siebie, przemyśleć pewne sprawy.

- Jesteś mną zmęczony - wybuchnęła Corinne. - Wiedziałam, że tak się stanie. Znowu zaczniesz fruwać.

- Nie! - odburknął, świdrując ją wzrokiem. - Całkowicie się mylisz.

- Ale nie chcesz się ze mną zobaczyć...

- Chcę. Chcę cię widywać codziennie. Przez następne Bóg-wie-ile-lat. Chcę się z tobą ożenić, ale ty wciąż nie jesteś jeszcze gotowa. Mówisz, że mnie kochasz, ale czasami nie jestem tego pewny. Może gdy spojrzysz na nasz związek z dystansu, połapiesz się w swoich uczuciach i upewnisz, czego chcesz.

- Myślę, że małżeństwa...

- „Myślę"... To za mało. Musisz to wiedzieć. I czuć.

- Ale...

- Nie będę się spotykał z innymi kobietami. Nie mam na to najmniejszej ochoty. Jeśli jednak tobie

randka z kim innym miałyby pomóc w podjęciu decyzji, proszę bardzo.

- Nie chcę... - Słowa zagłuszył głos z megafonu, zapowiadający jej lot.

Uściskawszy mocno jej dłoń, Corey wstał i przyciągnął ją do siebie.

- Teraz się z tobą pożegnam. Nie wytrzymam już tego dłużej. - Pocałował ją czule. - Kocham cię - szepnął.

- Corey...

Przyłożył palec do jej warg.

- Znasz zasady. - Złożył ostatni pocałunek na jej czole i oddalił się szybkim krokiem. Nie obejrzał się ani razu. Cori patrzyła za nim długo i tym razem to ona omal nie spóźniła się na samolot.

Podróż była dla niej męczarnią. Kłębiły się w niej różnorodne uczucia: smutek, poczucie straty, zniechęcenie, strach, rozpacz. Gdy jednak wysiadła z samolotu, wrzała w niej wyłącznie czysta, nie udawana wściekłość.

Była czwarta po południu. Po pierwsze, pojechała taksówką do biura razem ze wszystkimi bagażami i wręczyła zdumionemu Alanowi wypowiedzenie. Następnie do domu, aby poinformować babcię, że wyjeżdża z miasta. Nie otwierając nawet walizek, wrzuciła je do następnej taksówki i wróciła na lotnisko, gdzie udało jej się złapać późny samolot do Atlanty. Niestety, nie było nocnego lotu do Savannah. Zastanawiała się, czy nie wynająć samochodu, ale zrezygnowała, bojąc się, że w jej stanie nerwów wyląduje na najbliższym słupie. Zatrzymała się więc w pobliskim motelu. Niemal całą noc chodziła w tę i z powrotem po pokoju, kipiąc gniewem. Nazajutrz rano poleciała pierwszym samolotem do Savannah, a stamtąd taksówką wprost do biura Coreya.

Rzuciła swoje bagaże obok drzwi, przeszła dumnym krokiem obok recepcjonistki, po czym wpadła jak

PRZECIWIENSTWA SIĘ PRZYCIĄGAJĄ...

burza do gabinetu Coreya, zatrzasnął z hukiem drzwi.

- Jak śmiałeś mi to zrobić! - wybuchnęła. Dygocąc z gniewu, piorunowała go wzrokiem. - Zachowałeś się wobec mnie niegodnie, podle! I to ma być sposób na udowodnienie kobiecie miłości! Tak wyglądają twoje oświadczenia? Kto, u diabła, dał ci prawo rozkazywania mi?! Ja też jestem żywym człowiekiem. Nie pozwolę, żeby ktoś przepuszczał moje uczucia przez wyżymaczkę!

Gapił się na nią z otwartymi ustami. Corinne, spodziewając się, że Corey zamierza coś powiedzieć, ubiegła go:

- I nie opowiadaj mi tu o żadnych zasadach, możesz sobie wytapetować nimi gabinet. Wezmę z ciebie przykład i będę tak samo apodyktyczna. Otóż, Coreyu Haradenie, chcę ci powiedzieć, że weźmiemy ślub. Nie wrócę do Baltimore, dopóki nie załatwimy tej sprawy, a wtedy pojedziesz tam ze mną, żeby pomóc mi się spakować. Jasne?

Corey zamknął usta. Powoli odchylił się na oparcie fotela.

- Masz wygniecione ubranie, Corinne.

- A twoje włosy wyglądają, jakbyś cesał je palcami, masz worki pod oczami, źle zawiązany krawat...

- Co świadczy o tym, że nie spałem lepiej od ciebie tej nocy.

- To wszystko twoja wina! Nie trzeba było podejmować takich drastycznych środków. To niewybaczalne!

- Rzeczywiście.

- Masz zamiar siedzieć tak dalej i głupio się uśmiechać? I to ma być ten impulsywny mężczyzna? Czy moje słowa nie zrobiły na tobie żadnego wrażenia?

- Ależ tak.

- Rozumiem. Spodnie przykleiły ci się do fotela.

184 ♦ PRZECIWIENSTWA SIĘ PRZYCIĄGAJA...

- Gdyby tak było - powiedział, wstając powoli - po prostu bym z nich wyskoczył. - Wyszedł zza biurka i otoczywszy ją ramieniem, poprowadził w stronę drzwi.

- Co robisz?

- Zabieram cię do domu.

- Nie wrócę do Baltimore! - tupnęła nogą.

- Zabieram cię do domu. Mojego domu. Naszego domu.

- Ach! Czy mam to rozumieć jako przeprosiny? -

Tak.

- I pobierzemy się?

- Tak.

Przeszli obok recepcjonistki i bagażu Corinne.

- Corey, moje rzeczy...

- Później.

- Nie zamierzasz powiedzieć mi nic więcej, na przykład, że mnie kochasz, że okropnie się martwiłeś, że cieszysz się z mojego powrotu?

- Kocham cię, okropnie się martwiłem, cieszę się z twojego powrotu - powiedział, gdy czekali na windę.

Drzwi windy rozsunęły się.

- Zabrzmiało to tak szczerze, jak...

Resztę słów stłumił pocałunek. Na parterze winda zatrzymała się, drzwi się rozsunęły, po czym zasunęły znowu. Winda ruszyła w górę.

Na ósmym piętrze czekała grupa biznesmenów. Gdyby jeden z nich nie wykazał się przytomnością umysłu i nie odchrząknął głośno, gdy zjechali z powrotem na parter, Corey i Corinne odbyliby tę podróż jeszcze kilka razy.

Corinne wsparła się o Coreya. Leżeli na dywanie w salonie pośród rozrzuconych ubrań. Nie udało im się dotrzeć do sypialni.

- Co wpłynęło na twoją decyzję, kochanie? - spytał cicho.

- Nie wiem - odpowiedziała sennym głosem, znużona szaleńczą miłością. - Może Roxanne. Poniosło ją, ale nie zachowała się tak jak matka. Wróciła. Chodzi mi o to, że pod pewnymi względami przypomina matkę, ale jest po prostu sobą. Pomyślałam więc, że to samo stosuje się do mnie. To, że uwielbiam się z tobą kochać, nie oznacza, że jestem nimfomanką.

Corey zachichotał.

- A może to z twojego powodu - mówiła dalej, bawiąc się włosami na jego piersi. - Byłeś zbyt miły, zbyt cierpliwy. Gdy kazałeś mi wracać do Baltimore, przeżyłam wstrząs. Może było mi to potrzebne. Miałeś rację, bałam się zaryzykować. Potem zrozumiałam, że prawdziwym ryzykiem byłoby spróbować żyć bez ciebie. Gdy uświadomiłam sobie, że mogłabym cię utracić, omal nie oszalałam.

- Corinne Fremont szaleje?

- Wiem, że to niezbyt rozsądna reakcja. Ale tak właśnie się czułam. - Wtulila się w niego, czując, że muska wargami jej włosy. - Corey?

- Hmm? - wymruczał. Było mu dobrze jak nigdy w życiu, nie chciało mu się nawet mówić.

- Czy zaplanowałeś to sobie?

- Co?

- No, tę kurację wstrząsową.

- Chciałbym być taki sprytny.

- Nie spodziewałeś się, że wrócę tak szybko?

- Nie.

- Zaskoczyłam cię?

- Tak.

- Przyjemnie?

- Jeszcze jak.

- Co to za hałas?

- Mój żołądek. Jestem głodny.

- Nie jadłeś śniadania? - spytała, podnosząc głowę i spoglądając na niego.

- Próbowałem. Wiesz, że rano nie idzie mi najlepiej.

Odwróciła głowę w stronę holu i pociągnęła nosem.

- Co to za zapach?

- Powiedziałem ci już, że niezbyt dobrze sobie rano radzę. Poza tym tęskniłem za tobą, co jeszcze pogarszało sytuację.

- Pytam, co to jest?

- Bułeczki. Spalone. Zapomniałem wyjąć je z piekarnika.

- Dziwię się, że Jontelle nie wywietrzyła... - Zerwała się nagle na równe nogi, zasłaniając dłońmi piersi. -Jontelle! Gdzie ona jest?

Corey roześmiał się, wstając z dywanu.

- Zadzwoiła rano, że źle się czuje.

- Czyżby - syknęła Corinne, mrużąc oczy. - Jesteś pewien, że nie spodziewałeś się mojego powrotu?

Objął ją ramieniem i poprowadził do kuchni.

- Gdybym się spodziewał, nie czułbym się jak rozbity garnek. Nie zostawiłbym rozgrzebanego łóżka...

- Och, z pewnością...

- Ani mokrych ręczników na posadzce w łazience.

- Nie zrobiłeś tego!

- Musiałem. Posadzka wyglądała strasznie.

- Dlaczego?

- Wylałem niechcący szampon...

Corinne jęknęła, wtulając nos w jego szyję.

- ...i nie chciałem, żeby Jontelle poślizgnęła się i upadła, wiedziałem bowiem, że wpadnie w straszliwą złość, gdy zobaczy, jak urządziłem kuchenkę mikrofalową.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie poprzestałeś na zwęgleniu bułeczek?
- Już ci powiedziałem, że okropnie za tobą tęskniłem.
- Mów szybko, co jeszcze zmalowałeś?
- Do diabła, skąd miałem wiedzieć, że nie można gotować jajek w kuchence mikrofalowej?
- Wydaje mi się, że można.
- Ale nie w skorupkach. Jajka w skorupkach po prostu wybuchają. Widzisz, ty też nie wiedziałaś! W każdym razie, nie byłoby tak źle, gdybym nie spróbował szybko jej wyczyścić. Naprawdę szybko, gdy była jeszcze gorąca. Cały kłopot w tym, że w zdenerwowaniu chwyciłem nie ten pojemnik co trzeba. Zaraz ci opowiem, jak działa na zwęglone żółtka środek owadobójczy...